PATRYARCHA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

ADAMA BEŁCIKOWSKIEGO.

~~Tom I.~~

Odbitka z „KRAJU“.

KRAKÓW
Nakładem Wydawnictwa „KRAJU“
1872.

Mieczysławowi Pawlikowskiemu

na pamiątkę przyjęcia [illegible]

autor

Kraków 28 Grudnia 1872.

PATRYARCHA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Adama Bełcikowskiego.

Tom I.

Odbitka z „KRAJU“.

KRAKÓW
Nakładem Wydawnictwa „KRAJU“
1872.

Czcionkami drukarni „KRAJU“ pod zarządem St. Gralichowskiego.

...granicach obcego państwa.

Obszerny jest i rozległy widnokrąg podolskiego nieba. Nie tamują tam oka wyrastające ponad ziemią góry, ani nie wiążą go w ciasnych swych granicach doliny. Formacja gruntu tamtejszego ma podobieństwo do powierzchni morza lekko falującéj, tak, że łatwo wierzyć temu, co powiadają geologowie, że kraj ten jest dnem morskiém, jedném z najmłodszych, jakie przemieniły się na suchą ziemię po ustąpieniu z nich wilgotnego żywiołu... Z pagórka niezbyt wyniosłego spuszczasz się w wądół niezbyt głęboki i rozłożysty, z tego dostajesz się bez wielkiego trudu znowu na drugi pagórek, z niego w drugi wądół i tak daléj prawie zawsze i wszędzie, gdzie pieszo lub wozem podróżujesz po tym kraju, rozumie się nie bitym gościńcem, bo tych tam nie ma, ale drogą utorowaną przez pola za pomocą kół, wy-

rabiających sobie coraz wyraźniejsze choć nie coraz wygodniejsze koleje.

Drogi te bywają za to niezwykłéj szerokości. W reszcie Europy, gdzie trudno o ziemię, dziwionoby się temu marnotrawstwu, ale tutaj można sobie bez skrupułów na ten wybryk pozwolić. Zwykle środkiem takiego gościńca idzie kolej ujeżdżona przez wozy, reszta drogi po jednéj i drugiéj stronie leży bez użytku zarośnięta trawą i zielskami, czekając aż dawna kolej tak się zepsuje, że trzeba będzie o nowéj pomyśleć.

Taką to podolską drogą przed sześćdziesięciu laty jechał konno człowiek, który ma być pierwszą figurą, z jaką się spotkasz w téj powieści mój łaskawy czytelniku.

Słońce miało się już ku zachodowi, ale ponieważ to było w połowie sierpnia, więc upał jeszcze mocno czuć się dawał. W powietrzu wznosiły się tumany pyłu, jak gdyby mgły nocne, a jaskrawe promienie słoneczne zaprawiały je czerwonawą barwą. W całéj naturze dokoła, w przywiędłéj zieloności drzew i trawy, w dojrzałych kłosach, ile ich jeszcze na polu pozostało, zwieszających swe głowy ku ziemi, widać było jakieś znużenie powabne i roskoszne.

Zapewne też z powodu gorąca i znużenia podróżny nasz jechał wolną stępą krok za krokiem. Widoczném było, że w tych stronach nie był tutejszym, bo się z ciekawością rozglądał po okolicy; znać także było, że się niecierpliwił, jakby pragnął dotrzeć już najprędzéj do jakiegoś miejsca, a nie wiedział jeszcze, jak do niego daleko. Jechał przeciwko słońcu i często przykładał rękę nad oczy, aby lepiéj zobaczyć ciągnącą się przed nim drogę, bo przypatrywać się widokom natury i podziwiać je, jak się zdaje, zupełnie nie miał ochoty.

Kim był ten podróżny, niedługo z całą dokładnością będzie miał zaszczyt sam opowiedzieć; możemy więc poprzestać na przyjrzeniu się jego powierzchowności.

Jego ubiór na pierwsze wejrzenie pokazywał, że był żołnierzem. Miał na sobie krótką szafirową kurtkę, takiegoż koloru spodnie i furażerkę. Na siodle z tyłu przywiązany był zwinięty płaszcz żołnierski. Na przodzie znów były olstra i miejsce na pistolety, bo pistoletów nie było. Za cały rynsztunek żołnierz, jak również było widać, jakiś oficer niższego stopnia, miał przy boku pałasz.

Koń miał nietęgą minę i do szlachetnéj

krwi zapewne żadnéj pretensji. Nie bardzo też musiał pan dbać o jego powodzenie, a jeżeli to jest fałszywym domysłem, to zapewne dosyć długa droga musiała wyczerpać jego siły. Ze spuszczonym łbem szedł przed siebie jakby machinalnie, myśląc bezwątpienia o żłobie z kilku garncami owsa, a w najgorszym razie o dobréj wiązce siana.

W ogóle temu koniowi brakowało tego, co w języku jeszcze Krasickiego nazywało się animuszem. Za to jego właściciel mógł się z całą słusznością o ten zaszczytny przymiot upomnieć. Na jego twarzy, obecnie ogorzałéj, panował wyraz imponujący przekonania o swéj wyższości, połączonego z junacką śmiałością. Nie darmo jego furażerka tak wyzywająco przechylona była na prawe ucho! Patrzył przed siebie wzrokiem pewnym, zuchwałym, jakby nic dokoła nie było zdolne wzbudzić w nim uszanowania lub współczucia, i byłby się zapewne bardzo dziwił majestatycznie zachodzącemu słońcu, gdyby to okazało było najmniejszą pretensję do wywołania w nim podziwu. Czasami jednak z tego napuszonego (bo nie możemy powiedzieć: pysznego) oka wydobywało się spojrzenie pełne prze-

biegłości i filuterji, w połączeniu z uśmiechem zadowolnienia i radości. Było to zapewne w skutek jakichś wesołych myśli przebiegających przez jego głowę, boć musiał przecie myśleć, jadąc samotnie, do jakiegoś celu i po coś zapewne.

Zresztą do uzupełnienia jego portretu możemy dodać: lewą rękę miał na temblaku, włosy jasne wpadającc w ryży kolor, takież same wąsy, nieznaczne ślady ospy na twarzy, czoło wysokie ale płaskie i w tył pochylone i lat około trzydzieści, to jest mógł mieć o parę więcéj lub mniéj niż trzydzieści, ale dokładnéj liczby trudno się było dobadać z jego twarzy zużytéj i dosyć wyniszczonéj, a zarazem dającéj wyraźne świadectwo o lekkomyślności i swobodzie ducha, właściwych młodszemu wiekowi.

W chwili właśnie, kiedy zawieramy z nim tę bliższą znajomość, nasz podróżny był zły i klął nawpół głośno sam do siebie w braku innych uszu, któreby go słuchać chciały:

— Bodaj ich djabli opętali z ich milami! Jadę i jadę, a dojechać się nie mogę! Przed południem miałem tylko dwie mile, a tu już i słońce zachodzi!

Kiedy ta niezbyt grzeczna apostrofa wystosowana do tych nieznanych dobrodziejów, co wskazywali mu drogę i dawali geograficzne objaśnienia, z ust jego z niekłamanym zapałem została wyrzucona, podróżny nasz nagle zatrzymał konia, choć w téj chwili nikt ani nie szedł ani nie jechał drogą.

Nie stało się to jednak bez przyczyny. Uwagę jego zwrócił bowiem w téj chwili na siebie gruby słup drewniany na czerwone i żółte pasy malowany, i umieszczona na nim wielkich rozmiarów tablica.

Podróżny skierował trochę konia na bok, aby się zbliżyć do tablicy i bez trudności, bo litery były wielkie, wyczytał napis:

„Granica państwa Ostrowieckiego od imperjum rossyjskiego.“

— Ostrowiec!.. tandem tedy jestem na miejscu! — zawołał ucieszony, dał koniowi ostrogą w bok, mlasnął na niego ustami i szparkim kłusem popędził daléj drogą.

W istocie niedługo zobaczył z poza pagórka i klombów drzew wynurzające się stopniowo białe domostwa z szaremi dachami, należące do jakiegoś miasteczka,

które jak widać było celem jego podróży. Nim jednakowoż do tego celu dojechał, miał dosyć czasu do zrobienia sobie w duszy niektórych refleksji:

— No, nie myślałem, że jeszcze dzisiaj będę w granicach obcego państwa!.. Co też ten stary Krezus wymyślił — bo to nie ma co wątpić jego własny koncept!.. Wielkie pieniądze przewracają ludziom w głowie do góry nogami!.. Dobrze, że mnie na granicy o paszport nie zapytali!... zapomniał wyraźnie wystawić komory!

Miasteczko.

Podróżny wjechał niedługo w miasteczko, to jest w czworobok domów mniéj więcéj pod prostą linją uszykowanych. Środek czworoboku zajmowała uroczyście studnia. Domy były niskie, drewniane, ale tak niezwykle czysto i schludnie wyglądające, że to mimowolnie zwróciło nawet uwagę podróżnego. Takiego porządku w żadném z tych wielu miasteczek, przez które przebywał, nie zastał. Wszystkie te domy miały szerokie podcienia z wysokiemi progami i cienkiemi

filarkami, na których wyrzeźbienie wysadziła się wyraźnie domorosła skulptura. Wyjątek stanowiło tylko kilka nowszych dworków, bielutkich jak gołąbki, ogrodzonych zielonemi sztachetkami i jaśniejących jaskrawemi kolorami malw, słoneczników i piwonji. W oknach tych dworków wisiały firanki, niekiedy zielone zasłony chroniące od słońca, co nadawało im fizjonomję pewnéj pańskości. W jedném z takich okien podróżny spostrzegł także swojém bystrem okiem śliczną główkę jakiegoś dziewczęcia, która wyjrzała ciekawie na tętent konia, ale jeszcze prędzéj cofnęła się w głąb, gdy się spotkała z natarczywém spojrzeniem wojaka.

Podróżny uśmiechnął się, jakby zadowolniony z uczynionego wrażenia, ale niedługo przybrał minę jak tylko mógł najpoważniejszą i nakazującą uszanowanie.

Stanąwszy na środku rynku rozglądał się dokoła, ale widać znów nie zobaczył tego, czego pragnął. Widział wszystkie domy i dworki, widział kościół z czerwonéj cegły, wielki jak na małe miasteczko i poważnie wyglądający, i obok niego stojącą plebanją, widział nawet bóżnicę po drugiéj stronie rynku, również starannie zbudowaną i utrzymywaną, ale te

wszystkie osobliwości miasteczka jeszcze nie zaspakajały jego pragnienia.

— Gdzież się do djabła pałac podział! Nigdzie go dokoła na całą wiorstę nie widać. Przecież mię pamięć nie zawodzi, że graf mieszka w Ostrowcu.

W miasteczku panowała uroczysta cisza, i ludności nigdzie nie było widać. Tylko w jednym kącie rynku bawiła się gromadka żydowskich dzieci, z których jedne przyjazd obcego gościa obojętnie przyjęły, drugie zaś z ciekawością i trwogą zdaleka na niego wytrzeszczały oczy.

Podróżny nawrócił konia, aby korzystając ze sposobności, zajechać przed dworek, w którym mignęła mu owa główka i tam o udzielenie wiadomości z całą kawalerską uprzejmością poprosić, ale w drodze przejeżdżając bliżéj domów zobaczył na podcieniu starego żyda, w długim szarafanie i pończochach siedzącego na progu, opartego plecami o filar i zatopionego w pacierzu lub drzémce.

— Héj żydzie, słyszysz? — zawołał.

Żyd albo nie słyszał albo nie chciał słyszeć; nie podniósł nawet głowy.

Podróżny brząknął pałaszem niby nienaumyślnie, a na prawdę z zamiarem zastraszenia.

— Czy to jest Ostrowiec? powtórzył pytanie więcej jeszcze podniesionym głosem.

Żyd podniósł nareszcie głowę, ale nie wstał i nie zdjął czapki, co podróżnego okropnie rozgniewało. Spojrzał tylko na niego obojętnie i nie mówiąc słowa.

— Pytam ci się, czy to jest Ostrowiec? zapytał po raz trzeci podróżny.

— Ostrowiec — odpowiedział poważnie żyd i spuścił napowrót głowę, jakby mu tego natręctwa było już za wiele.

— Z tém bydłem ani się dogadać — wyrzekł półgłosem podróżny, a wyraźniéj dokończył: — A gdzie tu pałac?

— Tu pałacu nie ma — odpowiedział żyd obojętnie.

— A tom się wybrał! pomyślał sobie podróżny — widocznie to nie tutaj, a gdzie? to sam czart wié.

Postanowił jednak daléj badać, teraz grzeczniejszym już nieco tonem:

— A nie słyszeliście wy o grafie Ochockim?

— O grafie?.... to jegomość jedzie do grafa? zapytał żyd tak chętnie, jakby mu się nagle język rozwiązał.

— Do grafa, odpowiedział podróżny pompatycznie. Żyd powstał i twarz jego przybrała przyjacielski wyraz.

— A ktoby nie znał grafa? Przecie to nasz pan..... a jaki pan!... aj! aj! jak Podole długie i szerokie drugiego takiego nie ma. Jegomość do niego jedzie?.... a z czém?.... jegomość z wojska..... tam mówią ludzie, że się strasznie biją.... a może jaka zła wiadomość dla naszego grafa, broń Boże?....

— Jestem kuzyn waszego grafa, rozumiesz? jadę go odwiedzić.

To kuzynostwo było dalsze niż o dziesiąty kół w płocie, jak to mówią, ale do reszty udobruchało żyda.

— To trzeba jegomości jechać do Bełmond — to niedaleko ztąd — tam jest pałac.

Bełmond w języku żydowskim tego miasteczka miało oznaczać: Belmont, czego się kuzyn grafa jednak nie domyślił.

— Co za Bełmond? zawołał — tyle razy słyszałem, że mieszka w Ostrowcu! Może to nie ten Ostrowiec?

— Drugiego Ostrowca tu nigdzie nie ma. Niech się jegomość nie frasuje. Miasteczko nazywa się Ostrowiec, i wieś za niem nazywa się Ostrowiec, ale pałac nazywa się Bełmond, bo go tak nazwał pan graf.

— Cóż za cudackie nazwisko!

— Ale pałac przepyszny!... to zamek wielki.... jakie mury, jakie baszty, a pokoje to się świecą od złota!... Nasz graf to wielki pan!.... A jaki dobry.... to nie pan ale ojciec!.... Przed dwoma laty nasza bóżnica zgorzała, to on sam własnym kosztem ją odbudował.

— No, nie miał co lepszego robić — pomyślał sobie kuzyn grafa, i spojrzał na bóżnicę jakby chciał powiedzieć: Nie szkoda tych pieniędzy!

— Ja pamiętam dawne czasy — mówił żyd daléj rozgadawszy się — Ostrowiec był bardzo biedny, tu domy nie miały dachów, wszystko się waliło, tu na rynku były dziury i doły, studni nie było, kościół był drewniany — a jak jegomość wszystko tu teraz widzi, to za pieniądze pana grafa. Niech mu pan Bóg da zdrowie! on mi syna wykupił od wojska, a ja stary byłbym sam jeden dawno już bez tego skończył gdzie pod płotem.

Żydowi łzy stanęły w oczach, ale pomimo tego mówił daléj, jakby koniecznie chciał dokończyć, pokazując ręką:

— A w tych dworkach z gankami to sami gracjaliści.

Podróżny nie z wielką uwagą słuchał tego opowiadania, prędko zatem przerwał żydowi:

— A którędy jedzie się na Bełmond?

— Tędy jegomość — odpowiedział żyd, pokazując mu ręką jednę z ulic wychodzących z rynku — droga prosta jak strzelił. Za laskiem jegomość zaraz pałac zobaczy.

— A daleko to jeszcze?

— Wiorsta tylko, nie więcéj.

— No dziękuję ci stary — rzekł podróżny zwracając konia.

— A niech jegomość kłania się panu grafowi od starego Chaima — i mówiąc to żyd, zdjął swą futrzaną czapkę z głowy i oddał nią ukłon odjeżdżającemu.

— A to śliczne polecenie! pomyślał sobie kuzyn grafa — żydowskie ukłony!... Chyba, że to taka moda u grafa?... Ha, może być, jeźli im bóżnice stawia!

Zamek Belmont.

Kuzyn grafa (kiedy się już sam tak nazwał) zgodnie ze wskazówkami danemi przez starego Chaima niedługo po wyjeździe z miasteczka, zobaczył najprzód po jednéj stronie drogi rozłożoną ponad wielkim stawem wieś, któréj chaty powinny

go były uderzyć swoim wzorowym porządkiem i czystością, gdyby głowa jego nie była tymczasem innemi myślami zajętą. Widocznie układał on jakieś plany, a może rozmyślał, jakby się jak najkorzystniéj przedstawić swemu dostojnemu kuzynowi, dla którego mimo całéj swéj poufałości uczuwał jakieś mimowolne uszanowanie.

Co go jednak uderzyło i to nie bardzo przyjemnie, to ta okoliczność, że chłopi powracający pojedyńczo lub po kilku z roboty uchylali tylko na jego widok swoje słomiane kapelusze, wymawiali swoje zwyczajne:

— Sława Bohu! ale bynajmniéj nie zginali się przed nim wpół, aby dotknąć kapeluszem téj ziemi, po któréj czując zapewne bliski wypoczynek z lepszą już fantazją jego koń postępował.

— To jakiś hardy naród! pomyślał kuzyn grafa — nie trzymają go w rygorze.

Prócz tego jedna jeszcze rzecz zwróciła na siebie jego uwagę. Mianowicie widział, jak tu i owdzie nad drzwiami i oknami chat młode chłopaki i dziewczęta zawieszały długie girlandy z dębowego liścia, nierzadko nawet przystrojone kolorowemi tasiemkami albo kolorowym pa-

pierem. To strojenie domów odbywało się wszędzie wśród wesołego śmiechu i żywéj pogadanki i zdawało się zapowiadać weselną jeszcze jakąś i ulubioną uroczystość.

Byłby stanął i zapytał się o znaczeniu tych świątecznych przygotowań, ale spieszno mu było ku pałacowi, bo nietylko gnała go tam ciekawość i interes ale także głód i utrudzenie. Poprzestał zatém na zrobieniu sobie w duchu téj uwagi:

— Tu chłopy bawią się jak panowie.

Niedługo wjechał w przepyszną aleję z lipowych drzew szeroką i długą tak, że końca jéj dojrzeć nie mógł. Nie bardzo go to cieszyło, bo nie pokazywał mu się tak upragniony przez niego pałac. Nareszcie nie spodziewając się wcale tego widoku, na zakręcie alei, zobaczył go w całéj okazałości przed swemi oczyma.

I tu słowa Chaima go nie zawiodły. Pałac był ogromny i wspaniały. Był to raczéj zamek, bo miał dość wysoki mur na przodzie, na rogach baszty i wieżyczki, a prócz tego olbrzymi teras z jednego boku na bardzo wysokiem podmurowaniu i ze skarpami daleko od muru wystającemi. W budowie tego zamku była dziwna mięszanina stylów. Zdawało się,

jak gdyby chciano pogodzić ze sobą sprzeczności, bo kiedy jedne rzeczy należały do architektury klasycznéj, drugie były wzięte żywcem ze średniowiecznego gotyku. Były zatém w tym zamku kolumny korynckie i ostrołukowe okna obok siebie, płaskie dachy obok spiczastych wieżyczek i zębatych baszt.

Cały zamek wyglądał groźnie i posępnie. Najprzód dla tego, że mury jego nosiły na sobie ślady czasu, były ciemne, miejscami jakby poplamione od bijących w nie deszczów i śniegów. Potém widnokrąg nad zamkiem był bardzo szczupły. Gmach wsunięty był między trzy ściany rozpadliny, ponad którą ze wszystkich stron wznosiły się gęste drzewa. Najbliższe także otoczenie zamku zapełnione było staremi i rozłożystemi dębami i lipami, które stanowiły cienisty park, tu i owdzie tylko ścieżkami przerznięty.

Tym sposobem zamek był zewsząd niewidoczny, jakby od ludzi odcięty, i zdawał się tworzyć zamknięty w sobie świat wspaniały lecz ponury.

Nie dziw, że na kuzynie grafa nie zrobił bardzo przyjemnego wrażenia, o czém jednak inne myśli kazały mu wkrótce zapomnieć.

Wjechał w wielką, na roścież otwartą bramę, — nad którą umieszczony był w półłokciowych literach napis łaciński: Salve.

Przy bramie stał domek jakby jaki maleńki zamek w miniaturze z wieżyczkami po bokach i oknami niezwykłych kształtów przeznaczony dla odźwiernego. Przez okno pokazała się głowa człowieka w podeszłym wieku i w wieśniaczém ubraniu, pochyliła się na widok podróżnego, i poprzestając na zrobionem spostrzeżeniu znikła zaraz w wnętrzu izby.

Na dziedzińcu panował grobowy spokój. Na balkonach i w oknach zamkowych nie było widać nikogo z jego mieszkańców. Po dziedzińcu nie wałęsała się służba, nie słychać było jéj pogwarek i baraszkowania. — Tylko wielkie drzewa zasadzone przy drodze żwirem wysypanéj, albo téż tworzące malownicze, poważne grupy, szumiały w powietrzu jakby odmawiały wieczorny pacierz przy schyłku dnia.

Kuzynowi grafa wydawało się, że przybył do mieszkania umarłych i byłby na prawdę w to uwierzył, gdyby nie widział do koła siebie, że tu o wszystkiem

i wszędzie ludzkie oko i ręka pamiętały....

Nareszcie zjawiła się ludzka postać. — Był to młody kozak, który na tentent nowo przybyłego wybiegł widać z dalszych zabudowań i stanął na drodze — którą zwolna, rozglądając się do koła i upatrując kogo, kuzyn grafa jechał.

Kozak ukłonił mu się nisko nic nie mówiąc; podróżny zeskoczył z konia, zarzucił na niego lejce i zmordowanego rumaka kozak zaprowadził nie długo do stajni.

Kuzyn grafa został znowu sam i wyprostowawszy nogi, szedł dalej ku pałacowi...

Wzdłuż drogi, którą przebywał stało kilka oficyn, których architektura mniéj albo więcéj podobną była do téj mięszaniny stylów panującéj w architekturze zamku.

We drzwiach jednéj z nich zobaczył kuzyn grafa z nie małą swą pociechą znowu jakiegoś człowieka.

Był to wiekowy już starzec. Włosy miał siwe, gładko zaczesane i spadające na uszy. Począwszy od żupana z cienkiego sukna cały był czarno ubrany. — Mimo lat swoich wyglądał jednak czer-

stwo i zdrowo, a w rysach jego poważnych była wielka łagodność i coś ujmującego za serce.

Człowiek ten ścieżką od oficyny prowadzącą zbliżał się do podróżnego. Na jego widok kuzyn grafa mimowoli sięgnął ku czapce i lekko ją z głowy podniósł.

— Witam pana w naszym domu w imię boże — rzekł starzec. Czem chata bogata tem będzie ci rada, a że widzę pan z długiéj drogi, więc najprzód będzie spoczynek potrzebny, jeśli interes nie nagli.

Kuzyn grafa zdziwił się trochę, — że marszałek pałacowy (jak się domyślił) witał go jakby znajomego, chociaż zupełnie go nie znał.

W téj chwili wybiegł z oficyny lokaj we fraku o wąskich połach i szerokim kołnierzu, w pończochach, również jak pan marszałek cały czarno ubrany.

— Michale, — odezwał się do niego starzec, — zaprowadź tego pana do pokoju Abrahama.

To powiedziawszy ukłonił się kuzynowi grafa i odszedł zkąd przyszedł. Ten zaś z trochę większą niż przedtém fan-

tazją (kiedy już wiedział, z kim ma do czynienia) uchylił znowu swoją furażerkę.

— Prowadź mię, — rzekł do lokaja i szedł za nim.

Lokaj zaprowadził go do oficyny większéj od innych. Kiedy weszli na pierwsze piętro, otworzył drzwi i wskazał mu pokój.

— Więc to jest „pokój Abrahama"? — rzekł kuzyn grafa z pewnym ironicznym naciskiem.

— Tak jest.

— Bardzo dobrze! — powiedział kuzyn grafa i wszedł do pokoju, a za nim lokaj, który natychmiast otworzył okna dla świeżego powietrza.

Podróżny usiadł tymczasem, wyciągnąwszy nogi przed siebie, na niskiej, wygodnéj sofie i obejrzał się po pokoju. Na przeciwległéj ścianie ujrzał malowanie *al fresco*, przedstawiające figury naturalnéj wielkości. W pokoju nie było jeszcze tak ciemno, więc poznał, że malowanie przedstawia Abrahama ofiarującego syna swego Izaaka.

— Aha... — pomyślał sobie, — wiem teraz, dlaczego się to nazywa „pokój Abrahama"!

Nad kominkiem, który stał blisko nie-

go, zobaczył znowu złotemi literami wypisane te słowa: „Pokój ludziom dobréj woli“, — ale nad tą sentencją bliżéj się nie zastanawiał.

— Co pan rozkaże przynieść na kolację? — rzekł lokaj ukończywszy swoje zatrudnienie.

Kuzyn grafa odpowiedział bez namysłu:

— Przynieś mi zrazów z kaszą i butelkę wina.

Kiedy służący już miał próg przestąpić, zatrzymał go jeszcze:

— Ale poczekaj, przynieś mi mój płaszcz przywiązany na siodle.

W płaszczu tym mieściły się także wszystkie jego pakunki, to jest: dwie koszule. Mając się widzieć ze swym dostojnym kuzynem, pomyślał sobie, że będą mu do toalety nieodbicie potrzebne.

Wyciągnąwszy się z całą swobodą na sofie, podróżny używał tak przyjemnego dlań po długiéj jeździe na koniu wypoczynku i miał dosyć czasu do zastanowienia się nad tém, jak w zamku grafa ludzie nie są ciekawi, że nie pytając go, co za jeden? do kogo przyjechał? w jakim interesie? przyjmują go do domu i dają wieczerzę, jakiéj tylko sam zażądał. Wśród tych myśli przyszła mu także do

głowy jedna, którą nie wiedział, czy ma brać na serjo czyli na żart, a mianowicie, czy jego kuzyn nie jest przypadkiem żydowskiéj wiary, skoro stawia bóżnice, maluje Abrahamów i pokoje od ich imienia nazywa. Marzył wreszcie i o tém, że w tak bogatym i gościnnym domu byłoby nieźle przeżyć sobie nawet lat kilka, rozumie się, gdyby można coś wynaleźć dla rozpędzenia téj jednostajności i nudów, które również w zamku przeczuwał.

Z tych różnorodnych marzeń wyrwany nakoniec został przybyciem lokaja, który wszystkie jego rozkazy spełnił jak najakuratniéj.

Po wieczerzy, która mu bardzo smakowała, kuzyn grafa nie widział nic lepszego, jak położyć się na spoczynek, o którym nie wątpił, że mu także smakować będzie. Ale zanim miał czas rozebrać się, sen go nagle zmorzył, zamknęły mu się powieki i tak jak był ubrany, nawet w butach z ostrogami, leżał wkrótce na sofie jak martwy.

Spostrzeżenia nocne po ziemi i niebie.

Kuzyn grafa zasnął z pierwszym zaraz zapadającym zmrokiem. Spał mocno jak człowiek zdrów i młody spać może po długiéj podróży. Lecz mimo to, bądź to z téj przyczyny, że w obcém miejscu nie śpi się nigdy całkiem dobrze, zwłaszcza pierwszéj nocy; czyli też dlatego, że zasnął w ubraniu nie bardzo do spoczynku wygodném, dość że po trzech może godzinach nagle się przebudził. Usiadł na sofie, która dotąd służyła mu za łóżko, przetarł oczy, przypatrzył się ile mógł miejscu swojego noclegu i przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

Chociaż twardym snem znacznie pokrzepiony, zły był jednak, że tak smaczny spoczynek ni ztąd ni zowąd mu się przerwał, i nie badając bliższych zapewne przyczyn, całą winę tego wydarzenia złożył na służącego, który nie zamknął okien.

W istocie miły chłodek letniéj nocy czuć się dawał w pokoju, lecz nie powi-

nien był wcale ściągnąć na siebie gniewu podróżnego, gdyby nie to, że on sam za swój sen przerwany koniecznie na kogoś gniewać się musiał.

Wstał ze sofy, mrucząc jakieś przekleństwo pod nosem i zbliżył się do okna, aby je zamknąć.

Okno to wychodziło na pałac i pomiędzy niém a pałacem żadnych już więcéj budynków nie było, tylko kilkanaście drzew, których gałęzie w znacznéj części zasłaniały widok.

W chwili, kiedy kuzyn grafa położył rękę na jednéj połaci okna, doszedł go z dziedzińca pomiędzy drzewami jakiś szmer, jakby szelest idącéj kobiety. Podróżny dość miał wprawne ucho do rozróżnienia podobnych szelestów, z niemałą więc ciekawością rzucił okiem w miejsce, zkąd go ten odgłos doleciał.

Noc była jasna, gwiazdy świeciły na niebie i szczelinami gałęzi przekradały się promienie księżyca, który po drugiéj stronie nieba chylił się już ku zachodowi. Przy takiém oświetleniu kuzyn grafa mógł dosyć wyraźnie widzieć, jeśliby coś się zjawiło i gdyby szmer nie był złudzeniem jego rozespanych zmysłów.

Jakoż nie czekał długo, a zpod cienia drzew ukazała się jakaś postać kobieca. Szła prędko widocznie z pewną trwogą po ścieżce ogrodowéj i jakby nadsłuchując czyli kto nie nadchodzi. Parę razy zwróciła głowę, aby rzucić za siebie okiem w górę, na piętrowe pokoje pałacu, jakby ztamtąd obawiała się szczególnie niebezpieczeństwa.

Podróżny mógł dobrze widzieć, że to była osoba jak na kobietę dobrego wzrostu, z rzutkości jéj ruchów i pewności kroków domyślał się, że młoda, z niewyraźnych linji, w jakich rysowała się jéj postać na tle przestrzeni, przeczuwał, że musi być ładna. Dostrzegł także i to, że osłonięta była po wierzchu jakiémś okryciem ciemnego koloru.

Wszystkie te spostrzeżenia mógł zrobić w przeciągu kilku sekund, bo niedługo postać owa, która szła od strony pałacu w przeciwnym kierunku, zginęła mu z oczu w cieniu krzaków i gałęzi. Jakąś chwilę słyszał jeszcze ten sam szelest, podobny do szelestu liści, ale ostrzéj w ucho uderzający, albo też lekkie stuknięcie nogi o ziemię, która po ciemku nie mogła dobrze wszystkich swoich kroków

wymierzyć. Nareszcie i te echa zupełnie zamilkły.

Kuzyn grafa stał jednak ciągle w oknie, nie myśląc go zamykać, nieporuszony jak posąg, aby nie zwrócić na siebie uwagi przekradającéj się postaci. Domyślał on się w téj nocnéj przechadzce jakiéjś tajemnicy i postanowił ją ile możności zbadać, przekonany mocno o tém, że wiadomość o tego rodzaju tajemnicach często bardzo jest pożyteczną i może doprowadzić do posiadania własnych tajemnic, które są tak przyjemne i rozkoszne.

Spodziewał się, że się doczeka przyjścia drugiéj osoby — to jest mężczyzny, bez czego tajemnica nie miałaby interesu, albo téż powrotu téj saméj postaci do pałacu, tym razem może już w towarzystwie drugiego również starannie ukrywającego się cienia.

W jakikolwiek sposób, miał nadzieję, że dowie się jeszcze czegoś więcéj. Nie opuszczał więc swojego stanowiska. Tak upływały mu w oczekiwaniu minuty, potém kwadranse. Już może stał przy oknie od pół godziny, a nic nowego nie zobaczył. Piekła go ciekawość połączo-

na z pewną złośliwością. Począł się niecierpliwić i uczuwać znużenie.

Jednym razem — może dla rozerwania jednostajności swego czuwania — spojrzał w górę i z niemałém zdziwieniem zobaczył tam drugie znowu zjawisko.

Na drugiéj stronie zamku pod kątem ukośnym od okna, z którego patrzył kuzyn grafa, była baszta pokryta płaskim dachem, tworzącym platformę. Na tym to dachu zobaczył podróżny postać męzką w długiéj sukni obszernéj spadającéj, jak się zdawało aż po za kolana. Postać ta nie miała żadnego nakrycia na głowie, ale za to włosy nie zwykłéj długości i takąż prawdopodobnie brodę. — W chwili kiedy ją spostrzegł, była ona prawie profilem do niego zwróconą i pochyliła się, przykładając twarz do wielkiéj lunety na platformie ustawionéj, którą podróżny łatwo rozpoznał po blasku od metalu padającym. Nie można było wątpić, że człowiek ten zajęty był jakiemiś obserwacjami po niebie.

Nie trwały one jednak zbyt długo. Astronom odstąpił parę kroków od swego narzędzia, rozkrzyżował ręce i podniósł je do góry. Wtenczas mógł podróżny widzieć dobrze długie rękawy od

jego sukni zwieszające się poniżéj pasa jakby u togi doktorskiéj, a jakie widywał nieraz na obrazach niektórych świętych. Nizka postać astronoma wydawała mu się wówczas równie szeroką jak wysoką i mimowoli wywoływała na jego twarz serdeczny uśmiech.

Po chwili takiego zachwycenia czy téż zatopienia się w gwiaździstém niebie, astronom ukląkł, pochylił głowę i złożył ręce jak do modlitwy w kościele. Ta pozycja trwała już dłużéj niż poprzednia, a wpatrywanie się w to zjawisko na wierzchu baszty zaczęło nareszcie nudzić kuzyna grafa. Równocześnie dochodził także do przekonania, że obserwacje jego na ziemi nie otrzymają pożądanego rezultatu, a potrzeba snu tak niespodzianie przerwanego, coraz bardziéj nęciła go do wygodnego łóżka, które o kilka kroków od niego stało. Rzuciwszy więc jeszcze ostatnie, badawcze spojrzenie między drzewa, które niedawno zakryły mu postać ciekawszą od owego astronoma na dachu, zamknął okno, mruknął przez zęby:

— Jakiegoś warjata mają tu na zamku! — i zrzuciwszy ze siebie ubranie, zasnął tym razem już nie na sofie ale na łóżku dla niego przygotowaném.

Kolligacje i bohaterskie czyny.

Dopiero kiedy już dobry dzień się zrobił, sen naszego podróżnego zaczął być cokolwiek niespokojniejszym. Śniła mu się jakaś muzyka głośna i hałaśliwa, która niby grała pod oknami jego pokoju na dziedzińcu zamkowym. Kuzyn grafa przebudził się w téj chwili, nie wiedząc czy to sen, czy rzeczywistość; nadstawił uszu, ale nic nie usłyszawszy zasnął znów z niemałém dla siebie zadowolnieniem, że może jeszcze użyć spoczynku, chociaż słońce wysoko już było na niebie i chociaż z dziedzińca zalatywał go jakiś niewyraźny gwar.

Ale niedługo ten sam sen znowu się powtórzył i jeszcze wyraźniej. Zdawało mu się, że rozróżnia nawet w téj muzyce głosy trąby i kotłów. Wmówił więc w siebie przez sen, że to niewątpliwie wspomnienia obozowe, silnie utkwiwszy w jego głowie, dzisiaj jeszcze kiedy chciał o nich zapomnieć, jakby na przekorę, stawały mu na pamięci i przedrzeźniały się jego spoczynkowi.

Nareszcie kuzyn grafa zbudził się już na dobre i upewnił się w tém przekonaniu, że owa muzyka była złudzeniem snu, bo w całym zamku panowała cisza i milczenie jak dnia poprzedzającego, a nawet takie same pustkowie jak wczoraj, o czém nie omieszkał się przekonać, wyjrzawszy przez okno.

Czuł się zdrowym i rzeźkim jak rzadko, dlatego zapewne począł sobie nucić półgłosem jakąś piosenkę żołnierską czy téż arję z wodwilu, bo tego z jego śpiewu nie można było rozróżnić. Z takim akompanjamentem nasz podróżny zrobił swoją toaletę, która nie kosztowała go zbyt wiele czasu, a następnie zjadł śniadanie, przyniesione przez lokaja podług jego dyspozycji.

Właśnie kończył śniadanie, kiedy drzwi pokoju się otwarły i wszedł jakiś młody mężczyzna.

Przybyły nie miał więcéj jak lat dwadzieścia jeden lub dwa. Jasne włosy spadały mu bujnie z szerokiego czoła, a w czystych niebieskich jego oczach, w smętnym uśmiechu, jaki zdawał się być mu właściwy, panował wyraz niezwykłéj u mężczyzn łagodności. Cała téż postawa młodzieńca wysmukła i delikatna, miała

w sobie coś kobiecego, chociaż znowu pewna stanowczość i powaga jego ruchów pokazywały w nim poczucie swojéj męzkiéj godności i siły. Zresztą był to bardzo piękny młodzieniec i wydawałby się świeżym jak rozkwitający kwiat, gdyby nie jakaś bladość nienaturalna, która wrodzonéj białości jego cery nadawała matową przezroczystość alabastru.

Młodzieniec ten miał na sobie ubranie bardzo wytworne: niebieski frak ze złotemi guzikami, białe, obcisłe, z cienkiéj łosiowéj skóry pantalony, wysokie lakierowane buty ze sztylpami i w ręku mały okrągły kapelusz.

Kuzyn grafa na jego widok zerwał się szybko ze stołka, i wybiegł kłaniając się na środek pokoju.

Młodzieniec pochylił głowę i odezwał się pierwszy:

— Ojciec kazał pana przeprosić, że dotąd z nim się nie widział. Jeszcze wczoraj powiedziano mu o pańskim przyjeździe, ale widzisz pan — mówił z uśmiechem — u nas dzisiaj wielkie, podwójne święto, dlatego nie miał czasu sam tu przybyć i mnie wysłał w zastępstwie.

Obaj usiedli. Podróżny wiedział już,

że ma przed sobą syna hrabiego, ale zdziwił się znowu, że ten nie pyta o jego nazwisko ani po co przyjechał. Postanowił więc jak najprędzéj dać sam potrzebne objaśnienia.

— Spadłem do domu pana hrabiego jak bomba — odezwał się z uśmiechem, którym chciał położyć nacisk na swoje dowcipne porównanie — ni ztąd ni zowąd, prawdziwie jak żołnierz zagnany wichrem wojny.

— Ojciec mój rad widzi każdego w swoim domu, i gościnność uważa za jednę z najpiękniejszych naszych cnót — odpowiedział młody hrabia uprzejmie ale bez żadnéj afektacji.

— To bardzo pięknie, bardzo pięknie. Gość w dom, Bóg w dom, powiada staro-polskie przysłowie. Tym razem widzisz pan hrabia przed sobą jednego ze swych kuzynów....

Młody hrabia przypatrzył się podróżnemu, jakby nie mógł poznać w nim tego kuzyna, o którym on mówił.

— Jestem Stefan Zawiła, herbu Radwan — dodał kuzyn, jakby dla objaśnienia młodzieńca, który mimo to nie więcéj zdawał się jak przedtem wiedzieć.

— Matka moja była *primo voto* za

Russanowskim z pod Kalisza, którego brat miał za żonę panią Niemiryczową, ciotkę matki panny Wandy Nideckiéj.

— Panny Wandy!.... zawołał żywo młodzieniec, a twarz jego oblała się rumieńcem.

— Tak jest panny Wandy Nideckiéj, mówił daléj Zawiła nie zważając na to mimowolne wzruszenie młodzieńca, jestto najlepsza i najpiękniejsza z moich kuzynek jakie znam, bo nie wszystkie znam zapewne. Miły Boże! u staréj Niemiryczowéj nie raz grałem z nią w zielone i w ciuciu babkę, panie hrabio, choć znacznie jestem od niéj starszy. — Zresztą musisz pan najlepiej wiedzieć, co to za miłe stworzenie.

— Bądź pan pewnym — rzekł młodzieniec ze spokojnym uśmiechem — że odkąd bawi w naszym domu, wszyscy ją tu szanują i uwielbiają.

— Bardzo temu wierzę, bardzo temu wierzę. Otóż widzisz pan hrabia jako kuzyn panny Wandy, jestem także i jego kuzynem, bo Nideccy z Ochockimi są jak mi wiadomo w jakiejś parenteli.

Młody hrabia podał mu rękę:

— Będziesz nam pan podwójnie miłym gościem.

— Dziwnym przypadkiem dostałem się tu do państwa — mówił dalej Zawiła.— Jak pan widzisz po moim uniformie jestem człowiek wojskowy. Służę już parę lat w szeregach księstwa warszawskiego. Teraz wybrałem się z wielkim Napoleonem na wyprawę do Rossji. Należę do armji pod rozkazami marszałka Davoust, który tworzy prawe skrzydło cesarza. — Czytałeś pan zapewne w gazetach, że przez całą Litwę przeszliśmy bez wystrzału, Rossjanie wszędzie cofali się przed nami. Dopiero nad Dnieprem udało nam się ich złapać. Pod Mohilewem gracko się spisaliśmy — to każdy przyzna, a było nas jeden naprzeciw trzem. Bo też to armja jakiéj świat nie widział... za nic Xerxes i Aleksander Wielki!.... Z cesarzem przejdziemy przez całą Europę jak przez salon, pójdziemy do Azji i Anglików z Indji wykurzymy!...

Przy tych wyrazach zapał pana Zawiły zdawał się nabierać wyrazu prawdziwego przekonania. Oczy jego zwykle tu i tam latające naraz spoważniały i utkwiły w jeden punkt, jakby w tym punkcie widział złotego cesarskiego orła. W jednej chwili jednak pochylił głowę i spojrzał na swą rękę na temblaku z jakimś gorzkim uśmiechem:

— Ale co mnie o tem marzyć!...... Moja karjera już skończona!.... Ot widzisz pan hrabia to pamiątka bitwy pod Mohilewem. Jakiś kozak poczęstował mię tak z pistoletu..... Odpłacił za to, bo go na tamten świat posłałem, ale cóż mi z tego?... Jestem inwalida niezdatny do boju.

Nastała chwila milczenia, w któréj Zawiła zdawał się dumać nad swem nieszczęściem. Młody hrabia umiał ją uszanować i milczał także. -

— Leczyłem się najprzód w Owruczu u moich kuzynów Nossowskich. — Tam właśnie dowiedziałem się, że hr. Ochocki mieszka w tych stronach. Przypomniało mi się pokrewieństwo z zacnym domem państwa, przypomniałem sobie — że moja kochana kuzynka panna Wanda także tutaj bawi i pomyślałem sobie, że kiedy już nie mogę służyć marszałkowi i cesarzowi, to trzeba użyć sposobności i odwiedzić drogie memu sercu i szanowne osoby i zabawić kilka dni między niemi.

To mówiąc Zawiła, podał swą wielką dłoń młodzieńcowi, jakby przez to chciał utwierdzić związki świeżo zawartego pokrewieństwa.

Można być zdrowym i być inwalidem.

Lewa ręka pana Zawiły, zawieszona na temblaku, nie byłaby mu przeszkadzała całkiem w dalszéj karjerze wojskowéj, gdyby tylko miał był troszeczkę dobréj woli. Prawdę mówiąc, nie był inwalidem ale maroderem. Ogromna armja Napoleońska wgłąb Rossji dążąca zostawiała za sobą tysiące podobnych rycerzy, których więcéj niż sława cesarza zapalała myśl dostania się do spokojnego domowego ogniska. Przed sobą mieli nieprzebyte przestrzenie nieprzyjacielskiego kraju, — bitwy i utarczki, rany i śmierć, a do tego nadzieję może niedostatku i głodu. — Armja ta wyruszyła przeciw nieprzyjacielowi w środku lata, ale po lecie następowała dżdżysta, słotna i błotnista jesień, zabijająca w tym klimacie, a potem jeszcze mroźna okropna zima. Nie wszyscy mogli mieć w sobie tyle wiary, że pod sztandarami cesarza wszystkie te przeszkody zwyciężą, że pod jego okiem tych klęsk i utrapień nie będą czuli. — Wielu bardzo z téj zbieraniny różnych

narodów szło niechętnie w szeregach francuskiego wojska, czując więcéj wstrętu i nienawiści niżeli sympatji dla tego ludu i jego władcy. Wielu także szło dla tego, że byli żołnierzami, zapisanymi do pewnych pułków i kompanii bez zapału, bez przekonania, jedynie z musu i obowiązku. Jeźli się takim zdarzyła sposobność opuszczenia chorągwi, pozostania w tyle za innymi, z jakiegokolwiek pozoru, korzystali z niéj bardzo chętnie i rozmaitemi sposobami odbywali marsz wstecz, gdy cała armja szła jeszcze naprzód.

Zawiła do tych ostatnich należał. — Przed czterma laty wstąpił do wojska księstwa warszawskiego — bo nie wiedział, coby mógł lepszego ze sobą zrobić. Bardzo młodo stracił ojca, dla matki nie miał nigdy uszanowania ani posłuszeństwa. Odziedziczywszy nie wielką schedę, uważał za swój obowiązek jak najprędzéj ją stracić. Pohulał sobie czas jakiś i już nie tylko dochodów ale i majątku nie było. W takiem położeniu zaciągnął się do wojska i długo bardzo był rad z tego, bo chociaż bardzo przystojnym nie był, zdawało mu się jednak, że w ułańskim mundurze dobrze wygląda,

zwłaszcza kiedy coś po dwu latach awansował na oficera.

Aureola otaczająca Napoleona nie zaślepiła bynajmniéj jego oczu; widział on bardzo dobrze, że utrzymanie téj aureoli na głowie cesarza jego samego może narazić na rozmaite przykrości i niebezpieczeństwa. Był zatem gotów poświęcić ją każdéj chwili dla własnego dobra. Jeszcze przed bitwą pod Mohilewem przy ujeżdżaniu konia (bo jeździcem był doskonałym) miał nie wielki wypadek — przy którym potłukł sobie lewą rękę. — To uwolniło go od brania udziału w bitwie a następnie wyjednało mu miejsce w lazarecie. Z lazaretu, którego nie uważał za miejsce dosyć od dalszéj służby zabezpieczające, przeniósł się na dalszą kurację aż w okolicę Owrucza do swych dalekich krewnych, którzy mu wtenczas jakby z nieba spadli, a potem znów do jakiegoś swego kolegi szkolnego około Żytomierza, bo pamiętał zawsze o tem, ażeby od armji cesarskiéj jak najwięcéj się oddalać.

Wprawdzie najmiléj byłoby mu wracać do Warszawy, gdzie kilkuletni pobyt przyjemne w nim zostawił wspomnienia. Ale nie miał na tyle cywilnéj

odwagi, aby powrócić między znajomych niewiadomo w jakim charakterze. Resztki honoru w nim się odezwały i skierował się w strony nieznane, uspokoiwszy tém także swoje sumienie, że dla honoru narodowego dosyć uczynił, opuszczając szeregi z chorą ręką na temblaku, o któréj nadto można było powiedzieć, że miała w sobie kulę kozacką.

W czasie téj wędrówki swojéj rzemiennym dyszlem słyszał nieraz o hrabim Ochockim mieszkającym w Ostrowcu jako o wielkim bogaczu trochę dziwaku i nadzwyczaj hojnym panie. Przypomniał sobie, że nazwisko to obijało się o jego uszy jeszcze dawniéj.

— Ba, ale gdzie to być mogło? — pomyślał sobie Zawiła. — Aha, już wiem. Mówiono mi o nim u Niemiryczów, gdy roku przesłego byłem tam na weselu panny Katarzyny. Właśnie w tym czasie ten stary Krezus zabrał ztamtąd pannę Wandę. Nie mogli się dosyć nagadać o ogromnych jego pieniądzach. Hrabia darował ciotce brylantowe kólczyki, a pannie Katarzynie takąż kolją. Chwalono go bardzo.

— No — mówił do siebie daléj — jeźli mi nie źle było u tych szaraków,

cóżby dopiero u takiego magnata? A ponieważ panna Wanda jest jakąś jego kuzynką, a ja podobno także jéj kuzynem, więc i pomiędzy nim a mną musi być jakieś kuzynostwo. Zresztą dyshonoru mu nie zrobię, jestem żołnierz, oficer od ułanów, biłem się w wojskach Napoleona pod wodzą księcia Józefa... Nie ma się co namyślać, tylko jechać do starego grafa, a jak się tam człowiek dobrze wtuli, to mnie już i sam djabeł nie wypędzi.

Przy tym praktycznym zmyśle Zawiła miał także wiele romantycznéj wyobraźni. Roiły mu się po głowie huczne zabawy, gwarne i liczne biesiady, dużo pięknie ustrojonych dam, kilka gładkich panien respektowych, co wszystko pragnął i spodziewał się znaleźć na dworze swego kuzyna.

Nie miał nic do stracenia, wszystko do zyskania — wybrał się więc, pożegnał czule swego kolegę, i dojechał na swym gniadoszu aż do Ostrowca.

Młody hrabia uścisnął zlekka rękę, którą mu Zawiła podał, a wtedy ten zapytał z pośpiechem:

— Kiedyż i gdzie będę mógł złożyć moje uszanowanie państwu hrabstwu?.....

— Moja matka już dawno nie żyje — odpowiedział młodzieniec.

— Przepraszam — rzekł Zawiła jakby żądał przebaczenia za jakąś niegrzeczność, i prędko znów dodał:

— Więc pana hrabiego?.....

— Właśnie ojciec przysłał mię do pana z propozycją, czybyś nie zechciał pojechać razem ze mną na uroczystość, która dzisiaj u nas się odbywa, i gdzie mój ojciec już się udał.

— Z całego serca, panie hrabio, jestem na usługi.

— Więc pójdźmy, nie mam czasu do stracenia, cały orszak już więcéj jak przed pół godziną z zamku wyruszył.

Zeszli na dół, gdzie już czekały na nich dwa dzielne konie ze stajni hrabiego, i za chwilę wyjechali galopem za bramę.

Zawiła znalazł się w znanéj mu już alei lipowéj, a potém na drodze wiodącéj do miasteczka. Kiedy byli w połowie może téj drogi, syn hrabiego wskazując polną drożynę na prawo rzekł:

— Pojedziemy tędy na przełaj i całemu pochodowi zajdziemy w drogę.

Po kilku minutach jazdy, młody hrabia znowu się odezwał:

— Już jesteśmy blisko miejsca. Ale tu trzeba nam zsiąść z konia. Ojciec gniewałby się, gdybyśmy konno tam zajechali.

Widać zamówiony stał już w tém miejscu pod drzewem młody kozaczek na koniu, który odebrał od nich wierzchowce.

— Konie będą tu na nas czekać — rzekł młody hrabia.

— Ale powiedz mi pan — odezwał się Zawiła, kiedy już pieszo szli daléj drogą — jaką to uroczystość państwo dziś obchodzicie. Wprawdzie dzisiaj, jeźli się nie mylę, jest święto Matki Boskiéj Zielnéj...

— Zobaczysz pan niedługo — odpowiedział syn hrabiego z uśmiechem — nie chcę panu psuć niespodzianki.

W téj chwili doszły ich bliskie brzmienia muzyki ale niknące na ogromnéj przestrzeni podolskich pól. Zawiła poznał w niéj tony i instrumenta, które słyszał dziś rano we śnie, i domyślił się, że to ta sama muzyka, którą on brał za złudzenie, musiała na dziedzińcu zamkowym wygrywać.

Niedługo weszli na pagórek, który im dotąd dalszy widok zasłaniał. Tutaj także

kończyła się drożyna, prowadząca do drogi od miasteczka, jak Zawiła łatwo poznał, postrzegłszy na prawo w pewném oddaleniu znany sobie Ostrowiec i wysoką czerwoną wieżę kościoła.

W jednéj chwili przed jego oczami roztoczył się widok, który swoją niezwyczajnością mocno zajął Zawiłę.

Pochód uroczysty.

Droga od Ostrowca wiodąca roiła się od różnobarwnych tłumów ludzi wiejskich wszelkiego wieku i płci.

Był to pochód procesjonalny ułożony widocznie według pewnego programu.

Na samym przodzie tego pochodu środkiem drogi jechał na koniu pałkierz, mający po obu swoich bokach dwóch trębaczy również konno. Ci muzykanci ubrani byli na średniowieczny sposób, w kaftanach czerwonego koloru, w czarnych biretach na głowie przy których powiewały długie strusie pióra. Przy trąbach wisiały czworograniaste, małe sztandary żółtéj barwy, na których czerwoną nicią wyszyte były grubo herby hrabiego. — Pałkierz żwawo uderzał w kocioł przy-

wiązany po jednéj stronie konia, a wtórowali mu trębacze wygrywający marsza. Za trębaczami i pałkierzem szedł pieszo człowiek z wielką chorągwią, téj saméj barwy i z tym samym herbem co sztandary trębaczy.

Długie dwa rzędy wiejskich kobiet i dziewcząt po obu stronach drogi postępowały za tą chorągwią; dziewczęta niosły w rękach pęki kwiatów, a kobiety sierpy; wszystkie ustrojone były świątecznie.

Dwóch starców na koniach poprzedzało podobnyż szpaler z mężczyzn złożony. Tak starcy jak i inni pieszo idący, trzymali w rękach widły. Środkiem tego szpaleru szła hałaśliwa muzyka wiejska i niesiono dwie chorągwie.

Na jednéj z tych chorągwi był obraz przedstawiający żeńców i żniwo z jednéj strony, z drugiéj zaś kosiarzy zajętych zbieraniem siana. Pod obrazami czytać można było napis:

„Nie miéj w nienawiści robót pracowitych, ani sprawowania roli postanowionego od Najwyższego“.

Na drugiéj chorągwi wymalowany był Dawid śpiewający psalmy przy odgłosie harfy w świątyni pańskiéj, a na drugiéj

stronie wypisany cały psalm CLXVIII w tłómaczeniu Karpińskiego:

Mieszkańce nieba wychwalajcie Pana,
Co tylko w tamtych stronach waszych żyje,
Niech od aniołów cześć Mu będzie dana,
Niech Mu sług jego orszak czołem bije itd.

Cały ten orszak zwolna postępujący minął drożynę, z któréj młody hrabia i Zawiła mu się przypatrywali. Ale niedługo nastąpiła za nim druga część pochodu. Porządek i tutaj był taki sam. Na czele szły znów kobiety, za niemi dwóch starców konno, a daléj mężka ludność. Starcy jednak i mężczyzni nie mieli w rękach wideł tylko grabie. Środkiem tego szpaleru szła muzyka, cztery mniejsze chorągwie z godłami wsi, których ludność tę część pochodu tworzyła, i wielka czworograniasta chorągiew z napisem:

„Czcij Pana z majętności twojéj a z pierwiastek wszelkiego zboża twego dawaj Mu, a napełnią się gumna twoje obfitością i pracy twoje winem opływać będą“.

Kilkanaście kroków oddzielało ten orszak od następującego. Ludność mężka i starcy konno jéj przodujący nieśli w rękach cepy; pięć chorągwi mniejszych po-

wiewało nad nimi i jedna wielka mająca na sobie napis:

„Ja Pan Bóg wasz. Będę chodził między wami i będę Bogiem waszym, a wy będziecie ludem moim. Zachowajcie święta moje, a na świątnice moje strachajcie się. Ja Pan“!

Ostatnie wreszcie sześć wsi postępowały w takim samym porządku, z tą tylko różnicą, że starcy i mężczyzni mieli wszyscy w rękach kosy, a na wielkiéj chorągwi błyszczały biało wypisane słowa:

„A gdy zbierzecie wszystkie owoce ziemi waszéj, będziecie obchodzić święto Pana. I weźmiecie sobie dnia pierwszego owoce z drzewa najpiękniejszego i rószczki palmowe i gałęzie drzewa, gęstych gałęzi i wierzbiny od potoku i będziecie się weselić przed Panem Bogiem waszym“.

Cały ten tłum przesunął się przed oczami Zawiły, który ciekawie mu się przypatrywał. Bawili go owi starcy z poważnemi minami, z długiemi siwemi brodami siedzący na koniach jak tryumfatorowie, a przypominający trzymanemi w ręku narzędziami mitologicznych Saturnów i Neptunów, również jak dworscy trębacze i wiejscy muzycy, którzy choć nie z wielkiem artyzmem, wesoło jednak i

ochoczo przegrywali marsze i inne pieśni. Z niemałém także zajęciem przypatrywał się kraśnym twarzyczkom dziewcząt, które na ten dzień staranniéj pozaczesywały swe włosy, powplatały w nie świeże czerwone tasiemki i kwiatki, i wzięły na siebie najcieńsze, czerwono na ramionach wyszywane koszule.

Nad głowami tego pochodu szumiały chorągwie, w lśniących się sierpach i kosach słońce odbijało swoje promienie, a wśród powszechnego milczenia tylko tony muzyki rozlegały się po polach.

Nie był to jednakże koniec jeszcze téj procesji. Za ostatnim jéj oddziałem, Zawiła ujrzał kilkaset pługów ciągnionych przez woły, a postępujących równie jak ludzie dwoma szeregami po obu stronach drogi. Jarzma tych wołów przystrojone były w gałęzie i kwiaty polne.

Za pługami niesiono znowu dwie wielkie chorągwie, mające na sobie napisy łacińskie. Na jednéj było napisane:

Triumphus laboris.

a na drugiéj:

Triumphus rei rusticae.

Poprzedzały one olbrzymi pług ciągniony przez ośm wołów również przystrojonych w girlandy z kwiatów, liści i z kło-

sów uwite. Pług ten szedł środkiem drogi, po jednéj i po drugiéj stronie jego kilku znów muzykantów wygrywało na dętych instrumentach słodkie, sielskie melodje, a prowadził go jakiś młody chłopczyna w fantastycznym ubiorze Teokrytowych pastuszków. Kilka dziewic, widocznie należących do familji dziedzica albo też córek okolicznéj szlachty otaczało tego młodziutkiego oracza. Wszystkie były biało ubrane, miały na ramionach szarfy niebieskie lub ponsowe, i w ręku niosły girlandy z kwiatów.

Za tym olbrzymim pługiem szła znowu druga partja pługów podobna do pierwszéj i mniéj więcéj liczbą jéj równa.

Zamykał wreszcie całą tę procesję wielki wóz drabiniasty, do którego było zaprzężonych sześć wołów niemniéj strojnych jak te, które pługi ciągnęły. Wóz ten umajony był gałęźmi i naładowany wysoko snopkami zboża.

Tłum ludzi za nim postępujący, szedł już wielką gromadą, nie w tym procesjonalnym porządku, jakiego cały orszak dotychczas się trzymał. Byli to oficjaliści hrabiego, nieco okolicznéj szlachty, mieszczanie tak chrześcjańscy jak i żydowscy z Ostrowca i różne bractwa ze swemi chorągwiami.

Zawiła i młody hrabia przyłączyli się do tego tłumu zaraz z początku i poszli z nim dalej drogą, tak, że Zawiła nie spostrzegł tego, że na samym końcu orszaku szła jeszcze jedna ostatnia osoba, która bezwątpienia byłaby najwięcéj jego ciekawość zajęła.

Kapłan z powołania.

Na rozległéj równinie, która mogła być ugorem albo pastwiskiem, znalazło się niedługo całe to zgromadzenie. Widać, że podobne uroczystości nie były nowością, bo bez wydawania rozkazów, bez żadnéj komendy wszystko i tutaj znowu szło jakby według pewnego przepisu. Przytomni ustawili się w czworobok, a pługi z zaprzęgami wyciągnięto w jedną linję.

Na równinie nie było drzew, tylko na jednéj stronie z utworzonego przez obecnych czworoboku, wznosiła się kępa dębów, które szeroko swoje gałęzie rozwieszały.

Młody hrabia i Zawiła wraz z przytomnymi tworzącymi koniec orszaku, dostali się właśnie na to miejsce, jak się zdaje przeznaczone dla dystyngowańszych osób i gości. Owe panienki biało ubrane

z girlandami w rękach, młodziutki oracz ze swym pługiem, wreszcie i ów wóz ze snopkami, byli tutaj także zabezpieczeni od spieki dobroczynnym cieniem dębów, i stali do koła polowego ołtarza okrytego dywanami, na którym umieszczono jedynie wielki z hebanowego drzewa krucyfiks, a po bokach jego w srebrnych lichtarzach dwie zapalone woskowe świece.

Całe zgromadzenie zająwszy swoje miejsca, uklękło na kolana. Mężczyzni pozdejmowali czapki, i z tysiąca piersi z towarzyszeniem muzyki, ozwał się jeden z wniosłych psalmów Dawida.

Kiedy śpiew ten nareszcie umilkł, zjawiła się koło ołtarza nowa osoba, któréj tam dotąd nie widziano, a taż sama, która postępowała na samym końcu orszaku w milczeniu i ze zwieszoną głową.

Był to mężczyzna w podeszłym już wieku. Włosy miał białe, długie aż do ramion i na środku głowy rozdzielone.— Twarz jego wyglądała poważnie i majestatycznie, a dodawała jéj jeszcze powagi długa broda sięgająca aż do pasa. Był wzrostu niskiego, ale szerokie jego barki i pierś znamionowały w nim wielką siłę; twarz gładka, niepoorana zmarszczkami, cera czerstwa i zdrowa i oko jasne zda-

wały się świadczyć, że człowiek ten może nie jest tak starym, jakby wnosić należało z siwizny jego włosów.

Ubranie, jakie miał na sobie, czyniło go osobliwszém jakiemś zjawiskiem i musiało zwrócić uwagę każdego, ktoby do tego widoku nie był przyzwyczajony. Okrywała go bowiem czarna aksamitna toga, długa aż po kostki i w pasie przewiązana grubym jedwabnym sznurem. Rękawy téj togi czerwonym atłasem podbite, były też niezwykłéj szerokości, tak że kiedy ręce trzymał złożone, sięgały prawie do samych stóp, a kiedy rękę podniósł, wydawały się jak gdyby skrzydło nietoperza.

Zawiła skoro spostrzegł tę postać, przypomniał sobie, że już coś podobnego widział na zamku Belmont i nie długo szukał w pamięci, ażeby się utwierdzić w przekonaniu, że to jest ów astronom, który wczorajszéj nocy odbywał obserwacje na platformie baszty.

Ujrzenie tego znajomego z nocnych wczorajszych obserwacji, przywiodło mu także mimowoli na pamięć i drugie zjawisko, które tak bardzo jego ciekawość podrażniło. A skoro znalazł astronoma, spodziewał się także znaleźć w tém zgro-

madzeniu i ową tajemniczo przez ogród przekradającą się kobietę. Zwrócił więc swoje spojrzenie z zamiarem wyszukania jéj na grono kobiece, na te szlachcianki biało ubrane z girlandami, robiąc sobie ten dosyć uzasadniony domysł, że ona pomiędzy niemi znajdować się musi. — O ile mógł to uczynić z odległości kilkunastu kroków i stojąc w ciżbie, obejrzał wszystkie badawczo jednę po drugiéj, ale nie doszedł do pożądanego rezultatu. Zresztą nie było to rzeczą tak łatwą. Wszystkie te panny stały na miejscu, nie mógł zatém widzieć ich ruchów, a prócz tego ubranie nocnego zjawiska o wiele było odmienne od dzisiejszego dziennego i świątecznego stroju tych panien.

Przy tym przeglądzie niewieścich twarzyczek poznał jednak dawną swoją znajomą, pannę Wandę, pomimo tego, że ze zdziwieniem sam do siebie się odezwał:

— Jaka ona teraz ładna!... a jaka dumna!... dawniéj to było takie chude i potulne.

Przy pannie Wandzie stała inna jakaś panienka, nawpół jeszcze dziecko, z jasnemi włosami, z wielkiemi niebieskiemi oczami, które zpod słomianego kapelu-

sika z niebieską wstążką, z widoczném przejęciem przypatrywały się odbywającéj się ceremonji. Wyraz jéj twarzy miał w sobie tyle słodyczy i niewinności, że Zawiła mimowolnie powiedział sobie w duchu:

— To już pewnie nie ta!... zresztą tamta była daleko wyższa.

Starzec w todze tymczasem przystąpił do ołtarza, podniósł głowę i rozkrzyżował ręce, podobnie jak wczorajszy astronom pana Zawiły i chwilę zdawał się być pogrążonym w gorącéj, niemej modlitwie.

Przez czas trwania téj modlitwy poskładano przed nim na ołtarzu kilka snopków, pęki ziół i kilka gałązek z owocami. Starzec przestawszy się modlić, wziął do ręki kropidło umaczane w święconéj wodzie, którą trzymał stojący przy nim wiejski chłopak, i pokropił leżące na ołtarzu płody ziemi. Potém odszedł kilka kroków i w ten sam sposób poświęcił ów olbrzymi pług i jego zaprzęg, następnie rzucił hojnie kroplami z kropidła w kierunku wyciągniętych pod jedną linją pługów, a wreszcie pokropił ziemię i przytomnych na wszystkie strony czworoboku.

Po skończeniu tego poświęcenia przystąpił znów do ołtarza, odwróciwszy się twarzą do zgromadzonych zaintonował hymn Ambrozjański: „Te Deum laudamus“, i upadł na kolana trzymając przez cały czas śpiewu ręce wzniesione do góry.

Zawtórowało mu zgromadzenie, podobnież na kolanach posyłając swoją pieśń w niebo.

Ostatnie echa hymnu skonały już na odległych krańcach horyzontu, kiedy starzec powstał i zrobił w milczeniu wielki znak krzyża na swoich piersiach.

Cisza w jednéj chwili ogarnęła całe zgromadzenie, jak w kościele podczas podniesienia. Zdawało się, że wszyscy choć najdaléj stojący chcieli słyszeć słowa, któremi się do nich odzywał głosem dobitnym, pełnym i silnym.

W prostych wyrazach, zastosowanych do pojęcia zgromadzonego ludu, przemawiał do nich o obowiązkach chrześcijanina i człowieka i podawał im zdrowe i praktyczne zasady uczciwego życia. Słowa swoje popierał często cytacjami z pisma św. starego i nowego zakonu, ale nie wdawał się bynajmniéj w dogmaty i w tłómaczenie tajemnic wiary, które

zawsze, chociażby było jak najrozsądniejsze, bałamuci tylko umysły i nic ich nie oświeca.

W całéj przemowie chodziło mu też widocznie tylko o zaszczepienie w sercach słuchaczy prawideł moralności i o przekonanie ich, że jedynie cnotliwe życie może dać człowiekowi szczęście na ziemi. Dotykał rozmaitych przedmiotów, mówił o miłości bliźniego i o równości ludzi między sobą wobec Boga i prawa, o zgodzie, jaka między wszystkimi, a zwłaszcza między mieszkańcami jednéj gminy dla wspólnego ich dobra panować powinna; dosyć długo zastanawiał się nad dobrodziejstwem wynikającém z pracy, która wzmacnia ducha ludzkiego, uszlachetnia serce i sama jedna daje prawo do większego szacunku i znaczenia, a przytém wskazał także na wielką wartość czasu, jako najdroższego skarbu dla człowieka.

Wszystkie te różnorodne przedmioty łączyły się jednak z sobą w jednę całość i nie było w nich nic, coby wychodziło za zakres powszedniego życia wieśniaczego, jak znów z drugiéj strony mówca umiał tak rzecz ułożyć, że nie opuścił ani jednego ważniejszego momentu

tego życia, i dla każdego z nich dał potrzebne rady i wskazówki.

Słowa płynęły mu z ust swobodnie i jakby z pewném natchnieniem. Nie było w nich nic powiedzianego na próżno, na wiatr, dla efektu albo pięknego frazesu. Znać było, że mówca, co mówił, czuł doskonale, że jego nauki i rady pochodziły z gruntownéj znajomości życia i doświadczenia.

Nie dziw więc, że słuchaczy chwytał za serce. Istotna prawda jego słów przemawiała do każdego umysłu i każdemu zdawało się, że to co słyszał, było tylko echem i powtórzeniem tego, co czuł i myślał w swojéj duszy. Każdy powiadał sobie w duchu: „tak być powinno“, albo „tak jest w rzeczy saméj“. To też zaledwie starzec dokończył ostatnich swych wyrazów, prostoduszni jego słuchacze, nie przyzwyczajeni tłumić i pokrywać swoich wzruszeń, zawołali jakby jednym głosem:

— Bóg zapłać nasz panie, nasz ojcze, nasz patrjarcho!

Gromadka na uboczu.

Nie wszyscy jednak z równém przejęciem i zapałem słuchali słów hrabiego.

O kilka kroków za ołtarzem, w pewném oddaleniu od słuchającéj ciżby, zebrała się mała gromadka, która zdawała się niebardzo żywy brać udział w tém, co się działo. Ostatnie smugi cienia, padające od dębów koło ołtarza, zasłaniały tych trzech ludzi od promieni słonecznych. Jeden z nich usiadł na ziemi, na małéj podniosłości, dwaj inni stali przy nim.

Ten, który siedział, był to wikary parafji ostrowieckiéj. Wysokiego wzrostu, kościsty ale chudy, rysy miał nieregularne i grube. Nos niestosownych rozmiarów dominował na całéj twarzy, a usta szerokie i niekształtnie rozcięte pokazywały w nim zwierzęce skłonności. Coś wilczego było w całéj téj fizjognomji, bo nie brakowało tam ani długich, spiczastych zębów, ani oczu bystrych, rzucających przed siebie spojrzenia jakby upatrywały łupu. Dzikość uczuć i pragnień w połączeniu z gburowatością myśli

i poziomém zapatrywaniem się na świat, to były zapewne najważniejsze czynniki, które się na utworzenie téj natury składały.

Stojący obok niego nizki, okrąglutki i pulchny człowieczek, z podłysiałą głową i złotemi okularami na nosie, tworzył uderzające przeciwieństwo do swojego sąsiada. O ile na twarzy tamtego widać było surowość, zawziętość i upór, o tyle pan Kopajło miał minę prostoduszną, na pozór łagodną, a obok tego filuterną i troszkę złośliwą. Na jego ustach przebywał ciągły uśmiech lekkiéj ironji.

Z powołania był on lekarzem, doktorem nadwornym hrabiego. Na medycynie znał się bardzo mało, nie więcéj jak który z Molierowskich lekarzy, i ulubione też były przez niego te środki, które lekarze w komedjach Moliera swoim pacjentom zwykle zalecają. Pan Kopajło (rodem Litwin i przeciągłym akcentem litewskim mówiący) wyprzedził o wiele postęp swojéj nauki i już wtenczas, w początkach naszego stulecia, uprościł je znakomicie. Mimo to był on posiadaczem znacznego majątku w kapitałach. Ludzie rachowali go na jaki miljon złotych. Pieniędzy tych nie zebrał p. Kopajło z prak-

tyki lekarskiéj, ale z rozmaitych spekulacji, z handlu itp.

Nie nawidził on w duszy hrabiego, bez wątpienia dlatego, że na jego dworze zbyt mu się dobrze działo. Od lat wielu trzymał go hrabia przy sobie i płacił mu sowicie — za nic. Bo rady jego nigdy dla siebie nie zasięgał, a chłopów leczył także sam lekarstwami najprostszemi, jakie miał w swéj apteczce.

Może być, że ta pogarda, czy dla umiejętności lekarskiéj w ogóle, czy dla osoby jéj miejscowego reprezentanta, rozdmuchały w duszy doktora pierwsze iskry niechęci i nieprzyjaźni dla hrabiego.

Ale pan Kopajło z prawdziwemi swemi uczuciami nigdy się nie objawił i pokrywał je grzecznością, uniżonością i pochlebstwem, czasem tylko za oczy w zaufaném kółku upuszczał sobie cokolwiek żółci w dwójznacznych dowcipach.

Tém także różnił się stanowczo od księdza wikarego, który otwarcie pokazywał swoją niechęć i jawnie dawał do poznania, jak bardzo mu się postępowanie hrabiego nie podoba. Miał on do tego zresztą bardzo słuszną przyczynę. Hrabia wziął go kiedyś sierotą bez ojca i matki do swego domu, wykarmił, wychował, a

potém łożył na jego wykształcenie. Ta łaska upokarzała mocno wikarego, kiedy już zaczął jeść chleb duchowny i czuł do hrabiego nieprzezwyciężony żal i wstręt za to, że musiał uważać za swego dobroczyńcę człowieka, którego ze stanowiska swego stanu potępiał. Dlaczego? to nam się w dalszym ciągu pokaże.

Trzeci z téj gromadki pan Osostowicz należał do liczby sąsiadów hrabiego. — Szlachcic niezamożny, dobrze podszarzany, miał jednakowoż o swéj godności wysokie wyobrażenie. Bolało go też to bardzo, że przed kilkunastu laty hrabia pożyczył mu pięćdziesiąt tysięcy (nie licząc dawniejszych i późniejszych a częstych grzeczności tego rodzaju), a bolało nie dlatego, że téj sumy dotychczas nie oddał i procentów od nich nigdy nie płacił, ale z téj przyczyny, że hrabia jako jego wierzyciel (przynajmniéj on sobie to tak wyobrażał) otrzymywał górę nad nim, równie dobrym jak sam a może jeszcze lepszym szlachcicem.

Pan Osostowicz zresztą nie miał widać żadnych innych zgryzot, bo wyglądał czerstwo i zdrowo jak rydz. Na okrągłéj jego twarzy policzki kwitły jak piwonje, a podbródek w kilku fałdach zwieszał

się na gardło. Był przytém rosły i barczysty i miał minę, jak to mówią, „nie przystępuj bez kija“.

Opinje ludzkie.

Do téj gromadki za ołtarzem stojącéj dolatywały słowa przemawiającego hrabiego, a ona to ich słuchała, to nad niemi swoje uwagi robiła.

Wikary szczególnie zdawał się być mocno niezadowolniony z przemowy hrabiego:

— Zgorszenie rozsiewa między tem prostactwem — mówił — zda ciężki za to przed Bogiem rachunek!

— Dla czego panowie to cierpicie? — odezwał się Osostowicz.

— Ksiądz dziekan robił już nieraz hrabiemu przedstawienia w téj mierze, ale to nic nie pomogło. Hrabia mu powiedział, że sumienie ma spokojne, a w swoich naukach nie widzi nic przeciw religji i kościołowi. Ale to kłamstwo! słyszycie panowie, co i dzisiaj mówi!

— Na co mu to wszystko potrzebne! rzekł Osostowicz, wzruszając z lekceważeniem ramionami.

— Zwyczajnie fantazja pańska nic więcéj — odpowiedział mu doktór uśmiechając się dwójznacznie. Cała rzecz, że tutaj nie wszystko w porządku — i pokręcił palcem po czole.

— Jeźli szalony dostanie miecz do ręki, trzeba mu go wyrwać, bo inaczéj biada! — gromkim głosem odezwał się wikary. Darujcie panowie, ale jakkolwiekby się kto zapatrywał, to przybieranie charakteru kapłańskiego na siebie, jest zupełnie nie na swojem miejscu. — Kapłan poświęcony i namaszczony stać tu powinien, nie hrabia, taki kapłan powinien poświęcać, przemawiać i błogosławić, inaczéj wszystko to jest arlekinada i szarlatańs two!

— Prawdę mówiąc — rzekł doktór — wszystko to w istocie wygląda na komedją. Naprzykład ten strój pana hrabiego, ta długa broda!... No, ale znacie panowie przysłowie, że wszystko wolno...

Nie dokończył, pokrywając swoim ironicznym uśmiechem resztę przysłowia, któréj obecni łatwo się domyślili.

Jakąś chwilę słuchali znowu co hrabia mówił, a przynajmniéj milczeli. Wikary patrzał z gniewem w ziemię, doktór założył obie ręce w tył i uśmiechał

się, Osostowicz oparł się z całéj siły o swój sękaty, gruby kij. Niedługo jednak musiał takiego coś usłyszeć, co mu się bardzo nie podobało, bo nagle obrócił się do swych sąsiadów, zrobił minę, jakby czemś został zgorszony, i niemym — ale zamaszystem giestem wskazał na mowcę jakby chciał na niego zwrócić ich uwagę.

Wikary z lekceważeniem się uśmiechał, a doktór kiwnął głową. Kiedy materja tak gorsząca pana Osostowicza widać się skończyła, wtedy on dopiero wybuchnął:

— Słyszeliście panowie!..... piękne rzeczy, nie ma co mówić!... i to chłopom gadać coś podobnego!.... Za cóż oni będą mieli teraz szlachcica, — jeśli z ust hrabiego słyszą takie słowa.

— To książki francuskie mówią z ust hrabiego! — odezwał się doktór — to Wolter i Russo z niego przemawiają. — Ha, cóż robić? odkąd rewolucja francuska taką modę zaprowadziła....

— Co to za szkaradne muszą być książki, gdzie takie rzeczy drukują!.... Pfuj, tym panom poprzewracało się naprawdę w głowie, i u nich dzisiaj taki zwyczaj: chłopa podnosić do góry — a szlachcica nie mieć za nic!

— Pycha to, pycha, ta matka wszystkich grzechów! wtrącił mimochodem ale z powagą i namaszczeniem wikary.

— Ja sam już doświadczyłem tego nieraz. Hrabia nigdy inaczéj do mnie się nie odezwie tylko: mój panie Osostowicz, jakby do swego ekonoma.

— To pewnie z przyjaźni — zrobił uwagę doktór.

— Z przyjaźni? — dziękuję za taką przyjaźń!.... Ja wiem, co to ma znaczyć. To się datuje od tego czasu, kiedy mnie spotkało nieszczęście, że się spaliłem i od hrabiego pożyczyć musiałem tych kilkanaście tysięcy....

— Pięćdziesiąt tysięcy podobno—wtrącił doktór.

— Za te pięćdziesiąt tysięcy dobry ja mu płacę procent!... Kłaniaj się tylko i czapkuj i znoś wszystkie pańskie grymasy. Dawniéj to przecie zawsze mi mówił — mój sąsiedzie.

— Tak, tak, trzeba połknąć nie jedną gorzką pigułkę... dobrze ja to znam — rzekł doktór z westchnieniem, które w żaden sposób się nie mogło zgodzić z jego uśmiechniętą fizyognomją.

Zamilkli znowu, spostrzegając, że ku nim zbliża się jakiś nowy towarzysz.

Zawiła słuchał z początku z zajęciem przemowy hrabiego. Ciekawy był, co też może powiedzieć bogaty graf, kiedy mu przyjdzie fantazja ubrać się w taki dziwaczny kostjum i przemawiać od ołtarza do chłopów. Sądząc z tego, co dotychczas spostrzegał w hrabim, był także pewny, że usłyszy coś tak oryginalnego i zabawnego, że się będzie mógł (choć w cichości ducha) naśmiać do woli jego kosztem.

Ale nadzieje go zawiodły, i Zawiła zaczął się wkrótce nudzić. To co hrabia mówił zdawało mu się zupełnie niezrozumiałem i bez sensu.

Oglądając się z nudów dokoła siebie, Zawiła spostrzegł tę gromadkę z trzech ludzi na uboczu, i bądź to, że go chwyciła za serce jowialna mina doktora, bądź też bezmyślna twarz pana Osostowicza, dość że przystąpił do nich i grzecznie im się pokłonił.

Trzej malkontenci widząc go po raz pierwszy dzisiaj, domyślili się, że niedawno przyjechał, a że widzieli go przybywającego z młodym hrabim, wnieśli z tego słusznie, że przyjechał w gościnę do dworu.

Wikary zmierzył go bystro oczyma,

doktor uśmiechnął się do niego ironicznie, Osostowicz wlepił w niego ciekawie oczy i równocześnie wszyscy trzej uczuli, że ta nowa postać korzystne na nich zrobiła wrażenie.

Zawiła miał tyle otwartości w twarzy i swojéj małéj wartości moralnéj, tak się nie starał niczém zamaskować, że od pierwszéj chwili nie mogli go uważać za człowieka niebezpiecznego, za takiego zwłaszcza, coby swemi zasadami i postępowaniem stał bliżéj hrabiego niźli nich.

— Pan dobrodziéj pierwszy raz zapewne to widzi, jakże się mu to podoba? — odezwał się pierwszy doktor, nie zapominając dwójznacznie się uśmiechnąć i wskazując na główne miejsce uroczystości.

— Najprzód, moi łaskawi panowie, — odpowiedział Zawiła, — chciałbym wiedzieć co to jest.

— To się nazywa u nas „Święto żniw“.

— Święto żniw!.. więc coś niby nakształt wyżynków... domyślałem się tego poczęści... tylko z większą ostentacją...

— Z obrządkami pogańskiemi możesz pan powiedzieć, — odezwał się sarkastycznym tonem wikary.

— Ta uroczystość co rok się powtarza? — zapytał Zawiła.

— Co rok, od lat przeszło dwudziestu, — odpowiedział doktór. — Nastała wtenczas, kiedy hrabia objąwszy majątek, usamowolnił chłopów i osadził ich na czynszach...

— Zgubny przykład dla całéj okolicy, — wtrącił pan Osostowicz, — fantazja pańska!..

— Masz pan rację, — zawtórował mu Zawiła, — chłop stworzony do roboty i bata.

— Dzień więc dzisiejszy jest zarazem pamiątką ugody, jaka stanęła między dziedzicem a poddanymi, czyli przymierza, jak to pan hrabia nazwał. Bo trzeba panu wiedzieć, że cała ta ugoda została spisana w kilkudziesięciu artykułach, a dzisiejsza uroczystość zawarowana jest w tém przymierzu osobnym artykułem 30.

W téj chwili wikary podniósł głowę, zwrócił się ku Zawile i rzekł:

— Niech pan konsyljarz tłómaczy tę rzecz, jak mu się podoba, ale ja upewniam waćpana, że to „święto żniw“ jest tylko powtórzeniem i odnowieniem święta Cerery, jakie obchodzili dawniej bałwochwalcy Rzymianie. Pan hrabia kocha się w tych pogańskich zwyczajach i obrządkach i chciałby powrócić te czasy,

gdzie ludzie żyli bez prawdziwéj wiary i bez prawdziwego kapłaństwa. Takie bezecne widowiska — mówił zapalając się coraz bardziéj — u nas po kilka razy do roku się powtarzają, jakby na przedrzeźnianie i urągowisko dni przez kościół święconych. Mamy tutaj „Święto Doroczne“, kiedy świat chrześcjański obchodzi dzień Nowego Roku; mamy „Święto Gajowe“ w tym dniu, w którym kościół święci tajemnicę Zesłania Ducha św. Wszystko to są obrządki i uroczystości pogańskie!.. Saturnalia i Luperkalia, ale nie chrześcjańskie święta!..

— Skończywszy tę przemowę, wypowiedzianą jednym tchem i z uniesieniem, wikary zamilkł nagle i wrócił do swéj roli lekceważącego i obojętnego świadka.

Pan Osostowicz przejął się jednak mocno temi słowy, bo podniósłszy oczy do góry, wyrzekł poważnym tonem:

— Boże nie dopuść, ale hrabia może przez te postępki ściągnąć na siebie gniew nieba!.. a my jemu wszyscy tak dobrze życzymy!..

— Bo téż to wszystko tylko dziwactwo, wielkie dziwactwo, nic więcéj... — odezwał się doktór obracając mowę do Zawiły. — Ksiądz dobrodziéj może się

unosić, bo tak wypada z jego stanowiska, ale my ludzie świeccy, nie tak surowo możemy sądzić te rzeczy, i musimy przyznać panu hrabiemu, że jest naszym opiekunem i dobroczyńcą...

— A to prawda! — pospieszył dorzucić Osostowicz, zmiarkowawszy się, że przed obcym nie można być całkiem szczerze, — hrabia jest dla nas przykładem i wzorem dobrego obywatela... pomimo swoich niektórych słabości.

— Jest i patrjarchą, nie zapominajcie panowie, — wybuchnął szyderczo wikary podnosząc się z ziemi, a rzucając piorunujące spojrzenie na młode kobiety, które stały blisko ołtarza, dodał: — A patrjarchom wolno było mieć niewiasty w swoim domu, które nie były ich żonami...

Rozmowa o hrabim na tém się skończyła. Zawiła nabrał z niej tego przekonania, że hrabia ma także niechętnych sobie, a może nieprzyjaciół.

Zabrawszy tak niespodzianie znajomość z tymi panami, nie omieszkał im się przedstawić i polecić nadal ich przyjaźni, zwłaszcza, że jak powiadał, zapewne jakiś czas w tych stronach zabawi, więc towarzystwo ich i dobre z nimi stosunki będą mu bardzo pożądane i przyjemne.

Młodzieniec smutny, starzec wesoły.

Uroczystości tego dnia nie zakończyły się jeszcze na tém patrjarchalno-sielskiém nabożeństwie pod gołém niebem.

Dobrze po zachodzie słońca, kiedy już całkiem ciemno się zrobiło, zabłysły najprzód na okolicznych pagórkach wieńcem pozapalane beczki smolne, a niedługo potém dały się widzieć przez gałęzie wielkiéj alei prowadzącéj do zamku różnobarwne światełka, jakby latające po powietrzu. Zbliżał się bowiem do zamku ten sam orszak, który we dnie zgromadził się na poświęcenie pierwiastków zboża i owoców, w tym samym prawie co przedtém porządku, oświecając sobie drogę latarniami papierowemi i śpiewając naprzemian z muzyką wesołe pieśni żniwiarskie.

Całe to tłumne zgromadzenie weszło na dziedziniec zamkowy, i wtedy pokazał się także ów olbrzymi wóz, sześciu wołmi zaprzężony. Teraz jednak nie był naładowany snopami, ale siedziało na nim kilkanaście hożych dziewcząt, z których każda miała w ręku sierp, a na gło-

wie wielki wieniec z kłosów przeplatany kwiatami.

Wóz zajechał przed sam teras u wejścia do zamku będący, na który wchodziło się po kilku szerokich wschodach. Między dwoma filarami na terasie, szeroko od siebie odległemi, rozwieszona była wielka opona z czerwonéj jakiéjś materji. Kiedy wóz stanął na miejscu, opona nagle na obie strony się rozsunęła i przedstawił się widok dla oczu zgromadzenia bardzo ponętny i uroczy.

Była to grota sztucznie zrobiona i obstawiona do koła drzewami cytrynowemi, cyprysami i t. p. W środku téj groty, na podwyższeniu, siedziała młoda panienka, przecudnéj urody, ubrana cała w bieli, z jasnemi rozpuszczonemi włosami. Dokoła niéj, nieco niżéj, stała lub siedziała w rozmaitych pozycjach grupa małych dzieci, ubranych w czyściutkie również białe sukienki, a wyobrażających symbolicznie rozmaite zatrudnienia rolnicze. Jedne z nich miały w ręku sierpy, drugie kosy, trzecie cepy, inne znów inne gospodarskie narzędzia. Cała grota była oświecona ogniem sztucznym, wydającym nadzwyczaj mocne światło.

Żniwiarki zeszły z wozu, a w téj chwili

także zeskoczyła z koni starszyzna i ze żniwiarkami zbliżyli się do groty. Najstarszy wiekiem ze starostów przemówił wtenczas kilku prostemi ale serdecznemi słowy do dziewicy w bieli siedzącéj na podwyższeniu, jako do córki dziedzica. Bo w istocie była to jedynaczka hrabiego, młodziutka panna Julja, którą już w czasie nabożeństwa na polu spostrzegł był Zawiła stojącą obok panny Wandy.

Panna Julja powstała z miejsca, kiedy starzec swą przemowę rozpoczął, i słuchała jéj z widoczném zadowolnieniem i radością. Na jéj twarzyczce na wpół dziecinnéj, przebijał się wyraz jakiéjś słodkiéj dumy, że ona także ma powierzoną sobie pewną rolę w tym uroczystym akcie, a zarazem szczeréj przychylności dla stojących przed nią wieśniaków.

Gdy starzec skończył, żniwiarki jedna po drugiéj przystępowały do niéj, oddawały z ukłonem wieńce z kłosów, które przedtém na głowach dźwigały, i w zamian odbierały z jéj rąk po srebrnym pieniądzu i po kilka łokci szerokiéj wstążki jedwabnéj, którą Julja na włosach im spinała.

— Pójdźmy do naszego batka! — odezwał się jeden ze starców, kiedy już o-

statnia żniwiarka od Julji odchodziła, a na to jego wezwanie żniwiarki i inni starcy weszli po schodach na teras, gdzie na progu domowym czekał na nich hrabia z synem, parę kroków za nim stojacym.

Hrabia szeroko roztworzył ramiona na powitanie przybywających, i starców serdecznie ściskał. W oczach miał łzy rozczulenia, a twarz rozjaśnioną od radości. Starcy téż, jeden po drugim, a często i zmięszanemi głosami wyrażali mu swoję wdzięczność i przywiązanie, ściskając go za kolana i całując jego ręce.

Zbliżył się potém i syn hrabiego i kolejno podawał starcom rękę i ściskał ich dłonie, a rozrzewnieni wieśniacy wzywali na jego głowę błogosławieństwa boskiego.

W téj chwili na zamkowym dziedzińcu, rzęsisto kagańcami oświeconym, odezwała się muzyka, a za nią śpiewy zgromadzonych.

Starcy, wielu poważniejszych gospodarzy, oficjaliści hrabiego, kilku sąsiadów, a pomiędzy nimi i pan Osostowicz, doktór ze swoją żoną (którą w dalszym ciągu będziemy mieli sposobność bliżéj

poznać), wielu z mieszkańców miasteczka i t. p. zostali zaproszeni do stołu ustawionego w dolnéj sali zamkowéj, podług dawnego zwyczaju w podkowę.

Dla reszty zgromadzonych były stoły na dziedzińcu, gdzie także po skończonéj biesiadzie odbywały się tańce.

Hrabia zajął miejsce na wielkim krześle, złoconą skórą obitem, w samym środku stołu. Obok niego po prawéj ręce, — na najpierwszém miejscu siedziała panna Wanda, a za nią panna Julja.

Nie uszło to uwagi obecnych, że kuzynka hrabiego zajmowała miejsce przeznaczone zwykle dla pani domu, i wnoszono z tego, że hrabia musi ją bardzo wysoko cenić. Powszechne także wzbudziła podziwienie jéj niezwyczajna piękność, bo panna Wanda dzisiaj piękniejszą jeszcze niż zwykle się wydawała. — Czy to było skutkiem szczęśliwego jakiegoś usposobienia, czy téż panna Wanda starała się dzisiaj jak najlepiéj wyglądać, aby na gości zrobić wrażenie — tego nie można wiedzieć, ale dość, że przy stole, zwłaszcza między kobietami, zaczęły się niedługo szepty i rozmowy, których ona była przedmiotem. Rozmowy te tym bardziéj były ożywione, że

wielu z obecnych po raz pierwszy ją widzieli i ciekawie o nię zaczęli się wypytywać.

Wanda miała minę uprzejmą, rozpogodzoną i wesołą, ale przytem poważną i pewną siebie. Patrzyła i przemawiała do obecnych jak gdyby była tem, czem ją na chwilę czyniło dzisiaj zajmowane przez nią miejsce — panią domu. Czasami tylko jakieś nagłe niezadowolnienie zachmurzyło jéj twarz — na czole fałdowały się wtenczas przelotno marszczki a usta nieznacznie się ścinały, jakby były przygryzione przez zęby.

Spostrzegł to Zawiła, który siedział po prawéj stronie podkowy, mając przy sobie żonę doktora. Lekkie umizgi, jakiemi starał się przypodobać sąsiadce, nie zajmowały go do tyla, aby nie mógł obserwować obecnych. — A miał do tego niejedną przyczynę. Najprzód, jako świeżo przybyły, chciał wtajemniczyć się w stosunki domowe; potem zauważył, że w tych stosunkach jest coś naprężonego; wreszcie był zły na pannę Wandę i chciał ją na czemś złapać.

Był zły dla tego, że kiedy jéj się pierwszy raz jako dobrze znajomy i poufały kuzyn przedstawiał, panna Wanda przy-

jęła go niechętnie, kwaśno i z taką obojętnością, jakby raz na zawsze pomiędzy nim a sobą chciała postawić przegrodę. Widocznie traktowała go z góry, co ubodło do żywego pana Zawiłę.

Równocześnie zaczęło mu się kręcić po głowie wspomnienie obserwacji z wczorajszéj nocy. Zdawało mu się, że się nie myli, iż ową kobietą, którą widział w ogrodzie o tak później godzinie, — była Wanda. Kilka ruchów i giestów, jakie ona zrobiła, przypomniały mu tamtę postać, i kazały mu się domyślać, iż to jest jedna i taż sama osoba.

Naprzeciwko niego po drugiéj stronie siedział syn hrabiego, który również był dla niego zagadką. Dotychczas względem Zawiły (pomimo jego narzucania się z kuzynowstwem) był bardzo chłodny i małomowny; wogóle spostrzegł Zawiła, że w zachowaniu swojem miał coś skrytego i tajemniczego. — Był posępny i prawie smutny, co ani z jego wiekiem ani z położeniem się nie zgadzało. Zawiła podejrzywał więc i tu jakiś ukryty powód — tym bardziéj, skoro i to nasunęło się jego uwadze, że młody hrabia także i wobec ojca nie pokazywał zbytnéj szczerości, a choć był dla niego i wyrażał się

o nim z największém uszanowaniem — czuć było w jego zachowaniu się jakiś przymus, brak serdeczności i chłód.

Miałożby wpłynąć na to zbyt surowe wychowanie i przesadna karność miałażby stworzyć ten przedział między ojcem i synem? Może być — ale ta jego posępność, ta bladość lic przy jego czystéj duszy, jaka w oczach przebijała, mogły także kazać się domyślać i czego jeszcze innego.

Dokoła panowała wesołość, gwar i śmiechy, młody hrabia nie zmienił jednak swego usposobienia. Owszem zdawał się jeszcze posępniejszy niż przedtem. Nie mięszał się do rozmowy, sąsiadów zbywał lakonicznemi odpowiedziami i utkwiwszy oczy w talerzu, zdawał się pragnąć uniknąć tym sposobem tego, aby w nich nie czytano. Czasami tylko rzucał na bok ukradkowe, błyskawiczne spojrzenia i jak gdyby to, co widział bardziéj jeszcze jego smutek powiększało, spuszczał jeszcze niżéj głowę na piersi.

Stary hrabia był za to w jak najlepszym humorze. Mówił wiele, uśmiechał się, żartował, niekiedy, co nie było jego zwyczajem, — przytykał do ust stojący przed nim kieliszek z winem. — Czy to

w skutek napoju, czy téż wewnętrznéj radości, oczy jego świeciły się niezwykłem blaskiem, a jasne, czyste spojrzenia, jakie rzucały, — mogły zawstydzić swym ogniem nie jednego młodzieńca. Nie był to już ów poważny, surowy kapłan, jakim widzieliśmy go z rana, ale szczęśliwy ojciec, który cieszy się w gronie rodziny szczęściem własnem i swoich dzieci. — Dziećmi zaś dla hrabiego zdawało się być całe zgromadzenie zasiadające pod jego dachem.

Szczególnéj uprzejmości doznawała jednak od niego panna Wanda. Do niéj się najczęściéj zwracał, z nią jak było widać, najchętniéj mówił, podawał jéj potrawy, nalewał wino, i nieraz pochyliwszy się do niéj, coś poufale szeptał jéj na ucho. Wanda uśmiechała się na to — ale nieraz, kiedy hrabia czem innêm był zajęty, oczy jéj zachmurzały się z gniewu tłumionego, a wargi mocniéj zaciskały.

W takich to chwilach młody hrabia rzucał swoje spojrzenia w tę stronę i potem nagle się z nimi ukrywał.

W chińskiéj altanie.

Tuż za pałacem był ogród zajmujący obszerną przestrzeń. Łączył on się bezpośrednio z dziedzińcem zamkowym, nie przedzielony od tegoż ani murem ani żelazną kratą, ni inną podobnego rodzaju przeszkodą. Przy obfitości drzew na dziedzińcu, trudno nawet było dobrze oznaczyć, gdzie dziedziniec się kończył, a gdzie zaczynał ogród.

Urządzenie tego ogrodu odpowiadało ówczesnemu smakowi. Dzisiejsze angielskie ogrody nie były jeszcze w modzie. Ogród téż założony zapewne w wieku XVIII miał na sobie cały charakter francuskiego smaku, panującego wówczas wszechwładnie w strojach i literaturze, w zwyczajach i obyczajach. Ogólną cechą tego smaku, jak wiadomo, było silne ujmowanie wszelkiéj natury w karby sztuki. Tego doświadczała ówczesna poezja, tego samego także losu doznawały i ogrody téj epoki.

Nie poprzestawano w nich na saméj naturze, i ręka ludzka nie zadawalniała się tém, aby piękno naturalne odsłonić, podnieść, i w pewien ład wprowadzić, ale

dodawała do niego ozdoby i rozmaite przydatki sztuczne, które pomimo wszelkiéj umiejętności w ich urządzeniu, nie mogły stracić swéj teatralnéj cechy i wyglądały przy naturalnych przedmiotach jak malowane dekoracje.

W ogrodzie zamku Belmont były więc i wodotryski z paszcz Trytonów w górę bijące, i sztuczne kaskady i groty poukładane z kamieni zdaleka sprowadzanych, i mostki wiszące nad rowami, które umyślnie wykopano i w pewnych czasach wodą napełniano. Co kilkanaście kroków spotkać się można było z posągiem jakiegoś mitologicznego bóstwa, albo z allegoryczną figurą wykutą z kamienia a wystawioną nielitościwie na deszcze i śniegi naszego klimatu. Rozmaitość téż panowała wielka. Co chwila inna panorama, mniéj więcéj sztucznie zrobiona, roztaczała się przed oczami. Tu była strzyżona grabowa ulica, tam znów mała łączka, na któréj zaledwie kilka brzóz zwieszało ku ziemi swe omdlałe gałęzie, daléj znów cienisty gaj z modrzewiów, poważnie szumiących. Ścieżki szersze i węższe wiły się pokrzyżowane w najrozmaitszych kierunkach, jakby zadaniem założyciela ogrodu było, uczynić z niego labirynt,

w którym można się nie zabłąkać tylko z nitką Arjadny w rękach.

W głębi ogrodu, który także od zewnętrznéj strony nie miał żadnego muru ani parkanu, a tylko wyżyny otaczających go pagórków stanowiły jego naturalne zamknięcie, leżał jeden z takich gaików z pięknych świerkowych drzew. Do wnętrza jego prowadziła wązka ścieżka, po któréj idąc napotykało się w środku gaiku mały domek drewniany, w kształcie chińskiéj pagody, jaskrawemi kolorami pomalowany. Domku tego z zewnątrz nie było zupełnie widać, tak dobrze był zakryty świerkami, jakotéż krzakami bzów i białych róż, które dokoła niego rosły.

Wieczór ten, poza który w opowiadaniu naszém jeszcze nie wyszliśmy, był przecudny — ciepły, spokojny i wonny. Księżyc toczył się po niebie, jakby po olbrzymiéj fali lazurowego kryształu.

W takiéj nocy, gdyby w zamku był jaki marzyciel, albo para kochanków, powinni byli przyjść samotni do tych świerkowych drzew...

Już było po północy, goście hrabiego, żeńcy i wieśniacy porozchodzili się i porozjeżdżali już do swych domów, kiedy z cienia alei idącéj od zamku ku gaikowi

rozległ się głucho cichy jakiś szelest... Dwoje ludzi wyszło z alei: Wanda i syn hrabiego. Ona naprzód, on o jakie pół kroku za nią. Szli prędko, w milczeniu, i ile możności starali się krokami swemi robić jak najmniéj hałasu.

Doszli nareszcie do chińskiego domku. Wanda rzuciła się na ławkę jakby zmęczona, syn hrabiego ukląkł przy niéj i schwycił gwałtownie jéj rękę i trzymał ją długo przy swych ustach.

I znów ani jedném słowem nie przerywali milczenia nocy.

— Przyszłam więc, jak chciałeś — odezwała się nakoniec Wanda tonem wymówki.

— Dziękuję ci!

I młodzieniec znów przycisnął jéj rękę do ust, całując ją gorąco, jakby nie mógł znaleźć więcéj słów na podziękowanie.

— Dziś jednakowoż nie powinnam była tego robić; jeszcze służba spać się nie pokładła...

Syn hrabiego westchnął głęboko:

— Chciałem cię widzieć, bo byłem bardzo niespokojnym... i położył rękę na swéj piersi.

— Jesteś dziecinny Henryku! — odpowiedziała Wanda z gorzkim uśmiechem.

— Czyliż to moja wina?... Zazdrość mię paliła!...

— Znowu?...

— O, to jest okropne, Wando!...

Pochylił głowę, a potém dodał:

— Powiedz, co on ci dziś mówił?

— Jestem dla ciebie zawsze szczerą, Henryku! Nic ważnego, tylko to, że czuje się dzisiaj bardzo szczęśliwym i że jeden tylko dzień mógłby go jeszcze szczęśliwszym uczynić...

— I ty to nazywasz: nic ważnego?!.. Rozpacz mię ogarnia! i powiedziawszy to, ukrył oczy w dłoniach.

Wanda pochyliła się z lekka ku niemu i odgarnywała jego ręce od twarzy.

— Bądź spokojny, Henryku... i cierpliwy. Twoje uniesienia mogą być dla nas niebezpieczne. Dzisiaj przy stole mogłam się gniewać na ciebie. Byłeś nieroztropny... nie pamiętałeś, że ludzie patrzą i zdradzałeś się co chwila.

Henryk podniósł nagle głowę do góry. — I długoż tego będzie? — zawołał — jakby to pytanie zadawał niebu.

Wanda milczała. Henryk zatopiony był w swéj gorzkiéj myśli; po chwili dopiero Wanda odezwała się nawpół z gniewem, nawpół poważnie:

— Ja przynajmniéj nie zasługuję na twe wyrzuty. Jeżeli kto może źle wyjść na tém wszystkiém, to tylko ja. Pomyśl jakie jest moje położenie. Twój ojciec ofiaruje mi swą miłość i rękę. Ja kocham ciebie i dla ciebie narażam na niebezpieczeństwo mój los i przyszłość. — Stosunek nasz może łatwo się wydać; dziwi mię, że dotychczas się nie wydał. Cóż wtedy będzie? Twój ojciec obrażony, może mię wydalić ze swego domu... bardzo słusznie. A ja jestem biédną sierotą...

— Wando! przecież ja ci zostaję...

— Ty?... cóż ty możesz dla mnie uczynić?...

— Wszystko!

— Wszystko!.. — Wanda z ironją się uśmiechnęła — gdy ktoś jak ty mówi: wszystko! to jak gdyby powiedział: nic. Ty mię nie zdołasz wyrwać z jego rąk, tylko tym sposobem, że mnie zgubisz.

— Rozumiem ten wyrzut... O, bardzo on mnie boli!...

— Czyż nie tak?... powiedz, czy nie mam słuszności?...

— Chciałbym dla ciebie wszystko uczynić... wszystko poświęcić... wierzaj mi Wando!... i bardzo mię to boli, że dotąd nie mogłem nic uczynić...

— Widzisz Henryku!... Sam się przyznajesz...

— Nie mogę się zdobyć na to, aby jemu sprawić taką boleść... On mię tak kochał, tak był i jest dobrym dla mnie... poważam w nim nietylko ojca, ale najszlachetniejszego z ludzi... I za wszystko tak mu się wypłacić!?...

— Więc zdobądź się na tyle siły, abyś mię przestał kochać!...

— Nigdy!.. nie chcę tego... nie mogę! O Wando! co ty mówisz?...

Łzy stanęły mu w oczach. Pochwycił obie jéj ręce i głowę swą przytulił do jéj kolan.

— Ja ciebie kocham bardzo... bardzo... nad życie... — jąkał rozrzewnionym głosem — utracić ciebie nie mogę, nie!..

I przyszła na nich chwila, która dla dwojga młodych, kochających się ludzi przychodzi szybko jak błyskawica... Zapomnieli o wszystkiém i czuli tylko całe szczęście miłości... Z ich lic zniknął wyraz smutku i żalu, a nawet twarz Wandy, dotąd poważna, rozjaśniła się pod wpływem tego wszechmocnego płomienia. Można opisywać troski lub gniewy kochanków — ich pieszczot i szczęścia niepodobna.

A jednak jakże zgubne są te chwile szczęścia. W nich ginie rozum i rozsądne postanowienia. Człowiek chcący się ratować z téj przepaści, w którą go tak często wtrąca miłość, w takich chwilach zapomnienia przemienia ją sobie w raj i zaślepiony nie spostrzega, że kradnie sobie sposobność ratunku... Dopiero późniéj, bardzo późno, czasem zapóźno ocknie się... bez nadziei ocalenia.

Szum świerkowych liści był muzyką, światło księżyca jedynym gościem przy téj uczcie serc młodych; dla niéj zapomnieli oni o wzajemnych wyrzutach i planach na przyszłość, z którcmi tutaj przyszli. — Nareszcie Wanda opamiętała się, poprawiła włosy i wstając nagle, rzekła cichym głosem:

— Już czas!...

— Nie odchodź!!..

— Henryku!... gubisz mię.... rozważ tylko...

— O Wando moja!

— Nie możemy się tak często widywać... na żaden sposób... nie przyjdę tu już nigdy!... Prowadź mię inną drogą z powrotem... W oficynie stoi Zawiła, okna jego wychodzą na ścieżkę... nie możemy się tu widywać...

— Więc gdzie?

— Powiem ci późniéj. Pójdźmy!

Henryk podał jéj rękę i wyszli cicho, nie mówiąc ani słowa, ścieżkami jak najciemniejszemi. Gdy zbliżyli się do pałacu, Wanda podała mu rękę do pocałowania, ścisnęła jego dłoń i rozłączyli się. Ona poszła naprzód i bocznemi drzwiami weszła do zamku.

W całym zamku Belmont drzwi nigdzie nie były zamykane, bo jak hrabia mawiał: „Sprawiedliwy nie boi się złych ludzi.“

Henryk został czas jakiś w cieniu drzew. Ścigał okiem za Wandą, dopóki mu nie zniknęła, a potém spojrzał na gwiazdy, które tak pięknie na niebie świeciły... Pierś mu drżała od szczęścia i rozkoszy....

Marzenia starca.

W téj baszcie, na któréj płaskim dachu Zawiła widział był hrabiego robiącego obserwacje na niebie, a potém modlącego się, były tylko na wysokości drugiego piętra dwa okna, po jedném na każdéj stronie. Pierwsze piętro i dół

nie miały okien, a ściany wysuwały się coraz szerzéj i tworzyły ku dołowi rodzaj skarpy.

W tych dwóch oknach świeciło się jeszcze. Oba były otwarte, a światło księżycowe, rozlewające swą jasność po ścianach zamku przepuszczało na zewnątrz mdławe tylko promienie palącego się w pokoju świecznika.

W pokoju tym był hrabia, który niedawno powrócił do siebie, kiedy jego goście i uczestnicy rozeszli się do swych domów. On to przed chwilą otworzył okno. Ręce założył na piersiach, chodził krokiem prędkim i pewnym tam i napowrót po grubym dywanie na posadzce, twarz miał spokojną, ale oczy błyszczały jakby jakimś zachwytem, niezwykłym u ludzi w jego wieku.

Hrabia pogrążony był w myślach, albo raczéj marzył... marzył jak młodzieniec, którego teraźniejszość czaruje swém szczęściem, a przyszłość uśmiecha się do niego w kształcie niewyraźnych widm, ginących w dalekiéj perspektywie życia, ale tak pięknych tak nęcących, żeby ich nikt nie oddał za najszczęśliwszą rzeczywistość.

Hrabia czuł się szczęśliwym. Całemi

piersiami, zdawało się, wciągał w siebie tę atmosferę szczęścia, która go otaczała, a któréj on sam był twórcą.

Był szczęśliwym i powiadał do siebie: dlaczegoby nim być nie miał? czy nie zasłużył na to szczęście? czy dosyć już na świecie nie cierpiał i nie przebolał?

A cierpiał dotąd wiele na świecie, jak każdy człowiek, który rozpoczyna życie z tém przedsięwzięciem, aby z drogi prostéj nigdy nie zbaczać. Wykonanie tego zamiaru nie jest rzeczą tak łatwą... napotyka co chwila przeszkody i przeciwników. Człowiek znajduje wtedy nieprzyjaciela w sobie i w innych. Ideał, jaki utworzy się w naszéj głowie o życiu, jest wielkim ciężarem dla téj głowy a kajdanami dla serca.

Hrabia więc cierpiał niemało w życiu, bo słuchając głosu swego wewnętrznego przekonania, musiał iść przez świat przebojem, zwalczać przesądy, opierać się złości, znosić cierpliwie potwarze, urągania i pośmiewiska. Musiał nieraz zachwiać się w swéj wierze, kiedy jéj wszyscy dokoła zaprzeczali — a to czyż małą jest boleścią? Zwątpienie szarpało jego serce: kto ma słuszność, on czy świat? Jeżeli on, dlaczego siły go opuszczały?

jeżeli świat, dlaczego on miał inne przekonanie?

A jego najtajniejsze, najświętsze uczucia, te które są najwyłączniejszą własnością człowieka, czyliż nie były także na ciężkie ciosy wystawione?... Oh! hrabia miał w sercu bolesną ranę, palącą go długo jakby ogniem, na której zabliźnienie długie lata zaledwie wystarczyły...

Nareszcie dzisiaj, po latach wielu i wielu, ta burzliwa atmosfera wewnątrz i zewnątrz niego uciszyła się... Hrabia uczuwał błogi wpływ spokoju. Co było wojen do przebycia, przebył już wszystkie i przekonania jego nie ustąpiły z placu. Czuł, że świat albo przyznał im słuszność, albo téż ogłosił dla nich tolerancję. Krzyki i nieprzyjacielskie wyzywania ustały — może dlatego, że przyzwyczajano się do excentrycznych zasad i postępków hrabiego i uznano je za niewyleczone dziwactwa; ale dość, że od niejakiego czasu dano mu spokój, choćby tym spokojem było tylko pogardliwe pobłażanie.

Także i w najbliższym swoim świecie i najdroższym dla niego, hrabia doczekał się owoców swych starań. Pod jego okiem wyrosło pięknie i dojrzało dwoje

dzieci: syn i córka. W obojgu widział on szlachetne natury i na gruncie ich dusz wschodzące te zasady i wyobrażenia, które on tam posiał własną ręką. Te dzieci były zdrowe i czerstwe, natura nie szczędziła im urody i dla ojca uczuwały one najszczerszą wdzięczność i najtkliwszą miłość.

Jego serce rodzicielskie czegóż więcéj mogło pragnąć?

A kiedy do tego przyłączyła się jeszcze ta myśl, że na podobną wdzięczność zasłużył sobie i u wielu innych, obcych ludzi, że wiele rodzin mogło go błogosławić i błogosławiło za otrzymane dobrodziejstwa, wiele sierót za doznaną opiekę, a wszyscy ci, nad którymi mógł swą władzę rozciągnąć za to, że podniósł ich z niskości i przyprowadził do stanu ludzkiego — natenczas pierś hrabiego mogło rozpierać poczucie zasłużonego szczęścia, tém większego i przez to zdwojonego, że widział je w szczęściu innych.

Uczuł mocno, że żył także i coś uczynił dla drugich. To cieszyło go ogromnie.

Ale nad temi wszystkiemi marzeniami unosiło się jedno, od którego złotych skrzydeł padała jasność na wszystkie inne.

Było to marzenie egoistyczne, marzenie o szczęściu własnego serca.

Ludzie, jesteśmy tak stworzeni, że za wszelkie poświęcenie, za trudy nasze i zasługi żądamy nagrody, rościmy sobie do niéj prawo. Oczekujemy jéj zawsze; jeżeli nie tu na ziemi, to w niebie.

Nadzieja téj nagrody pokrzepia nasze siły, jest celem, do którego przez głogi i ciernie śmiało kroczymy, i choć tego celu często nie widzimy wyraźnie, przeczucie jego nosimy zawsze w swéj piersi.

Hrabia od niedawnego czasu dopiero spostrzegł tę nagrodę, która mu się należała za długie lata cierpień i walki.

Tą nagrodą była miłość.

Hrabia miał lat sześćdziesiąt, a jednak czuł, że serce jego gorzało i płonęło. W tém zjawisku nie było nic nienaturalnego.

Hrabia w młodości prowadził życie surowe i wstrzemięźliwe, w dobrze już dojrzałym wieku ożenił się, a po latach kilku zostawszy wdowcem, żył jak anachoreta, bo według jego wyobrażeń wszelki stosunek z kobietą poza małżeństwem, był grzechem i czynem niegodnym człowieka. Okoliczności towarzyszące śmierci jego żony, które boleśnie go dotknęły i na jakiś czas złamały, mogły tylko utwierdzić go w tych wyobrażeniach.

W tym sześćdziesięcioletnim człowieku było więc dużo zasobów życia i dużo ognia przechowanego z młodości. Ogień ten palił się zawsze jasnym płomieniem, wyobraźnia hrabiego była czysta, a namiętność wybuchnąć mogła tylko wtenczas, kiedy ją rozdmuchało uczucie.

Hrabia więc kochał — i postać ukochanéj osoby unosiła się, jak powiedzieliśmy nad wszystkiemi jego marzeniami, dopóki spuszczając się coraz niżéj, jakby światłość z góry schodząca, nie zaćmiła sobą wszystkich innych przedmiotów i całego jego serca nie zajęła.

Hrabia ujrzawszy ten obraz tak wyraźny, tak płomieniejący w swéj wyobraźni, usiadł w krześle z wysokiemi, gotyckiemi poręczami, podparł głowę na ręce, jakby chciał całą swą uwagę w nim skupić i przypatrywać mu się całą duszą.

Była to postać młodéj, pięknéj dziewicy, postać Wandy, otoczona tą aureolą, w jakiéj jawi się kochanka w głowie człowieka, co kocha sercem i duszą, idealnie i realnie zarazem, więc tak jak człowiek jedynie prawdziwie kochać może. Na światłość téj aureoli składają się dwie barwy: jedna lazurowa, przejrzysta jak niebo w pogodnéj nocy oświecone gwia-

zdami; druga płomienista jakby złożona z czerwieni i złota. Pierwszą wytwarza z siebie nasza dusza, drugą ciało.

I ta piękna dziewica, którą można było ustroić w taką aureolę (bo nie każdą można) oddawała mu swoje serce nietknięte dotąd płomieniem miłości!... Oddawała je, mimo tego, że on miał lat sześćdziesiąt, a ona dziewiętnaście. Hrabia wiedział o tém. Wprawdzie słowami nigdy mu ona tego nie powiedziała, ale wyraźnie dawała mu do poznania, że widzi jego miłość i że ją przyjmuje. Że nie powiedziała słowami, w tém może było najwięcéj winy samego hrabiego. Uczucie jego było nieśmiałe i milczące jak tego młodzieńca, który raz pierwszy kocha. Nigdy z niem nie oświadczył się Wandzie wyraźnie, i co najwięcéj jeśli pozwolił sobie zrobić jakąś aluzją, to jest mówić tym naiwnym językiem, którym młodość trwożliwa i niedoświadczona umie wypowiedzieć najskrytsze tajemnice serca, nie nazwawszy ani razu rzeczy po imieniu.

Ta dziewica była gotową odpłacić mu wzajemnością jego miłość — o, to było dla niego niezrównaném szczęściem, nagrodą nad wszelkie nadzieje! Przy niéj jego serce pragnące miało doznać uspo-

kojenia, a jego dusza słodyczy, o jakiéj najśmielszy zamarzyć tylko może.

Jutrzenka tego szczęścia takiem go napełniała weselem, cóż będzie dopiero, jeżeli słońce wejdzie, jeżeli ona położy głowę na jego piersiach, a on przyciskając jéj rękę do ust, powie jéj: tyś moja!

Hrabia powstał znowu, jakby przyciśniony ciężarem tych błogich myśli. Zbliżył się do marmurowego stołu, na którym stał trójramienny świecznik z jarzącemi świecami, i leżała wielka księga oprawna w pergamin ze srebrném okuciem. Księga była roztwarta i hrabia odczytał z niej półgłosem słowa z Pieśni nad pieśniami Salomona:

„O jako piękne są nogi twoje w trzewikach, o córko książęca! Opasania biódr twoich są jako zawieszenia, ręką dobrego rzemieślnika zrobione.

„Obie piersi twoje są jako dwoje bliźniąt młodych sarniąt.

„Szyja twoja jako wieża z kości słoniowych, oczy twoje jako sadzawki w Hesebon podle bramy Batrabin.

„Głowa twoja na tobie jako Karmel, a włosy głowy twojéj jako szarłat.

„O jakżeś piękna i jako wdzięczna, o miłości przeroskoszna!

„Ten twój wzrost podobny jest palmie, a piersi twoje gronom.

„A usta twoje jako wino wyborne, które na prost bardzo mile płynie i sprawuje, że mówią wargi śpiących“.

Miłość potrzebuje zawsze towarzystwa poezji. Dla hrabiego najszczytniejsza poezja i najgłębsza mądrość mieściła się w Biblji, a obrazy społeczeństwa, skreślone przez patrjarchów i proroków starego Zakonu, były dla niego ideałem ludzkości.

Do tego stosunku, jaki się utworzył pomiędzy nim a Wandą, znalazł on też niedługo porównanie w księgach patrjarchów. Nie bez powodu, bo wiele było podobieństwa w téj historji, przyrównywał on siebie do Booza a Wandę do owéj posłusznéj i kochającéj Ruthy. Jak Booz przyjął on ubogą powinowatą do swego domu i dał jéj pomoc, i mógł o niéj powtórzyć toż samo, co dziad Dawida powiedział o Ruth, że spełniła czyn miły Bogu, gdy nie poszła za młodzieńcami tak ubogimi jako i bogatymi, ale miłość swoję oddała człowiekowi, który raczéj mógł być dla niéj ojcem.

Z ksiąg pisma świętego widział on także, iż Bóg dozwalał miłości swoim wybranym i dawał im ją jakoby w nagrodę

świętobliwego żywota, nawet i w wieku późniejszym. Wszakże Abraham będąc już starcem, cieszył się wdziękami pięknéj Hagary, a Dawid i Salomon, ci wielcy królowie i mędrcy czyż przy boku niewiasty nie szukali osłody gorzkich i mozolnych dni swoich? Zaiste musi to być widok miły Bogu, widzieć cnotliwego męża składającego swe czoło poorane zmarszczkami myśli i cierpień na łonie pięknéj kobiety, rozkwitającéj przy nim jak kwiat.

Wanda więc miała być dla niego taką Agarą, Ruth i Sunamitką, a on czuł się szczęśliwym, że pomieszczony został w liczbie wybranych, których życie chciał Pan tak kosztowną perłą przystroić.

Późna już była noc, a hrabia upojony temi wszystkiemi obrazami i urokiem przecudnéj nocy, którą widział ze swych okien, marzył ciągle to chodząc z założonemi rękami po pokoju, to patrząc z framugi okna na jasne niebo i gwiazdy.

Nareszcie nagle sen go ogarnął i usnął na swém wielkiém gotyckiém krześle, z wyrazem spokoju i szczęścia na twarzy.

Portret panny Wandy.

Ta, którą kochał i syn i ojciec, przez którą jeden już cierpiał, a drugi miał może cierpieć w przyszłości, czyliż była godną tego?

Panna Wanda była w istocie bardzo piękną. Należała do liczby tych niebezpiecznych piękności, które wzbudzają czyste uwielbienie, a zarazem i kuszą. Wysmukła i gracyjna jak lilja, którą powiew wiatru pochyli, miała przytém muskularność klasycznych posągów. Gdy biegła, zdawało się, że uleci w powietrze, lecz kiedy w tém nagle stanęła, można było sądzić, że zdoła się oprzeć nawet burzy.

Piękność Wandy można było nazwać surową. Wyraz pewnéj dumy przeważał w jéj fizjognomji. Zdawała się być nieprzystępną. Mimo to nie była nigdy odpychającą. Jéj duma miała na sobie cechę szlachetności i wzbudzała uszanowanie. Patrząc na nię, przychodziło się łatwo na ten domysł, że ciężkie koleje życia może wyrobiły w niéj ten nieugięty

charakter, że walka z losem wytworzyła w niéj to silne poczucie swéj godności.

Wanda zdawała się nie wiedzieć o swych wdziękach, a przynajmniéj na to nie zważać. Nic ją to nie obchodziło, że była piękną, czy dlatego, że obojętną na to była z natury, czy téż że przyzwyczaiła się do tego.

Były jednak chwile, gdzie Wanda chciała być ujmującą, a wtedy celu swego dopinała z najlepszym skutkiem. Niepodobieństwem było oprzeć się powabowi, jaki umiała nadać wtenczas swéj mowie i spojrzeniu. Czy kto chciał czy nie chciał, wkradała mu się do serca.

Takie chwile nie były jednak wolne od pewnego odcienia hipokryzji. Pomimo wszelkiego uroku, kto miał bystrzejszy zmysł dostrzegania, musiał widzieć, że było w tém przymileniu się niemało fałszu, jakby w umizgach tygrysicy.

To téż na człowieku głębiéj myślącym Wanda największe mogła zrobić wrażenie, kiedy była zupełnie samą sobą, gdy szła krokiem wspaniałym i majestatycznym, gdy spoglądała napół smętnie napół z jakąś zadumą, gdy na czole miała powagę i dwa małe fałdy między brwiami niezrównanego wdzięku. Wtedy ta

dumna i spokojna postawa, przy regularnych jéj rysach i przy wielkiém, czarném oku czyniła ją podobną do bogini Djany.

Przecudowne to było oko! patrzyło tak rozumnie w świat, miało w swéj barwie miękkość aksamitu, a zarazem rzucało iskry jak karbunkuł.

Można jednakowoż być pewnym, że Wanda ubrana podług dzisiejszéj mody nie robiłaby tego efektu, jak w toalecie swojego czasu to jest z tak zwanych czasów cesarstwa. Dzisiejsza toaleta nazbyt jest trzpiotowata, wymuszona i sztuczna, ażeby w niéj nie ginęła znaczna część piękności danéj kobiecie od natury. Wyrachowana ona jest więcéj na ogół kobiet, zatém że tak powiem na piękność przeciętną. Rozmaitemi swemi dodatkami może dodać wdzięku, gdzie go brakuje; nadstawi włosy, doda pełności kształtom, ale tam gdzie postać kobieca już z natury wyszła doskonałą, może tylko oddać usługę fałszywego przyjaciela, to jest na pozór przynosi pożytek i dobrze czyni, w gruncie rzeczy zaś psuje.

Moda z czasów cesarstwa miała w sobie dalcko więcéj prostoty, i ogólny jéj zarys wzięty był ze stroju klasycznego

Rzymianek i Greczynek. Suknia gładka i wązka, prawie przystająca do ciała, z krótkim bardzo stanem pod samemi piersiami, nie zmieniała naturalnéj postaci kobiecéj. Wzrost kobiety, figura, wszystkie jéj kształty rysowały się widocznie pod tą osłoną i nie zmieniały swych proporcji. Nic tam nie można było skłamać ani sfałszować, a co chwila, przy każdém poruszeniu, uderzał oko jakiś nowy rysunek załamującéj się na ciele sukni, i robiły się draperje nie sztuczne jak dzisiaj, ale utworzone przez kształty ciała, nie robione ręką krawców i modniarek ale upinane przez samą naturę.

Tym draperjom mógłby kto zarzucić, że były nadto zmysłowe. Może być.... ale dzisiejsze torniury nie są więcéj przyzwoite, a że są mniéj estetyczne, że nie mają sensu, to nie ulega wątpliwości.

Przy podobném ubraniu Wanda nosiła zwykle fryzurę *à l'antique.* Jéj włosy niezmiernéj długości sprawiały jéj przytèm niejaką trudność. Musiała je podczesywać z tyłu i podtrzymywać grzebieniem. Po obu bokach i na przodzie spadały nizko na czoło strzępiasto skręcone loki. Niekiedy wtykała we włosy dużą pozła-

caną strzałę, co nazywało się wówczas fryzurą *en flèche*. Na głowie nosiła mały słomiany kapelusik *en coquille*, to jest w kształcie muszli, albo czarny, aksamitny tok z białém piórem spływającém na dół na prawe ramię. W pokoju, przy większéj toalecie, kładła na głowę djadem.

Historja panny Wandy.

Natura nie oszczędziła wdzięków Wandzie, ale też i na tém ograniczała się długo cała hojność losu.

Wanda przeżyła w swéj młodości bardzo ciężkie i gorzkie chwile. Od dzieciństwa była sierotą bez ojca i matki, a do tego ubogą, więc pozostawioną na łaskę ludzi. Wyrosła po rozmaitych domach swych krewnych, przerzucana z jednego do drugiego, jak komu przyszła fantazja albo jak zrządziły okoliczności. Ubożsi krewni zdawali ją bogatszym, bo im samym zwykle obarczonym liczniejszą familją, było zaciężko żywić u siebie sierotę; bogatsi oddawali ją często uboższym od siebie, dlatego że ci ostatni byli bliższymi jéj krewnymi, i ztąd mieli

większy dla niéj obowiązek. Niedostatek, grymasy, wymówki, grubijańskie traktowanie — wszystko trzeba było znosić i łzy w cichości połykać lub zaciskać zęby. Wanda częściéj to drugie robiła.

Przez lat kilkanaście Wanda była z kolei to piastunką swoich młodziutkich kuzynów i kuzynek, to praczką, to kucharką, to garderobianą w domach swych dobroczyńców. Bardzo często trzeba się było także wziąć i do grubszych robót, naprzykład do mycia garnków i podłogi albo do znoszenia drew z lasu. Wanda robiła wszystko ochotnie, gorliwie i dokładnie — nie mogła tylko znosić jednéj rzeczy: łajania. Ile razy używał kto na nią tego sposobu, nigdy nic nie wskórał. Stawała się wtenczas upartą i krnąbrną, nie słuchała napomnień i przestróg i robiła po swojemu, albo téż robotę zupełnie porzucała. Zagrożenie karą jeszcze bardziéj nic nie pomagało. — Wanda stawała wtenczas na miejscu jak wryta, utopiła swoje oczy dumnie i gniewnie w grożącego, i nie odezwała się ani jedném słowem o przebaczenie. Zdarzyło się kilka razy, że ukarana uciekała z domu swych opiekunów, i gdzieindziéj sobie miejsca szukała. Raz w czasie ta-

kiéj wędrówki od jednych krewnych do drugich przez trzy dni nic nie jadła, ale mimo to nie prosiła o pożywienie, nie powiedziała o tém nikomu, i czekała cierpliwie aż jéj razem z innymi podano wieczerzę.

Jak się to dosyć często u pięknych kobiet zdarza, u Wandy bardzo długo nic nie zapowiadało wdzięków, które się późniéj miały rozwinąć. Była to wysoka, chuda, śniada i zabiedzona dziewczyna, ze spojrzeniem bystrém, rozumném, ale jakoś dziko wyglądającém. Nie bardzo téż dbała o swoją toaletę i lubiła biegać po polach boso i z rozpuszczonemi włosami; kiedy tylko mogła, mięszała się do zabaw chłopaków wiejskich, a lalek nigdy nie znała i nie wiła wieńców.

Los jéj nieco się polepszył, kiedy mając lat ze szesnaście dostała się do ciotki Niemiryczowéj, kobiety wcale niezłéj, mającéj pretensje do pańskości i dlatego obchodzącéj się więcéj po ludzku ze swoją kuzynką, która również ze szlacheckiego gniazda pochodziła. Pilnowanie i pielęgnowanie dzieci było głównym obowiązkiem Wandy u Niemiryczów i niekiedy miała sobie także poruczone klucze od śpiżarni. Ciotka dbała także o

to, ażeby Wanda miała na sobie porządniejsze sukienki, ażeby była zawsze starannie zaczesaną i nabierała jakiego takiego ułożenia.

Wanda téż odetchnęła w jéj domu, bo tu już jéj nie kazano spać z czeladzią, dawano dobrze jeść i to przy pańskim stole i nie dawano jéj szturchańców, któremi niejedna ciocia lub stryjenka dawniéj tak hojnie ją obdarzały. Odetchnęła — a pod wpływem tego spokojniejszego życia charakter jéj także złagodniał i pozbył się różnych gwałtownych wybryków. Upartą jednak była Wanda i teraz, a upór jéj można było przełamać tylko łagodnością.

W tym czasie także Wanda zaczęła się robić ładną i niedługo dowiedziała się o tém, że się może ludziom podobać. Uroda dla dziewcząt w położeniu Wandy najczęściéj jest niebezpieczeństwem, a nieraz zgubą.

Kiedy Wanda zrobiła się ładną, a była tak jak i przedtém biedną i sierotą, każdy, komu wpadła w oko, myślał, że może się w niéj swobodnie kochać. Więc najprzód mąż ciotki, wielki zawsze kobieciarz, spostrzegł, że Wanda nie jest szpetną i zaczął się do niéj nie na żarty

umizgać. Przyszło do scen gwałtownych pomiędzy niemi; dziewczyna doprowadzona jego brutalnemi krokami do ostateczności, zebrała całą swą energję i śmiało mu się postawiła. Chwila była krytyczna — w nocy była samą w pokoju... ale odwaga jéj zatrwożyła pana Niemirycza, że tylko klepiąc ją po ramieniu, powiedział z przekąsem:

— Jakaś ty głupia!... myślałaś, że to naprawdę — i odszedł z kwaśnym uśmiechem do siebie.

W istocie, bał się żony; Wanda zaś miała tyle rozumu, że zataiła tę nocną awanturę.

Po ojcu nagabywali ją starsi dwaj synowie. Pocałować Wandę, uściskać ją, uszczypać, a wszystko nie bez jakiéjś dalszéj myśli — należało długi czas do ich stałych przyjemności. Przedpokój lub garderoba były zwykle miejscem tych popisów. Ale obojętne i harde stanowisko, jakie Wanda względem nich zajęła, położyło nareszcie koniec tym żartom.

Jeszcze i inni młodzi oficjaliści Niemirycza i kawalerowie ze sąsiedztwa próbowali korzystać z niedoświadczenia lub złych skłonności biednéj dziewczyny, ale wszyscy bezskutecznie. Wanda umiała

się opędzić ich natarczywości, a często jedném słowem wybić z głowy romansowe zachcianki. Niektórzy podobno zaczęli nawet na serjo uczuwać do niéj jakieś sentymenta, robić do niéj słodkie oczy, wzdychać kiedy przechodziła, a marzyć o niéj, kiedy jéj nie było.

Czy Wanda odpowiadała komu wzajemnością, czy jéj kto przypadł do serca i czy jéj głowa się nie rozmarzyła kto? o tém nie mógł nikt wiedzieć, bo z tajemnic swéj duszy nigdy się przed nikim nie zwierzała i była zbyt dumną, ażeby się przyznać do miłości.

Jakiś czas jednak była i ona w niezwykłém usposobieniu. Jakaś melancholja przebijała się na jéj twarzy, a oczy świeciły się gorączkowym ogniem. Czy to jednak były symptoma miłości, a témbardziéj ktoby był jéj przedmiotem, tego nikt się nie mógł domyśleć. Trwało to czas bardzo krótki i nikt zapewne na to nie zwrócił nawet uwagi. — Zresztą dla wszystkich domowych lub bywających w domu Wanda była chłodną i obojętną, lub impertynentką, poza domem zaś nie mogła nikogo widzieć chyba w kościele, do którego do sąsiedniéj wsi jeżdżono co niedzielę i święto. Nie bywała téż ni-

gdzie w sąsiedztwie i nie schodziła ludziom z oka, tylko czasami na godzinę najdłużéj, gdy poszła do lasu na poziomki lub orzechy.

Wanda miała rok ośmnasty i była już bardzo ładną, gdy pewnego razu zajechał do domu Niemiryczów spokrewniony z nimi przez nieboszczkę swą żonę stary hrabia Ochocki, a wraz z nim syn jego i córka. — Wracali z Warszawy, którą hrabia chciał dzieciom swoim pokazać i będące w niéj historyczne pamiątki. Była to pierwsza wycieczka w świat tych dwojga młodych ludzi, którzy dotąd prawie za próg ojcowskiego zamku się nie wydalali.

Hrabia ujrzał młodą dziewczynę, a szlachetny i rozumny wyraz jéj twarzy nie uszedł jego baczności. Ulitował się nad jéj losem, bo przyszłość Wandy na żaden sposób nie była zabezpieczoną, po części chciał także ulżyć Niemiryczom, którzy niebardzo byli zamożni, a obsypani liczną rodziną i zaproponował im, że chciałby zabrać kuzynkę do siebie. Przyczyniła się do tego jeszcze i ta okoliczność, że hrabia chciał dać towarzyszkę córce, która także już podrastała i w samotnym jego zamku nieraz przykrzyć sobie mogła.

Niemiryczowie zgodzili się chętnie i Wanda dostała się do zamku Belmont.

Z początku była bardzo nieśmiałą... Wszystko, co widziała, co ją otaczało, robiło na niéj jakieś upokarzające wrażenie. Wspaniałość gmachu, bogate urządzenie salonów, dzieła sztuki malarskiéj i rzeźbiarskiéj, z któremi się tam spotykała, wreszcie inny, wyższy jakiś tryb życia i szlachetniejsze maniery otaczających ją ludzi — były to rzeczy dotąd jéj obce i nieznane. Od pierwszéj chwili zasmakowała ona w tym nowym świecie i życiu. Wszyscy też, począwszy od pana domu, byli dla niéj tak uprzejmi i dobrzy, że czuła się po raz pierwszy jakby w rodzinnym domu. Ale zarazem poznawała, że pomiędzy nią a tym nowym światem, który ją nęcił tylą powabami, stała jakaś przegroda moralna.

Wanda prócz tego, że przez własną prawie ciekawość nauczyła się czytać i pisać, i kilka książek bez żadnéj wartości przeczytała, nie miała żadnego wykształcenia. Brak tego stanął jéj żywo przed oczami za pierwszym niemal krokiem, który na zamku postawiła. Poznała, że chcąc żyć z tymi ludźmi, trzeba ich rozumieć i stać z nimi mniéj więcéj

na jednéj wyżynie umysłowéj, i duchowo być im równą, tak jak oni w całém obejściu się z nią na równi ze sobą ją stawiali, i żadnych różnic towarzyskich nie robili.

O wykształceniu systematyczném i gruntowném Wanda nie pomyślała; może to zresztą przechodziłoby jéj siły i cierpliwość. Ale wszystkie władze duszy wytężyła, aby jak najprędzéj przyswoić sobie całą ich ogładę zewnętrzną i w ich towarzystwie pochwytać wszystkie te wiadomości, które za najpotrzebniejsze uważała. Miała zawsze otwartą głowę i rozum przenikliwy, nie było to więc rzeczą tak trudną. Pochłaniała więc w sobie tę atmosferę, która ją otaczała, i spostrzegła wkrótce, że się robi inną niż była, podobną do nowych ludzi, wśród których teraz żyła.

Mimowoli całe jéj otoczenie przyczyniało się do jéj wykształcenia. Wanda patrząc na obrazy i posągi, których hrabia miał wiele u siebie, czuła, że jéj widnokrąg umysłowy się rozszerza, i wprzód nim wiedziała o tém, pojęła już znaczenie sztuki. Toż samo się działo, gdy hrabianka Julja śpiewała, a Henryk jéj akompaniował. Wanda przysłuchując się po-

znawała, jakie wrażenie muzyka robi na jéj duszy, jak ona podnosi i uszlachetnia jéj uczucia, jak rodzi w niéj jakąś tęsknotę do świata, w którym kwitnie szczęście i piękność.

Książka, w kosztownéj oprawie i z pięknemi rycinami, powiadała jéj, że muszą tam być rzeczy cenne i piękne, jeśli ludzie tyle do tego przykładają pracy i tyle kosztów na to łożą. Brała ją do ręki, a kilka kartek przeczytanych z zapałem, z gorączkową ciekawością, pochłanianych całą duszą, uczyło ją więcéj niż całoroczna lektura niejednę znudzoną damę wyższego świata.

Niedługo zatarła się nieprzyjemna dla niéj różnica między nią a mieszkańcami zamku. Kto jéj wprzódy nie znał, a widział ją teraz, nigdyby mu na myśl nie przyszło, że Wanda przez całe życie dotąd, i to jeszcze niedawno, niańczyła dzieci, strugała ziemniaki i prasowała bieliznę, że dopiero przed kilku miesiącami dowiedziała się, że istnieje na świecie literatura, sztuka, historja, polityka itp. O tém wszystkiém nabrała ona pojęć wprawdzie ogólnych, ale wyraźnych i trafnych; wiadomości miała bardzo nie wiele, ale potrafiła się we wszystkiém

łatwo orjentować i o wszystkiém zdrowo sądzić.

W tym czasie także z ładnéj Wanda zrobiła się piękną. Twarz jéj nabrała szlachetności i dystynkcji, a z oczu zniknął zupełnie pewien wyraz dzikości, który zdawał się być jéj naturalnym. Zostały tylko powaga i duma, tak pięknie na jéj obliczu odbijające, obok melancholijnego zamyślenia, które jéj się czasem zdarzało, kiedy była samą.

Wanda miała bardzo wiele dobrego smaku i gustu, który niedługo zaczęto spostrzegać i podziwiać na jéj toalecie. Ubierała się z największą prostotą, ale elegancko i nieraz z przepychem, bo wszelkie jéj zachcenia w domu hrabiego skrupulatnie bywały spełniane. Dziwna rzecz, hrabia nie lubił nigdy zbytku i potępiał go surowo. Córka jego ubierała się zawsze jak najskromniéj. W jakiś czas jednak po przybyciu do nich Wandy można było spostrzedz, że hrabia zmienił nawet do pewnego stopnia swoje wyobrażenia. Z garderoby kobiecéj wychodziły coraz częściéj posyłki do najbliższych miasteczek, do Kamieńca, a nawet zamówienia do Warszawy, a hrabia nietylko nie sprzeciwiał się temu, ale owszem

zdawało się go to cieszyć, jeśli Wanda a niekiedy i córka wystąpiły w nowéj jakiéj gustownéj toalecie, gdy zobaczył na nich zgrabniutki, świeży kapelusik, albo najświeższego kroju i koloru tunikę.

Z natury miał i on w sobie wiele estetycznego zmysłu mimo surowości, z jaką zapatrywał się na świat. Purytanin w wyobrażeniach większego znaczenia, w rzeczach codziennego życia był synem wieku XVIII, lubił sztuki piękne i elegancję, byle ta nie grzeszyła przesadą. Otóż ponieważ téj w toalecie Wandy nigdy nie było, hrabia zgodził się nawet na przepych, skoro widział w nim prostotę i zdrowy rozsądek.

Zresztą Wanda była tak piękną!.. więc któżby takiéj kosztownéj perle nie chciał dać odpowiedniéj oprawy?.. Hrabiemu prawdopodobnie zdawało się, że dla takich powabów natury nie ma za drogiego stroju. Ta elegancja, wspaniałość, przepych wydały mu się całkiem naturalne, bo między niemi a osobą Wandy panowała najzupełniejsza harmonja.

Tak hrabia mógł myśleć, dopóki patrzył jeszcze na nią jako na piękny utwór natury — cóż dopiero wtedy, kiedy poczuł miłość do Wandy. Czy byłby

mógł odmówić jéj czego? czy nie byłby pragnął przyodziać jej po królewsku, jak owe ewangeliczne lilje polne? zwłaszcza gdy w każdym kroku Wandy widział tyle rozumu i taktu i o lekkomyślność posądzić jéj nie mógł.

Pierwsze wejście w bliższe stosunki.

Kilkanaście dni upłynęło od „Święta Żniw“. Henryk skończył śniadanie w swoim pokoju i przerzucał jakąś książkę, gdy niespodzianie ujrzał we drzwiach Zawiłę. Miał on pałasz przy boku i minę tak poważną i uroczystą, że Henryk, który dotychczas u siebie jego wizyt nie odbierał, powstawszy ze sofy, postąpił ku niemu kilka kroków i zapytał:

— Czém panu mogę służyć?

Zawiła zrobił ceremonjalny ukłon.

— Pozwól pan, że usiądziemy — rzekł jakimś urzędowym głosem — mam z panem pomówić.

Usiedli, a Zawiła znów zaczął:

— Ważny interes sprowadza mię do pana. — I patrzał badawczo w oczy Henryka, jakby chciał poznać, czy się domyśla, jaki to interes.

Po pauzie, którą zrobił dla nadania temu co miało nastąpić większego znaczenia, mówił daléj:

— Mogę nawet powiedzieć, że to jest sprawa honorowa, w któréj zaangażowany jest honor drugiéj osoby i mój także.

— Słucham, o co panu chodzi — rzekł Henryk, który się nie domyślał, do czego ten wstęp zmierza.

— Chodzi mi o owo nocne spotkanie, które pan miałeś....

— Ja?.. z kim?..

— O ową schadzkę ubiegłéj nocy...

Henryk domyślił się, o czém mowa i zbladł. Schwycił gwałtownie Zawiłę za rękę i zapytał wzruszonym głosem:

— Jakto, pan wiesz o tém?

— O godzinie wpół do pierwszéj — mówił Zawiła daléj — szedłeś pan tym korytarzem, którym ja tutaj przyszedłem teraz, minąłeś ciemną sionkę i udałeś się do pokoju...

— Na miłość Boga, czy nie powiedziałeś pan o tém komu?.. — zawołał Henryk, nie dając mu dokończyć.

Zawiła wstrząsnął głową zaprzeczająco i rzekł poważnie:

— Za kogóż mię pan masz. Mówię o tém panu, ale za nic w świecie nie po-

wiedziałbym o tém nikomu. Zresztą komuż bym mógł powiedzieć...

Urwał nagle, i utopiwszy z pewną złośliwością wzrok w bladéj i zatrwożonéj twarzy Henryka, dodał po chwili:

— Czy może pańskiemu ojcu?..

— Więc o tém nikt więcéj nie wie, nikt?

— Nikt. Przynajmniéj odemnie.

Henryk uścisnął go za rękę:

— Proszę i nadal o milczenie.

— Dobry pan jesteś sobie — rzekł Zawiła, przechodząc nagle w ton opryskliwy — myślisz, że na tém będzie koniec. Milczeć będę, bo jak powiedziałem, chodzi tu także o mój honor, ale na tém nie poprzestanę...

— Czegóż pan żądasz?

— Żądam od pana wytłómaczenia, co to wszystko ma znaczyć.

— Nie rozumiem pana.

— Powiadam panu wyraźnie: panna Wanda jest moją kuzyną, moją krewną, a ja jako człowiek honorowy i do tego oficer Napoleoński nie mogę pozwolić, abyś pan ją niesławił i bałamucił. Pytam się więc pana, jaki cel mają te schadzki, bo oprócz wczorajszéj wiem także i o dawniejszych w ogrodzie...

— Więc pana przyprowadziła tu do mnie jedynie dbałość o honor panny Wandy?

— Nieinaczéj. Gotów jestem go bronić nawet ze szablą w ręku — i mówiąc to, Zawiła uderzył o rękojeść pałasza.

— Do tego nie przyjdzie — odrzekł z lekkim uśmiechem Henryk. — Cieszę się jednak, że poznałem w panu tak dobrego przyjaciela panny Wandy — i uścisnął go za obie ręce. — Bądź pan spokojny.

— Czy to ma być już wszystko? — zapytał ironicznie Zawiła — mnie nie wystarczą podobne frazesy. Jestem żołnierzem i robię wszystko kategorycznie... Wytłomacz mi pan jasno i wyraźnie, jakie masz pobudki i jaki cel w tym romansie.

Henryk zarumienił się, jakby mu było przykro odsłaniać tajemnicę swéj duszy przed człowiekiem prawie mu obcym. Gdyby był więcéj znał świat i miał więcéj doświadczenia, mógł był po prostu wyrzucić za drzwi natrętnego opiekuna.

Ale on w téj chwili czuł szacunek dla jego prawości i wdzięczność za jego troskliwość o dobro Wandy. Przytém ten człowiek posiadał już tę tajemnicę, i do

duszy Henryka wkradła się obawa, aby jéj nie odkrył przed kim innym, gdyby on nie dał mu zaspakajającéj odpowiedzi. Z wewnętrzną niechęcią przeto zdecydował się jednak odpowiedzieć:

— Kocham pannę Wandę i chcę się z nią żenić. Takie są moje pobudki i mój cel.

— Więc dlaczego się pan nie żenisz? dlaczego cały ten stosunek ma być pokryty jakąś tajemnicą?..

— Są pewne przeszkody.... ze strony mojéj familji.... ale te usuną się z czasem....

— Dajesz mi pan na to swoje słowo honoru?

— Daję. Oto moja ręka.

Zawiła powstał i znów uroczyście Henrykowi się ukłonił.

— Mój interes zatém skończony. Chciałem tylko usłyszeć z pańskich ust zapewnienie dobrych jego intencji dla panny Wandy, albo w razie przeciwnym poszukać innéj satysfakcji. Kiedyś mi pan dał słowo, jestem już zadowolniony i spokojny.

To powiedziawszy, wyszedł z pokoju i zostawił Henryka nawpół odurzonego tą sceną.

Zawarcie przymierza.

Zawiła wyszedł od Henryka zadowolniony. Śmiała jego wyprawa udała mu się lepiéj niż się spodziewał. Mógł sobie jednakowoż powiedzieć, że postępował bardzo zręcznie, wstępnym bojem uderzając na nieprzygotowanego i niedoświadczonego młodzieńca.

Pozostawała mu jeszcze do spełnienia druga część akcji, jaką w swych planach sobie zakreślił — ważniejsza i trudniejsza zarazem. Należało teraz wystąpić przed Wandę i albo zawrzeć z nią przymierze, jeśli się uda, albo rozpocząć walkę.

Zawiła poszedł w ogród. Tak był uradowany, że uczuwał potrzebę ruchu, chciał także zebrać swoje myśli do nowéj rozprawy.

Niespodziewanie na zakręcie cienistéj alei niedaleko zamku ujrzał Wandę. Stała nad kanałem i rzucała jeść przybiegającym do niéj łabędziom.

Z całą gracją i uszanowaniem ukłonił jéj się, i odebrał w zamian lekkie skinięcie głową. Nie był przygotowany na to spotkanie i w pierwszéj chwili się zmięszał, nie wiedząc od czego zacząć, a tak

dobréj sposobności nie chciał opuszczać. Zaczął więc od tego, co plątało mu się po głowie z ostatka jego rozmowy z Henrykiem.

— Honor pani, kochana kuzynko — rzekł nawpół strwożonym a nawpół poufałym tonem — nie będzie wystawiony na żadne niebezpieczeństwo. Przekonałem się o tém dokładnie, i z wielką przyjemnością mogę to pani oświadczyć.

Wanda spojrzała na niego jak na człowieka co stracił zmysły.

— Widzę, że to panią dziwi, ale muszę powiedzieć, że wracam właśnie z rozmowy od pana Henryka...

— Cóż mię to obchodzi, i skąd rozmowa wasza może mnie dotyczyć.

— Dotyczy panią i bardzo. Przez cały czas mówiliśmy tylko o tobie kuzynko.

Wanda zmarszczyła brwi, jakby jéj ta wiadomość zupełnie się nie podobała.

— I cóż o mnie mówiliście, jeźli wolno wiedzieć — rzekła z uśmiechem, którym starała się pokryć swe niezadowolnienie.

— Henryk — odpowiedział Zawiła naumyślnie przed imieniem nie dodając wyrazu „pan“ — wyznał mi otwarcie, że kocha panią, i co jeszcze bardziéj mię ucieszyło, przyrzekł mi pod słowem honoru, że się z panią ożeni.

Wanda nie była przygotowaną na ten atak nagły i zuchwały. Pomimo wrodzonéj mocy nad sobą, omało że się nie zachwiała na spadzistym brzegu kanału. Prędko jednak odzyskała całą przytomność umysłu, i jakby to co usłyszała nie było dla niéj ważną rzeczą, nie odpowiadała przez chwilę i z największą flegmą rzucała łabędziom jednę po drugiéj okruszyny chleba. Zawiła stał tymczasem jak na szpilkach oczekując jéj odpowiedzi.

— Pan Henryk — odezwała się nareszcie Wanda najspokojniejszym głosem — nie mógł panu nic podobnego powiedzieć, bo o tém ani on ani ja nigdy nie myśleliśmy.

Zawiła zrozumiał wybieg, ale postanowił obejść flankowym marszem.

— Być może — rzekł uśmiechając się, żeby do tego nie był się przyznał, gdyby nie ta okoliczność, że przekonałem go jak na dłoni, że o wszystkiem wiem jak najdokładniéj...

— Jakto, co pan wiesz?.... zapytała Wanda, któréj oczy nagle się rozpłomieniły.

— Wiem to, i wiedziałem wprzód nim poszedłem do Henryka, że dla siebie nie jesteście obojętni, że widujecie się ze sobą....

Twarz Wandy zrobiła się podobną do piór łabędzi — które napróżno nowego datku z jéj rąk krzykiem się domagały.

Zawiła mówił daléj — ciesząc się w duszy z tego zakłopotania w jakie ją wprawia:

— I to było właśnie przyczyną, że poszedłem do niego w celu zapytania się jakie ma zamiary względem pani, bo jako twój kuzyn czułem się w obowiązku bronienia twego honoru.

— To wszystko fałsz!... panu się coś zdawało... proszę mię uwolnić od téj rozmowy, która nie ma sensu — odezwała się z gniewem Wanda, starając się tym energicznym środkiem wywikłać z sieci, które Zawiła na nię zarzucał.

Ale Zawiła nadto miał przebiegłości, aby nie poznać, że to zaprzeczenie jest najlepszym dowodem słabości Wandy i wyczerpania wszystkich jej środków obrony. — Czuł, że zwycięża i zrobił się lekceważącym.

— Ależ kuzynko — rzekł poufałym tonem, który śmiertelnie zadrasnął dumę Wandy — poco się przedemną wypierać!? — Chcesz zaprzeczyć temu co na własne oczy widziałem nie dawniéj jak

dzisiejszéj nocy o godzinie wpół do pierwszéj....

Wanda nie odpowiedziała mu, odeszła od łabędzi, zbliżyła się do Zawiły i spokojnym głosem powiedziała:

— Pójdźmy daléj do ogrodu, tu mógłby nadejść kto z zamku. Tam możemy z sobą pomówić.

Poszła naprzód a Zawiła za nią. Oboje przez całą drogę nie mówili do siebie ani słowa. Gdy już byli dosyć daleko od zamku, Wanda usiadła na ławce pod drzewem i patrząc bystro w oczy Zawile zapytała:

— Powiedz mi pan, co wiesz jeszcze więcéj o mnie, powiedz mi wszystko i szczerze.

— Oprócz tego co powiedziałem — wiem tylko to, że także stary hrabia kocha się w pani...

— Wiesz pan i to...

— Jak widzisz, kochana kuzynko. — Zresztą nie jest to tak wielką tajemnicą; miejscowi ludzie domyślają się tego i przebąkują o tem.

— Naturalnie, to jest dość widoczne. A więcéj co pan wiesz jeszcze?

— Więcéj już nic.

— Nic ani z mego teraźniejszego ani przeszłego życia?

— Nic zupełnie, oprócz rzeczy, które może wiedzieć cały świat.

— A o tem, że Henryk mię kocha — czy z kim więcéj mówiłeś?

— Dotychczas z nikim, wyjąwszy rozumie się z Henrykiem.

— Więc o tem nikt nie wie?

— Nikt a nikt... oprócz mnie.

— Spodziewam się, że pan będziesz milczeć....

— Jeżeli to potrzebne dla twego dobra kuzynko, będę milczeć, bo wierzaj mi, że twoje szczęście bardzo mi na sercu leży, i że ci życzę jak najlepiéj.

— Bardzo dobrze. Namyśl się pan — jaką nakładasz cenę na to twoje milczenie. Będę się starała nagrodzić cię czy wcześniéj czy późniéj. — Zresztą dodała po chwili namysłu — może będę jeszcze nie raz potrzebować pańskiéj pomocy. — Czy mogę liczyć na to?

— Zawsze i wszędzie — kochano kuzynko.

— Dobrze więc, pamiętaj pan, że zostałeś moim sprzymierzeńcem i przyjacielem. Żądam tylko jednego, abyś nic nie robił na swoję rękę, to mogłoby być

niebezpiecznem, i także nic poza mojemi plecami, na to będę miała czujne oko. Gdy mi pan będziesz szczerze pomagać, możesz dobrze wyjść na tem, bo muszę przyznać, że mam nie małe trudności.

Podała mu swoją piękną rączkę, a on ją z nie małą przyjemnością pocałował.

— Panno Wando — rzekł szczerym jakby rozczulonym głosem — zrobię zawsze wszystko, co każesz, i przyrzekam ci wierną przyjaźń. Jesteśmy przecież swoi.... i powinniśmy sobie pomagać.... A jak miarkuję, tu na zamku będzie można coś wskórać, byle tylko mądrze zabrać się do rzeczy.

— Odejdź pan teraz. Nie chciałabym, żeby spostrzeżono, żeśmy tu byli razem, i to dosyć długo.

Zawiła posłuszny rozkazowi, skłonił się i odszedł, a stanąwszy w swoim pokoju zawołał głośno, jakby z serca przepełnionego uczuciem:

— O Klotyldo, Klotyldo, jakże ci jestem wdzięczny!

Korzystne zajęcie w wolnych chwilach.

Czujemy się w obowiązku wytłumaczyć czytelnikowi ten ostatni wykrzyknik pana Zawiły.

Przez parę dni po „Święcie Żniw“ dwie szczególnie myśli nie dały spokoju Zawile. Pierwszą z nich było to, że zamek jest djabelnie nudny, a drugą ażeby znaleść jak najprędzéj sposób wkręcenia się w stosunki mieszkańców zamku. To pragnienie podniecała w nim słuszna uraza, jaką mógł czuć do wszystkich prawie kuzynów, którzy bynajmniéj nie przygarnywali go do siebie przyjacielskiemi rękami. Hrabia był dla niego bardzo grzeczny i łaskawy, Zawiła mógł być pewny, że w jego domu — gdyby chciał, nawet na lat dziesięć może mieć bardzo wygodną kwaterę, ale nie podobało mu się to, że hrabia patrzył przytem na niego, jakby z jakiemś politowaniem, jakby na istotę, któréj wartość moralną nie zbyt wysoko cenił.

Prócz tego hrabia nie entuzjazmował się bynajmniéj do jego bohaterskich wo-

jennych czynów, a nawet na sławę i wielkie wojny cesarza był dosyć obojętny. Przy pierwszém zaraz widzeniu się, hrabia w téj materji surowo i niesympatycznie się wyraził:

— Wojny są wielkiem morderstwem narodów. Pycha i chciwość prowadzą krocie tysięcy bliźnich i braci na rzeź. Kto wydaje wojnę, powinien dobrze się z sumieniem policzyć, czy będzie sprawiedliwą. Świat jest dotąd bardzo barbarzyński, jeźli dopuszcza do takich morderstw.

Panna Wanda, jak przy pierwszém spotkaniu, była ciągle dla niego prawie pogardliwą, a Henryk ciągle chłodny i zdaleka się trzymający.

Zawiła wywnioskował sobie z tego wszystkiego, że kuzynowie mają go za wielkie „ba i bardzo“ i za strasznie małą figurę. Uczuł do nich niechęć i postanowił im pokazać, że może odegrać pomiędzy nimi jakąś rolę, zrobić się ważnym i potrzebnym.

Na te myśli przykre i rozmaite plany miał dosyć czasu, bo jak powiedzieliśmy nudził się okropnie w spokojnym i bezludnym prawie zamku. Dla zabicia więc czasu potrzebował jakichś wewnętrznych

wzruszeń, a tych mógł najłatwiéj doznać, spełniając zamiary swojéj zemsty.

Skorzystał najprzód ze spostrzeżenia zrobionego podczas mowy hrabiego w „Święto Żniw“ i dla zwietrzenia stosunków zamkowych oddał wizyty najbliższym sąsiadom, to jest wikaremu, który mieszkał w miasteczku i doktorowi, który zajmował niewielki dworek w połowie drogi z zamku do miasteczka.

Obaj znajomi przyjęli go jak najlepiéj, bo Zawiła nie omieszkał zaraz na wstępie dać im do poznania, że o zamku i jego mieszkańcach może wprawdzie powiedzieć dosyć dobrego, jednakże, choćby nie chciał, musi w nich widzieć nie jedno „ale“. Najwięcéj téż tak u wikarego jak i u doktora mówiono o tych osobach, co zresztą na całym świecie jest stałą regułą, że podwładni i zależni ludzie najchętniéj i z największym interesem mówią o swoich chlebodawcach i zwierzchnikach. A krytyka ich bywa nielitościwa! Kto się dostanie na te języki, nie zostanie na nim suchéj nitki, bo policzywszy wszystkie: „to prawda, ale“.... i wszystkie „gdyby“ dodane do każdéj pochwały na jego korzyść wyrzeczonéj, pokaże się w rezulta-

cie, że suma jego zalet obok wad i stron ujemnych równa się prawie zeru.

Wikary jak zwykle wyrażał się o hrabim z oburzeniem, doktor z ironją i przekąsem, a jego małżonka gorszyła się postępkami hrabiego. Wszyscy troje rozszerzali się szczególnie, jako o jedném z najnowszych wydarzeń, nad tym występnym, nietaktownym, nieprzyzwoitym czynem, (według rozmaitego sposóbu ich zapatrywania się), że hrabia będąc wdowcem trzyma w domu swoim pannę dorosłą i do tego dosyć niebrzydką (według wyrażenia pani doktorowéj, która żyła jeszcze resztkami sławy dawnéj piękności), a pobytu jéj u siebie niczemby wytłómaczyć nie mógł, chyba tem, co ludzie powiadają, że się w niej kocha (co byłoby arcyniemoralném) albo nawet z nią żenić zamyśla (co byłoby w jego wieku strasznéjm szaleństwem).

Ta wiadomość niezmiernie zdziwiła i bardzo dużo dała do myślenia Zawile. Z początku był nią odurzony, a potém ogromnie się z niéj ucieszył.

— Jakto? hrabia kocha się w Wandzie?..... chce się z nią żenić?.... mówił do siebie — a Wanda?.... Wanda zdaje się miewa jakieś schadzki..... z kim?....

jeźli z hrabią, pfuj! rzecz strasznie gorsząca i romans to nieczysty!.... A jeźli nie z hrabią?.... tam do kata! może się skompromitować i djabelnie złapać. Gdybym mógł się coś pewniejszego o niéj dowiedzieć, miałbym ją w swoich rękach... ją i hrabiego i tego trzeciego, co w sekrecie się do niéj podbiera.

Gdyby Zawiła owéj nocy, gdy Henryk i Wanda widzieli się raz ostatni w chińskiéj altanie, nie był chrapał w najlepsze w tym samym czasie, kiedy kochanków rozmarzonych tak łatwo było podejść i schwytać na uczynku, byłby bezwątpienia wiedział już wszystko i był panem ich tajemnicy. Ale nieszczęście chciało, że po kolacji na sali, wyszedłszy wraz z innymi na dziedziniec, przyłączył się do tanecznikówr, hulał na zabój z dziewczętami i pił bez miary, tak że po wszystkiem ledwie zawlókł się do swéj kwatery i padłszy na łóżko, na śmierć zapomniał o swojem obserwatorjum w oknie i o tajemniczéj kobiecie z przeszłéj nocy.

Przy kolacji jednakże (jak sobie przypominamy) nie uszło jego uwagi zachowanie się Henryka i wzbudziło w nim podejrzenia i domysły. Na téj podstawie Zawiła począł obserwować ich oboje, kiedy

i jak często mówili do siebie, jak patrzyli na siebie, jakie wrażenie na sobie robili, gdy nagle się spotkali itp.

To wszystko mogło mu dostarczyć materjału do podejrzeń, ale Zawiła dobrze pojmował, że musi mieć w ręku dowody, jednę przynajmniéj nitkę intrygi, aby mógł wmięszać się do téj sprawy, która tém ważniejszą mu się wydawała, że jak się z rozmów z wikarym i z doktorem przekonał, nikt nic nie wiedział ani się domyślał o innym jeszcze jakimś romansie Wandy czy to z Henrykiem czy z kim innym. Tym usilniéj więc począł podpatrywać i szpiegować ich oboje, i niedługo spostrzegł, że to jest wcale przyjemne zatrudnienie, bo odtąd nie tak bardzo się nudził.

Miłość jest wszechwiedząca.

Zawiła chciał dotrzeć jak najbliżéj najważniejszego punktu, to jest mieszkania Wandy — i krążąc pod zamkiem, a czasami i po zamku, niby tak bez celu i przez prostą ciekawość, dowiedział się, że zajmowała dwa pokoje na parterze, wychodzące na jednę stronę ogrodu. Je-

den z tych pokoi łączył się z pokojem, w którym mieszkała panna Julja, drugi zaś, a pierwszy z rzędu, miał osobne wyjście do sieni. Obok tych mieszkań były dwa inne pokoje, przedzielone od nich wązkim korytarzem, a zajmowane przez fraucymer, który składał się ze staréj Małgorzaty, niegdyś piastunki nieboszczki hrabiny, potém bony panny Julji, a obecnie jéj najlepszéj przyjaciołki, jakoteż z panny Klotyldy, tytułowanéj i ze swego urzędu „panną,“ a któréj imię więcéj było intrygujące niż jéj osoba. „Panna“ Klotylda bowiem miała lat około czterdziestu, kości grubo jak stary grenadjer, zdrowie czerstwe, policzki pulchne i trochę za rumiane, wreszcie stałą chęć wydania się zamąż.

Zawiła odbywał często wartę, chodząc tam i napowrót krokiem miarowym pod oknami tych mieszkań. — Ostrogi jego brzęczały przytém zbyt głośno, aby panna Klotylda, która z igłą w ręku siadywała przy oknie, nie zwróciła na to uwagi i kilka razy nie uchyliła firanki.

Młody ułan, z dziarską miną, przy ostrogach i z takim ładnym wąsem spacerował przed jéj oknem!... To było za-

wiele.... zawróciła jéj się głowa i odtąd panna Klotylda zaczęła wzdychać.

Zawiła nie wzdychał, ale niedługo spostrzegł, że z za firanki strzelają do niego jak z za płotu, ogniste spojrzenia. Pokręcił wąsa (co było adresowane do panny Klotyldy), a sobie powiedział w duchu:

— Poczekaj rybko, pociągnę ja ciebie za język!

Na drugi dzień po téj wzajemnéj wymianie sygnałów jakoś przypadkiem spotkali się oboje w ogrodzie. Rozmowa była szczera, choć z początku ze strony panny Klotyldy bardzo nieśmiała. Ułan dowiedział się na jeden raz wszystkich kolei całego jéj życia, także i o tém, że panna Klotylda nigdy w życiu jeszcze się nie kochała (powiedziała mu to z oczami w ziemię spuszczonemi). Naturalnie, z porządku przyszła potém kolej na państwo hrabstwo i pannę Wandę; panna Klotylda wszystkich chwaliła, uwielbiała i kochała; może dlatego, że była w obowiązku dopiero od dwóch tygodni, kiedy jéj poprzedniczka wyszła za mąż.

Zawiła z wielkiém swojém niezadowoleniem o tém usłyszał i przekonał się, że miał rację, bo na jego zręczne indagacje, mimochodem i nieznacznie rzuca-

ne pytania względem mieszkańców zamku, panna Klotylda nic powiedzieć nie umiała.

Trzeba jednak oddać jéj sprawiedliwość, że w tém nie była tak wiele ona sama winną, ile okoliczności. W istocie, panna Klotylda żyła na zamku całkiem odosobniona. Z mężczyznami nie pozwalała jéj przestawać przyzwoitość i jéj godność, a jedyna możliwa towarzyszka, stara Małgorzata, była przygłucha, do rozmowy niebardzo skora i więcéj przesiadywała u swojéj panienki, niżeli w garderobie. Panna Klotylda znowu nie miała do niéj ani śmiałości ani zaufania, ażeby rozmowy o państwie rozpoczynać, w które Małgorzata nigdyby się téż nie była z nikim wdawała.

Zawiła nie stracił jednak nadziei, że ta znajomość może mu się na coś przydać. Dlatego utrzymywał ją daléj i po kilku pogadankach pod gołém niebem, to we dnie to wieczorem, zaproponował pannie Klotyldzie, czyby nie mógł widywać się z nią w jéj mieszkaniu... dla obojga byłoby to wygodniéj i tam mogliby ze sobą swobodnie pomówić.

Miłość u niektórych kobiet i w niektórych warstwach tak galopem pędzi, że

prędko przychodzi się do poufałości. Panna Klotylda téż, któréj serce ułan codzień więcéj rozgrzewał, nie rozgniewała się na tę propozycją, prosiła tylko o najdelikatniejszy sposób jéj wykonania, bez ściągania na nich niedyskretnego oka ludzkiego.

Było to dość łatwo wykonać. Z trzech stron można było dostać się na korytarz prowadzący do mieszkań kobiecych, a drzwi te, jak wiemy, nigdy nie były zamykane. Przy główném tylko wejściu spał stary kamerdyner w swojéj stancji. Małgorzata ze swym przytępionym słuchem nie była niebezpieczna, przytém częściéj ona sypiała u panienki niż u siebie. Zawiła więc miał bardzo ułatwiony przystęp do swéj bohdanki, a dostawszy się do jéj pokoju — o co mu głównie chodziło — zbliżał się do mieszkania Wandy i mógł ją lepiéj szpiegować.

Był zaś na tyle ostrożny i rozsądny, że roli szpiegowania nie chciał powierzyć pannie Klotyldzie i o swych zamiarach ani półsłówkiem jéj nie wspomniał.

Wieczorem, kiedy już wszyscy do siebie się rozeszli, co w zamku bardzo wcześnie następowało, udawał się boczném wejściem, zakrytém dla dalszych oczu

wielkiemi krzewami, do oczekującéj z upragnieniem téj chwili panny Klotyldy. Zawiła byłby skłamał, gdyby nie przyznał, że te sam na sam nie były dla niego dosyć przyjemne. Jakkolwiek nie gorzał bynajmniéj afektem, to przecież pulchna rączka panny Klotyldy, ściskana zwłaszcza przy świetle gwiazd, podnosiła dość wysoko temperaturę jego serca.

Pomimo to nie stracił z oka swego celu, nie dał się rozmarzyć wdziękami panny Klotyldy i dobrze przed północą opuszczał ją. Szedł pocichu na palcach przez korytarz w kierunku do bramy, którą przechodził, ale po kilkunastu krokach wracał się jeszcze ciszéj, omijał drzwi panny Klotyldy, i stawał na czatach w wązkiéj sionce przedzielającéj mieszkanie kobiece od siebie. Sionka ta nie miała okna, przeciwnie korytarz, z którym schodziła się prostopadle, był oświecony światłem padającém przez okna z dziedzińca. Kto szedł przez korytarz, mógł być z sionki widziany, ten zaś, kto się w sionce znajdował, niknął w ciemności. O kilkanaście kroków od téj sionki były drzwi panny Wandy, które tym sposobem Zawiła mógł mieć ciągle na oku.

Domyślał on się, że godziny najbliższe

północy mogły być najprawdopodobniéj czasem schadzek. Była to pora najstósowniejsza, i w tym samym mniéj więcéj czasie widział raz pierwszy przekradającą się przez ogród Wandę; coraz bowiem mocniéj wierzył w to, że to była ona.

Mógł on wprawdzie i bez romansu z panną Klotyldą przychodzić w to miejsce na przeszpiegi. Ale, obliczając możliwe wypadki, chciał swoją podejrzaną tam bytność jakkolwiek upozorować. Gdyby był nadybany tak bez wszystkiego, honor jego prostém szpiegowaniem więcéj był narażony, niżeli romansową awanturą, dla któréj nie wahał się wyczekiwać niedaleko drzwi swéj bohdanki. Nadto bez podobnego pretekstu czémżeby się usprawiedliwił ze swoich czatów? Bądź cobądź, każdyby mógł myśleć, że wybrał się tam na przeszpiegi, i Zawiła mógł się zdradzić raz na zawsze. Panna Klotylda była więc dla niego parawanem, a mniejsza o to, że ona przytém mogła być skompromitowaną.

Noc jednę, drugą i trzecią wystawał Zawiła po godzinie i dłużéj, bez żadnego rezultatu. Zniecierpliwiony, posunął czasem swoję śmiałość tak daleko, że na palcach skradał się pod drzwi panny

Wandy. Widział nieraz światło przez dziurkę od klucza, słyszał jéj kroki i poruszenia... Wanda była więc u siebie i nie wychodziła z pokoju.

Zaczął się trochę wahać w swéj wierze, ale z drugiéj strony podejrzenie było tak silne, że postanowił, choćby mu przyszło cały miesiąc tak stróżować, o rzeczywistości lub przywidzeniu stanowczo się przekonać.

Nareszcie jednéj nocy, w wigilję jego rozmowy z Henrykiem i Wandą, zobaczył czego się spodziewał i pragnął. Zobaczył Henryka, który o godzinie wpół do pierwszéj bez światła, z największą ostrożnością przeszedł korytarzem, o kilka kroków od niego, i udał się do pokoju Wandy.

Jak kot cichaczem rzucił się Zawiła pod drzwi Wandy, skoro tylko Henryk zamknął je za sobą. Wśrubował oko w dziurkę od klucza i wytężył słuch... Przeszło pół godziny tak wytrwał... Widział ciągle palące się światło, słyszał brzmienie ich rozmowy prawie bez przerwy, bo siedzieli w pierwszym pokoju, tak że sypialnia Wandy oddzielała ich od mieszkania Julji.

Zawiła żałował, że nie słyszał ich wy-

razów, ale naturalnie musieli mówić bardzo cicho.

Nareszcie usłyszał poruszenie krzesełka i kroki zmierzającego ku drzwiom Henryka. Odskoczył od nich szybko i za chwilę Henryk przechodził znów koło niego, nie domyślając się jego bytności w sionce.

Dopiero na drugi dzień, jak wiemy, dowiedział się z ust Zawiły, że ta schadzka była mu wiadomą.

Rozmyślania dziewicy.

Wanda została na ławce po odejściu Zawiły i długo nie mogła się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, jakie rozmowa z kuzynem w niéj sprawiła. Gniewało ją i niepokoiło to, czego się dowiedziała. Niespodzianie zjawił się jakiś człowiek i stał się panem jéj tajemnicy... Odtąd nie będzie mogła czuć się wolną i każdéj chwili może się obawiać zdrady i wynikających z tego następstw. Położenie jéj było dotychczas dosyć niebezpieczne, ale teraz stało się niemal groźne...

A potém — jakież to upokorzenie ją spotkało, czuć się zależną od kogoś i to

jeszcze w podobnéj sprawie? Co mogło być nieszlachetnego, nieczystego lub fałszywego w jéj postępowaniu, to miało być wyraźném i jasném dla czyichś oczu... Ten człowiek mógł ją kontrolować, sądzić, czuć dla niéj lekceważenie lub pogardę... Duma Wandy wystawioną była na ciężką bardzo próbę. Ujrzała, że musi odtąd oszczędzać tego człowieka, okazywać mu przyjaźń, a może rumienić się i usprawiedliwiać przed nim.

A któż to był ten człowiek? Awanturnik, nicość moralna, istota bez wartości, na którą mogła była, gdyby nie ten wypadek, spoglądać jak na płaz u jéj stóp się wijący, nie znać go i nie widzieć.

Jakim sposobem jednak mógł on przyjść do tych wiadomości? Wanda była pewna, że w całym zamku nikt o jéj schadzkach nie wiedział. Gdyby tak było, byłaby to dotychczas zmiarkowała. Nikt także zapewne nie byłby chciał dzielić się swojemi wiadomościami z Zawiłą, który był dla wszystkich miejscowych obcym i obojętnym. Musi on przeto być człowiekiem bardzo zręcznym i przebiegłym, a nadto musi mieć w téj sprawie jakiś interes, jeżeli dla niéj nie wahał

się czynić zabiegi i starania. Nie prosta tylko ciekawość mogła nim powodować, ale jakieś wyrachowanie.

Wanda gniewała się na Henryka, że tak łatwo przyznał się do wszystkiego. Z ironicznym uśmiechem na ustach mówiła do siebie, że po jego charakterze słabym, po jego wielkiém niedoświadczeniu niczego jednak innego spodziewać się nie było można. Jego przyznanie się utrudniło, uczyniło nawet niemożebném zaparcie się z jéj strony.

— Na tak wątłéj trzcinie jak on, — mówiła daléj do siebie, — opieram moją przyszłość. Jeżeli jabym nie miała więcéj od niego siły, mój los byłby bardzo niepewny i smutny.

I stanęło jéj przed oczami całe jéj położenie, a równocześnie także i ta myśl, że niespodziane w mięszanie się w tę sprawę Zawiły nie jest może wypadkiem tak niekorzystnym i niebezpiecznym, jak jéj się zrazu wydawało. Potrzebowała czyjéjś pomocy, a u niego mogła ją znaleźć, jeżliby szczerze chciał stanąć po jéj stronie. Postanowiła więc w téj chwili na serjo i szczerze ująć go i przywiązać do swéj sprawy, czego zresztą Zawiła zdawał się pragnąć.

W istocie gra, w jaką się Wanda wdała, była hazardowną. Od lekkomyślności mogło ją uwolnić jednak to, że nie rzuciła się do niéj sama, ale rzuconą była przez okoliczności. Równocześnie przyjmowała miłość ojca i syna, i dążyła do tego, aby zostać żoną jednego z nich... Wypadki jednak mogły tak się pokrzyżować, żeby do swego celu nie doszła, i obu zarazem utraciła. Niechajby stary hrabia dowiedział się o jéj dwulicowéj polityce i niechajby synowi zabrakło odwagi i chęci oprzeć się jego woli, a wszystko byłoby stracone.

To téż Wanda obawiała się dwóch szczególnie rzeczy: nieugiętego charakteru hrabiego i słabości Henryka. Pomiędzy temi dwoma sprzecznościami zachować równowagę i pokonać obie, nie było łatwém zadaniem, i potrzeba było wiele zimnéj kwi, wiele śmiałości, aby z pośrodka nich wyjść zwycięzko.

Wanda ufała sobie wiele, ale nie była ślepą na trudności. Posiadała więc ten przymiot dobrego wodza, który,najwięcéj zapewnia zwycięztwo. Ale od czegóż także ślepy los i nieprzewidziane wypadki? W grze tak niebezpiecznéj nic stanowczo naprzód obliczyć się nie da.

Jak zwykle osoby z charakterem niezależnym i dumnym, Wanda o ile mniéj przypisywała mocy wpływowi innych ludzi na swój los, o tyle więcéj wierzyła w swoję dobrą gwiazdę i przeznaczenie. Do pewnego stopnia była fatalistką, i miała jakieś głuche przeczucie, że opatrzność szczególnie nią się zajmuje i do jakiegoś niezwykłego kresu doprowadzi. Ta wiara rozbudziła się w niéj mianowicie w téj chwili, kiedy niespodzianie dostała się do zamku Belmont, i kiedy jéj los tak nagłéj i korzystnéj doznał zmiany.

— Miałożby to być napróżno? — zapytywała się Wanda saméj siebie. — Marzyłam nieraz o większym świecie... a oto teraz ten świat roztwiera się dla mnie. Ale na tém nie może się jeszcze zakończyć....

I widziała w dalekiéj perspektywie przyszłość piękną, czarującą i błogą....

Przyjęta przez mieszkańców zaraz od samego początku uprzejmie i po przyjacielsku, policzona prawie do grona rodziny, Wanda uczuła w sobie mimowolne pragnienie okazania im za to swojéj wdzięczności i zdobycia sobie ich serca. Udało jéj się to jak najzupełniéj, i nie mogło być inaczéj, przy tylu przymio-

tach, jakie natura jéj ciału i duszy udzieliła. Nie długo Wanda spostrzegła, że udało jéj się więcej — niżeli zamyślała...

Po kilku miesiącach swojéj bytności na zamku spostrzegła, że stary hrabia nie tylko jest dla niéj uprzejmym i łaskawym, jako dla swéj kuzynki, ale że zajął się nią jako kobietą. Uczucia hrabiego zdradzały się niechcący, w pewnych tylko chwilach, ale tak silnemi oznakami, że Wanda mogła tym więcéj wierzyć w ich prawdziwość i trwałość. Udała jednakże, że ich nie widzi i nie rozumie. Hrabia oświadczył jéj nareszcie dosyć wyraźnie swoje zamiary, a ona nawzajem dała mu do poznania, że się zgadza z jego chęciami, i miłość jego przyjmuje.

Pewne porozumienie istniało już pomiędzy niemi, kiedy Wanda zrobiła drugie jeszcze odkrycie, że Henryk namiętnie ją kocha. Od pierwszéj chwili poznania, od pierwszego prawie wejrzenia, Henryk uczuł dla niéj gwałtowną miłość. Wanda natrafiła na czas, w którym dusza młodzieńca znajdowała się w okresie podobnym do pękającego kwiatu..... Promienie z ócz pięknéj dziewi-

cy padły na nią, a ona roztwarła swoje łono i buchnął z niéj płomień pierwszéj w życiu miłości. Henryk jednak długo z nią się ukrywał, taił ją w sobie i tłumił...

Jakiś dziewiczy wstyd, właściwy prawdziwemu uczuciu w młodocianym wieku nie pozwalał mu jéj wyjawić, a z drugiéj strony także i pewna obawa. Wanda nie dała mu niczem do poznania, żeby oprócz rodzinnéj przyjaźni czuła więcéj coś dla niego — owszem względem jego osoby była obojętniejszą, mniéj poufałą niż względem innych i pamiętała zawsze o téj granicy, jaką świat stawia między młodym mężczyzną a kobietą.— Ta chłodna a nawpół dumna postawa Wandy przyprowadzała biednego Henryka do rozpaczy; widział, że kocha bez wzajemności i nadziei, aby kiedy mógł być pokochanym i ten ogień wewnętrzny, który zrazu rozgrzewał i oświecał jego duszę, zaczął ją niedługo palić i trawić....

Wanda widząc go w tym stanie, zrozumiała co się z nim dzieje, a Henryk niedługo spostrzegł z wielkiem swojem zadziwieniem, że jego przeczucia i domysły były błędne. Przekonał się bo-

wiem nagle, że pod powierzchowną obojętnością Wandy mogło się ukrywać gorące dla niego uczucie. Radość jego nie miała granic, czuł się upojony szałem, kiedy pewnego razu zdarzyła mu się niespodzianie sposobność i przyszła mu odwaga wyjawienia swych uczuć Wandzie, które ona spokojnie wprawdzie ale ze słodkim uśmiechem i tkliwym wzrokiem przyjęła.

Henryk błogosławił tę szczęśliwą godzinę, a powinien był raczéj błogosławić przezorność i zręczność Wandy.

Ani ojca ani syna ona nie kochała. — Czy nie zdolną była kochać, czy kochała już kogo innego, o tem ona sama mogła tylko wiedzieć. Ślub czy z jednym czy z drugim dawał jéj tytuł, znaczenie i ogromny majątek — wszystko, co potrzeba aby błyszczeć i nad innymi górować. Którego z nich dwóch miała zostać żoną, to mniéj więcéj było jéj obojętne. Wolałaby jednak była Henryka. Hrabia wydawał jéj się surowym i groźnym, pomimo jego dobroci i łaskawości dla wszystkich, a oprócz tego nie dowierzała sobie, aby mogła nagiąć go tak jak chciała i uczynić powolnem w swoich rękach narzędziem. Henryk był w niéj zaślepio-

ny, posłuszny każdemu jéj skinieniu, i zapewne zostałby takim zawsze.

Hrabia jednak był znowu pewniejszym. Nie było jednak najmniejszéj wątpliwości, że gdyby tylko Wanda słówko wyrzekła, dzień ślubu zostałby wyznaczony, podczas kiedy młodość Henryka kazała się obawiać zmienności, a jego miękki charakter nie dawał dostatecznéj rękojmi, że potrafi wbrew woli ojca doprowadzić do skutku swoje zamiary i rozpocząć walkę, która była bardzo prawdopodobną.

Trzymała więc obu zarówno pod urokiem swych wdzięków i okazywanego im uczucia. Wobec hrabiego była skromną, potulną i okazywała mu jeśli nie gorącą miłość, to głębokie i szczere przywiązanie. Na Henryka wiedziała, że trzeba działać innemi środkami. Gwałtowne wybuchy serca i pełne uroku schadzki, miały trzymać go w nieprzestannem upojeniu i działać na jego namiętość. W tym celu Wanda nie wahała nawet narażać się na pewne niebezpieczeństwo i widywała się sam na sam z młodzieńcem — choć to mogło ściągnąć na nich oko ludzkie...

Także ta groźba, że stary hrabia może ją zmusić do małżeństwa, że ona może

przystać na nie choćby dla zapewnienia sobie losu, należała do środków, któremi podniecała i rozdrażniała serce Henryka.

Młodość jednak i natura mają swoje prawa, których najchłodniejszy rachunek stłumić nie zdoła. To pew a, że Wanda mogłaby była rok cały nie widzieć Henryka i ani razu o nim nie zamarzyć, za nim nie zatęsknić, a przecież te sam na sam nie były i dla niéj bez powabu. — Kiedy młodzieniec przyciskał jéj rękę do piersi i obsypywał ją pocałunkami, kiedy patrzył z zachwytem w jéj oczy, albo namiętnemi słowy do niéj się odzywał, Wanda pochylała głowę na jego ramię, odpowiadała na uściski, przytulała się do niego i w téj chwili zapominała o swoich planach i o przyszłości, którą musiała sobie wywalczyć.

Henryk odchodził — a Wanda wracała prędko do przytomności; potrząsała nieraz głową, jakby chciała się pozbyć marzeń, które na chwilę się tam wkradły, nieraz ironicznie rozśmiała się sama z siebie i zaczęła znów trzeźwo na wszystko patrzeć i z zimną krwią obliczać.

IIgo września.

Hrabia przez cały dzień zwykle nie wiele się pokazywał. Najwięcéj siedział w swoim pokoju, zajęty interesami gospodarskiemi albo czytaniem, któremu codzień parę godzin poświęcał. Czasami tylko wyjeżdżał z zamku lub wychodził, w miarę odległości, do jednéj ze wsi należących do klucza Ostrowieckiego, aby zwiedzić szkółki lub szpitale, odwiedzić znajomych sobie wieśniaków w czasie choroby, albo też będąc zaproszony uczestniczyć przy chrzcinach, weselu lub pogrzebie. Niekiedy także się zdarzało, szczególnie w późnéj jesieni, że pieszo, sam jeden wychodził na pola lub do lasu i przez kilka godzin błądził tam bez celu zajęty tylko swojemi myślami. Powracał zwykle spokojniejszy, ale przytém jakiś smętny i melancholijny.

Dzieci i domownicy widzieli go tylko dwa razy dziennie, w czasie obiadu i wieczór. O pewnych godzinach, jak najpunktualniéj i najregularniéj schodził wtedy na dół ze swego mieszkania w narożnéj baszcie.

W kilka dni po opowiedzianych powy-

żéj wypadkach całe domowe towarzystwo, do którego należał także Zawiła i doktor zebrało się w salonie na dole, oczekując chwili kiedy stary marszałek dworu otworzy wielkie drzwi od sali jadalnéj i dobitnym głosem zawoła:

— Obiad już na stole!

Hrabia jak zwykle o téj porze, kiedy schodził się z rodziną był w dobrym humorze i bardzo ożywiony. Rozmawiał dużo z Julją i z Wandą, wypytywał je o książki, jakie czytały, o zdrowie staréj Małgorzaty, którą bardzo szanował, i krytykował surowo Korynnę pani Stael, zarzucając bohaterce wielką nienaturalność. Wtenczas przyniesiono Wandzie jakąś paczkę z poczty, z odebrania któréj należało dać pokwitowanie. Wanda pobiegła do stolika, umaczała pióro, chciała podpisać, ale nagle się zatrzymała:

— Którego mamy dzisiaj? zapytała obecnych podnosząc głowę.

— Jedenastego września — odezwał się Henryk. Wanda podpisała prędko i oddała pokwitowanie.

— Jedenastego września — powtórzył hrabia jakby mimowolnie ponurym głosem i głowa opadła mu na piersi pod ciężarem jakiéjś przykrej myśli. Tak, dziś

jedenasty września.... pierwszy raz zapomniałem o tym dniu....

Reszta obecnych zgromadziła się koło Wandy, która pokazywała im przysłane rzeczy, tak że téj nagłéj zmiany w usposobieniu hrabiego nie spostrzeżono.

Podczas obiadu humor hrabiego się nie poprawił. Był zamyślony i roztargniony pomimo tego, że starał się odegnać od siebie smucące go myśli. Swoboda umysłu wróciła mu dopiero, kiedy towarzystwo przeszło znowu do salonu, gdzie zwykle jakiś czas po obiedzie spędzano na poufałéj pogadance.

Długo milczał jeszcze i teraz, ale czoło miał pogodne, a na twarzy i w oczach widać było jakieś rozrzewnienie. Całemi minutami wpatrywał się to w Henryka, to w Julję, a widok téj ostatniéj szczególnie zdawał go się napawać radością. Nareszcie przywołał ich i kazał im obojgu usiąść po obu stronach siebie. Wziął Henryka za rękę, przytulił do siebie Julję i drugą swoję rękę położył jéj na głowie.

— Jakże jestem szczęśliwy z was moje dzieci — odezwał się roztkliwionym głosem — wy mię kochacie, nieprawda? tak jak ja was kocham... Tak długo oprócz

was nie miałem nikogo więcéj na świecie... wyście były jedyną pociechą dla mojego serca... ono dotychczas byłoby wyschło, gdyby go wasza miłość nie była odżywiała... Dotąd nigdy nie miałem powodu na was się uskarżać — za moją wielką miłość odpłacałyście mi miłością. Niechaj zawsze tak pozostanie... Bóg rozkazuje dzieciom, ażeby kochały i czciły rodziców, i wasze serce toż samo wam powinno rozkazywać... Ta miłość wasza mnie się należy... pamiętajcie o tém moje dzieci...

I wyprostowawszy się całém ciałem, spojrzał surowo i poważnym głosem dodał:

— Inaczéj Bóg by was ukarał, a jabym was znać nie chciał.

Julja ściskała ojca za szyję, całowała go po twarzy, po piersiach i z cichém łkaniem powtarzała co chwila:

— Mój drogi ojcze, jak ty jesteś dobry... mój drogi ojcze jak my cię kochamy!

Henryk zwiesił głowę, i twarz jego więcéj jeszcze niż zwykle pobladła. Ani raz nie spojrzał na ojca i jakby unikał jego wzroku, utopił oczy w marmurowéj posadzce.

O kilka kroków za nimi Wanda siedziała przy stoliku przerzucając ryciny. Gdy hrabia zaczął mówić, przerwała swoje zatrudnienie i ciekawie ale z widoczném niezadowolnieniem, z marsem na czole słuchała jego mowy.

Po chwili hrabia zwrócił się do Henryka:

— Ręka ci drży Henryku... poczciwy mój synu, wiem że ty masz szlachetne serce. Zawsze było mojém staraniem, ażeby zrobić z ciebie człowieka i obywatela. Posuwałem się tak daleko w moich marzeniach o twojém wychowaniu i o twéj przyszłości, żem pragnął widzieć w tobie ideał doskonałości pod każdym względem... pragnąłem, ażebyś był lepszy od swego ojca i to czego mnie nie dostawało, chciałem wlać w ciebie, a to co w sobie złego uczuwałem, chciałem w tobie wykorzenić lub nie dopuścić, aby się do ciebie dostało. Pracowałem sam nad twojém wychowaniem, sam cię uczyłem tego com umiał i dla twojéj nauki kształciłem się sam daléj... wszystkiemi twemi krokami od dzieciństwa sam kierowałem, na ludzkie oko nigdy się nie spuszczając... Otrzymałem téż za to nagrodę w tém błogiém przekonaniu, żem

wypełnił sumiennie swój obowiązek, i w tych wspomnieniach, które mi o pierwszéj twojéj młodości pozostały. Ile razy przyjdą mi na myśl, czuję prawdziwe szczęście i rozkosz. I ty Henryku zapewne je sobie przypominasz, musisz pamiętać te czasy, kiedy z książką w ręku siedziałeś obok ojca i z dziecinną ciekawością wlepiwszy w niego oczy, słuchałeś co ci mówił o Bogu, o ludziach i o świecie...

Z piersi Henryka wydobyło się stłumione westchnienie, jakby w piersiach uczuwał jakąś boleść.

Hrabia mówił daléj:

— Dzień dzisiejszy wam się należał moje dzieci. Powinienem był dzisiaj nacieszyć się z wami, uściskać was i pobłogosławić... bo to dzisiaj jest dzień waszéj matki, która od lat kilkunastu spoczywa w grobie.

Powiedziawszy to powstał, a Julja i Henryk także się z kanapy podnieśli. Hrabia jakąś chwilę stał w pośrodku nich nic nie mówiąc, Julja patrzyła w niego z czułością i z załzawionemi oczami, a Henryk jak przedtém w ziemię.

Hrabia zrobił kilka kroków naprzód i zwracając się do całego towarzystwa, rzekł:

— Dzisiaj wieczór już mię nie oczekujcie, nie przyjdę do was.

Po tych słowach z lekkiém skinieniem głowy wyszedł z salonu powolnym krokiem i wśród ogólnéj ciszy.

Na wszystkich zgromadzonych scena ta zrobiła jakieś niewytłómaczone wrażenie. Wanda była nią bardzo nieprzyjemnie dotknięta. Zdawało się, jak gdyby hrabia zupełnie o niéj zapomniał, i czuła że dzisiaj została usunięta ze swego miejsca w jego sercu.

Zaledwie drzwi za hrabim się zamknęły, Henryk podniósł głowę, zwrócił oczy w tamtę stronę, i wybuchając głośnym płaczem zawołał:

— O mój ojcze, mój ojcze!... — poczém nie mówiąc ani słowa do obecnych, wybiegł prędko z salonu drugiemi drzwiami.

— Mój Boże, co mu się stało! — zawołała Julja z wyrazem przerażenia.

— Panie doktorze — rzekła Wanda — bądź pan łaskaw zobaczyć, czy pan Henryk nie zasłabł.

Doktór skłonił się i wyszedł.

— Pójdę do niego — odezwała się Julja — muszę się dowiedzieć co to jest... Nigdym go jeszcze w takim stanie nie

widziała... Biedny Henryk!... — i pobiegła za doktorem.

Zawiła, zostawszy sam tylko z Wandą w salonie, odezwał się do niéj tonem poufałym:

— Czy wiesz co kuzynko o nieboszce żonie hrabiego?

— Oprócz tego, że była piękną i nadzwyczaj pobożną, nic więcéj nie słyszałam.

— A o jéj śmierci?...

— Nigdy z nikim o tém nie mówiłam...

— Miała to być jakaś tragiczna historja. Hrabina umarła nagle, w dwóch czy trzech dniach. Wikary i doktór mówili mi o tém...

— Cóż było powodem jéj śmierci?

— O tém nikt nie wie. Wikary jeszcze wtenczas był w seminarjum, a doktór właśnie w tym czasie jeździł do Odessy za interesami.

W téj chwili powrócił doktór i oświadczył, że Henryk jak najmocniéj go upewnił, jako mu nic nie brakuje, poczém dodał:

— Panna Julja została jeszcze u niego, na taką chorobę nie potrzeba lepszego lekarza. Widać jakieś lekkie wzruszenie... to wkrótce przejdzie.

Brat i siostra.

Kiedy Henryk odprawił doktora, bardzo nie kontent z jego troskliwości, i rzucił się znowu na sofę, kryjąc głowę w dłoniach, Julja przystąpiła do niego.

— Co tobie jest, Henryku? — zapytała głosem drżącym nawpół z obawy a nawpół z nieśmiałości, bo lękała się być natrętną, widząc że Henryk niechętnie przyjmował pytania.

Henryk milczał. Wzięła go za rękę, któréj nie bronił.

— Nic mi nie odpowiadasz?... To ja się pytam, ja twoja siostra Julja, którą tak kochasz i która ciebie kocha nad życie...

Zdawał się nie słyszeć jéj prośby pieszczotliwéj i pogrążonym być całkiem w swoich myślach. Julja widziała, jak jego pierś podnosiła się to znów opadała. Nareszcie wybuchnął tłumioném długo łkaniem, i odezwał się jakby sam do siebie:

— Mój ojcze, mój ojcze, i dlaczegóż muszę być tak niewdzięczny?..

Julja nie zrozumiała tych słów.

— Ty Henryku?... co ty mówisz?...

jakiż powód mógłby mieć ojciec uskarżać się na ciebie?

Henryk odgarnął włosy spadające mu na czoło i patrzał na Julję z rozrzewnieniem.

— Jaką ty jesteś dobrą Julciu... dobrą dla mnie i dla wszystkich... ty nie pojmujesz, że można źle robić na świecie i cierpieć za to...

— Nie wiem, o czém mówisz, ale widzę że cierpisz nad czémś... powiedz mi wszystko... to ci sprawi ulgę, to ci lepiéj zrobi...

I usiadła przy nim na sofie, jakby gotując się do wysłuchania jego wyznań.

— Gdybym ci mógł wszystko powiedzieć!.. — rzekł Henryk, który w istocie czuł potrzebę wyspowiadania się przed kimś.

— Powiedz mi wszystko, wszystko co ci ciąży na sercu.

— Ten ciężar długo mnie już gniecie, a nie wie, o nim nikt... nikt oprócz jednéj osoby, która zapewne równo ze mną go czuje. Słuchaj Julciu... Ale przyrzeknij mi wprzódy, że nie powiesz o tém nikomu... rozumiesz mię nikomu...

— Przyrzekam ci, nie powiem nikomu.

— Czuję, że zawiniłem przeciwko ojcu, a wiem że poprawić się nie będę

miał siły... nie, nie, to już tak pozostać musi, chyba gdybym umarł...

Julja zatrwożyła się ogromnie.

— Cóż ty takiego mogłeś uczynić Henryku? — zapytała ze zdziwieniem.

— Kocham Wandę — odpowiedział spuszczając głowę na piersi — kocham ją namiętnie, całą siłą mego serca...

Julja i teraz jeszcze nic nie rozumiała. Nie pojmowała, jakim sposobem ta miłość mogłaby być wykroczeniem przeciw ojcu. Ale usłyszała rzecz niespodzianą, i która widocznie ją zasmuciła.

— Kochasz Wandę?.. — rzekła jakby dobrze niedosłyszała i pragnęła usłyszeć zaprzeczenie, a kiedy Henryk tego nie dawał, dodała:

— To nieszczęście dla ciebie...

— Masz słuszność, wielkie nieszczęście — odpowiedział Henryk, który jéj prawdziwéj myśli nie zrozumiał — ale inaczéj być nie może... już zapóźno... mojego uczucia nie zwalczę...

— Nie będziesz się gniewał Henryku za to, co ci powiem?..

— Jak możesz mię tak pytać... znam nadto twoje dobre serce...

— I uwierzysz temu, co ci powiem?...

uwierzysz, że to płynie ze szczerego serca...

— Mów wszystko co myślisz.

— Wanda ciebie nie kocha...

Henryk uśmiechnął się gorzko.

— Mylisz się — rzekł.

— Nie, mój bracie, ja się nie mylę.

— Zkąd możesz to wiedzieć?

— Ja tego nie wiem, ale ja to czuję. Moje serce powiada mi, że Wanda ciebie nie kocha. Śmiej się ze mnie, gdy chcesz, ale ja więcéj wierzę mojemu przeczuciu niż twojemu przekonaniu. Wanda ma wiele dobrych przymiotów, jest piękna, ma dużo rozumu i szlachetności, może uszczęśliwić innego człowieka, ale nie ciebie. Twoja duma potrzebuje głębokiego, mocnego uczucia, potrzebuje serca, któreby się całe tobie oddało...

— A w Wandzie tego nie widzisz?..

— Nie. Powiem ci otwarcie, mnie się zdaje, że ona ma bardzo mało serca...

— Surowo i niesprawiedliwie ją sądzisz... nie znasz jéj dobrze... Ale dajmy temu pokój... przekonać mię nie potrafisz.

Julja pochyliła się ku niemu, pocałowała go w czoło, i cicho jakby sama do siebie wyrzekła:

— Biedny Henryku!..

Nastała chwila milczenia. Julja oparła swoją piękną główkę na ręce i zdawała się nad czémś rozmyślać. Obróciła się potém do brata i zapytała go głosem, który widocznie pokazywał, jak dalece niepojętém było dla niéj to, o co pytała.

— Ale powiedz mi mój kochany, w jaki sposób przez swoją miłość mogłeś bazawinić przeciw ojcu? On Wandę bardzo lubi i poważa, nie ma także żadnych uprzedzeń kastowych, i waszemu związkowi pewnieby się nie opierał.

— Kochając Wandę popełniam występek względem jego osoby — rzekł Henryk pewnym ale suchym głosem.

Julja wpatrzyła się w niego z ciekawością i przestrachem.

Henryk powstał i zrobił kilka kroków po pokoju, potém stanął przed Julją i załamawszy ręce rzekł do niéj z jakąś rozpaczliwą tkliwością:

— Biedne ty jesteś dziecko, że dowiadywać się musisz o rzeczach, które innych trują i odbierają im spokój... Czy wcześniéj czy późniéj musiałabyś się o tém dowiedzieć... Lepiéj że dowiesz się z moich ust, odemnie, który nad tém dwojako cierpię... Przypisz to jakiéjś fa-

talności, jakiemuś czarodziejskiemu urokowi, jaki ta kobieta wywiera, bo inaczéj może tego nie zrozumiesz... Ojciec nasz kocha Wandę... chce się z nią żenić...

Julja zbladła jak ściana, schwyciła Henryka za rękę i powstawszy nagle zawołała z boleścią:

— To być nie może!

Wzruszenie, jakiego doznała, kosztowało ją wiele, bo w téjże chwili opadła bezsilna na sofę i zakryła twarz rękami.

— Rozumiesz teraz, dlaczego ja cierpię — rzekł Henryk. Ale Julja nie słyszała go zapewne, i łkając powtarzała po kilka razy:

— Ojciec kocha ją?... ją?... Nie, to być nie może... to być nie może!...

Julja.

Dzień ten stanowił epokę w życiu Julji. Tego dnia poznała cierpienie.

Lat siedmnaście życia upłynęło jéj w niezamąconym pokoju. Cóż jéj mogło dolegać? Kochali ją wszyscy, i ona kochała wszystkich, nietylko ojca, brata i rodzinę dalszą, ale wszystkich domowników i znajomych, wszystkich mieszkańców mia-

steczka i kilkunastu wsi do ojca należących wraz z ich synami i córkami piastowanemi jeszcze na ręku. Dla wszystkich była tak dobrą, i miała dla każdego tyle współczucia. Wszyscy téż okazywali jéj za to swą wdzięczność i przywiązanie, i podobnie jak ona musieli mieć dla niéj wiele uczucia i same dobre życzenia. Julja kochała daléj i tych wszystkich, których nie znała, ale o których słyszała z rozmowy lub wieści, wreszcie wszystkich o których wiedziała, że żyją na świecie. Jednémm słowem kochała świat cały.

I musiała go kochać! Wszakże ten świat tak piękny, a ludzie na nim tacy dobrzy.... i tak wielu pomiędzy nimi nieszczęśliwych.

Więc w duszy Julji było tak błogo, tak słodko i tak cicho! Téj ciszy nic nie przerywało. Żadne pragnienia — bo czegóż miała pragnąć, kiedy jéj serce było zawsze zadowolnione?... żadne nadzieje — bo dla czegóż miała sięgać okiem w przyszłość, kiedy w obecności było tak dobrze? Żeby mogło jeszcze być coś lepszego, o tém nie miała pojęcia; żeby istniało coś złego na świecie, o tém nie miała przeczucia.

Tak jak żyła teraz, Julja pragnęła i spodziewała się żyć zawsze. Wieczna pogoda panowała w jéj duszy, któréj nigdy nie pokrywały chmury złych myśli albo obawy. Żadna troska, żadna namiętność nie wyrwała jéj jeszcze z tego na w pół sennego stanu, w jakim młodość żyje nawet i na jawie. Połową swojéj duszy Julja była jeszcze w świecie zaziemskim....

Ten stan wewnętrzny odbijał się także na jéj całéj powierzchowności. Twarz Julji miała wyraz jakiejś słodkiéj melancholji, a jéj wielkie niebieskie oczy wydawały się jakby osłonięte mgłą marzenia. Jéj postać wiotka, delikatna zaledwie dotykała się ziemi, przesuwała się po niéj tak lekko, jakby Julja przy swych białych, misternie utoczonych ramionach miała jeszcze skrzydła gotowe unieść ją do nieba.

Zdarzało jéj się bardzo często, że się zamyślała. O czém?... tego przy najlepszéj chęci Julja najczęściéj ani powiedzieć nikomu, ani sama wiedzieć nie mogła. Mgliste jakieś obrazy, a utopione, jakby w światłości słonecznéj, przepływały wtenczas po jéj głowie jedne po drugich jak fale, szybko ale spokojnie postępujące. Czasem jéj się zdawało, że odróżnia w

tych widmach długie, powiewne i śnieżne szaty aniołów, czasem znów przybierały one na siebie kształty wielkich róż, barwy mieniącéj, wpadającéj raz w kolor złota, to znowu błyszczących się jak djamenty. Niekiedy także widziała w tych marzeniach ducha nieboszczki swojéj matki, która uśmiechała się do niéj słodko i podnosiła nad nią obie ręce jakby z błogosławieństwem.

Cudownie wyglądała Julja, kiedy w podobném zamyśleniu się pochyliła na piersi swoją główkę ze złocistemi lokami, a jéj długa szyja przegięła się jak lilja...

Dwa były najgłówniejsze przedmioty jéj miłości na ziemi: jéj ojciec i brat. Niczego nie pragnęła goręcéj, jak widzieć Henryka najszczęśliwszym w świecie, i z niejaką dumą czuła to zawsze, że brat jéj na to w istocie zasługuje. Widziała w nim same dobre przymioty i jakąś wyższość moralną, która go odróżniała od wszystkich znanych jéj młodych mężczyzn. Wierzyła w to mocno, że przyszłość Henryka musi być świetną, że jego zdolności zrobią go człowiekiem użytecznym dla świata, znakomitym a może sławnym. Lubiła marzyć o téj jego przyszłości i sprawiało jéj to wielką roskosz, jak jedne po

drugich roztaczała koleje jego życia w swojéj wyobraźni, rozumie się jedne od drugich czarowniejsze i świetniejsze.

Na pierwszym planie tych marzeń stała przyszła żona Henryka. Julja rozważała, jaką ona być powinna, aby była godne brata i mogła go uszczęśliwić, i zawszą przychodziła do tego rezultatu, że to powinna być kobieta z anielskiém sercem i nieograniczoną czułością, słowem taka, jaką była ich matka, o któréj tyle dobrego słyszała od ludzi.

Nie zdając sobie z tego sprawy, Julja w téj troskliwości o przyszłość brata i w marzeniu o niéj zastępowała miejsce matki, któréj już dawno nie miał.

Ojca Julja nie kochała — bo ten wyraz byłby tu za słaby i nie odpowiadał rzeczy — ona go ubóstwiała. Jego osoba wzbudzała w niéj najgłębszą cześć i uszanowanie. Był on wyższy dla niéj nad wszystko, co istnieje na świecie; był wzorem cnót i mądrości, doskonałością najwyższą, do jakiéj człowiek tylko dojść może. Nie widziała w nim żadnéj, najmniejszéj nawet słabéj strony; wszystko, co on uczynił, było dobrém i sprawiedliwém; wszystko, co powiedział, było rozumném i szlachetném. Julja podziwiała

go i wielbiła; jéj poufałość dziecięca, z jaką się do niego zbliżała i mówiła, miała w sobie coś takiego, co pokazywało, że byłaby chciała, ażeby on raczéj wymagał od niéj hołdu i pozwalał go sobie składać. Mimo to nie czuła nigdy grozy przed ojcem. Owszem, była śmiałą, otwartą i szczerą wobec niego, a ojciec był w jéj oczach uosobistnioną miłością.

Ponad temi dwoma osobami unosił się w jéj sercu cień jéj matki.... Nie znała jéj i nie pamiętała, bo matka odumarła ją małém dziecięciem. Nie widziała nigdy jéj rysów, bo w całym zamku nie było nigdzie jéj portretu. Dlaczego? to pytanie nie przyszło Julji nigdy na myśl, choć widziała tyle innych obrazów swoich przodków pozawieszanych po ścianach. Bardzo mało także słyszała o niéj. Ojciec, ile razy o niéj mówił, a to bardzo rzadko się zdarzało, nie zapuszczał się nigdy w żadne szczegóły; chwalił jéj dobroć, mówił, że nie była szczęśliwą, polecał ją wspomnieniu dzieci — i na tém koniec. Henryk pamiętał matkę jak przez mgłę, a podczas jéj nagłej śmierci nie był w zamku; przypominał sobie tylko, że była zupełnie zdrową, kiedy ostatni raz, kilka dni przed śmiercią pocałowała go w usta.

Najwięcéj i najobszerniéj rozmawiała Julja o matce ze starą Małgorzatą. Poczciwa piastunka lubiła opowiadać o swéj pani; te wspomnienia napełniały łzami jéj oczy. Ona więc opisywała Julii, jak jéj matka wyglądała; mówiła, że była bardzo piękną i dodawała przytém, że Julja jest do niéj podobną, lubo z tą uwagą, że matka była piękniejsza i że tego Julja do głowy sobie przybierać nie powinna. Uwaga zresztą zupełnie zbyteczna, bo Julja nie była ani na żart próżną, ani zalotną. Na opisanie jéj dobroci i łagodności, stara Małgorzata nie miała dosyć słów:

— Był to anioł w ludzkiém ciele — kończyła zwykle swoje opowiadania — i Bóg ją téż zabrał prędko do siebie.

Poczém Małgorzata wzdychała głęboko, spoglądała w niebo, jakby wiedziała jeszcze coś więcéj, ale powiedzieć nie chciała i nie mogła.

— Proś ducha swojéj matki — mówiła także nieraz do Julji — aby ci wyprosiła u Boga większe szczęście, niż ona go sama doznawała.

— Dlaczegóż moja mama nie była szczęśliwa? — pytała wtenczas Julja.

— Bo była nadto dobra... Ludzie do-

brzy zwykle na tym świecie są nieszczęśliwi — odpowiadała Małgorzata tą ogólną sentencją, niechcąc się wdawać w dalsze tłómaczenie.

Julja przyzwyczaiła się widzieć swoją matkę w téj mgle niewiadomości. Przestała się też i pytać o to, co w jéj życiu było dla niéj niejasnego. Tym sposobem stała się ona dla niéj jakąś istotą tajemniczą nie z tego świata i Julja w swojéj niewinności myślała nieraz o tém, że jéj matka nie żyła nigdy na ziemi.

W jednę jednak rzecz wierzyła z całą gorącością swego czułego serca, to jest w to, że ojciec kochał jéj matkę nad życie, i że pamięć jéj jest mu i do grobu drogą pozostanie. Pewna część tego uwielbienia, jakie dla niego miała, pochodziła z téj wiary w jego uczucie dla téj świętéj a nieszczęśliwéj matki.

Pomimo jéj wrodzonéj dobroci i uczuciowości była przecież w zamku jedna osoba, któréj Julja nie mogła pomieścić w swojém sercu — była to Wanda.

Przy pierwszém zaraz poznaniu uczuła w sobie jakąś nieufność ku niéj i pewien rodzaj mimowiednéj, niewytłómaczonéj obawy. Coś odpychało ją od kuzynki i

nigdy nie mogła do niéj nabrać prawdziwego przekonania. Pomimo tego, że mieszkały prawie razem, bo obok siebie, że widywały się po kilka razy każdego dnia, pozostały ze sobą prawie na tym samym stopniu, na którym były przy pierwszém ujrzeniu się jeszcze w domu Niemiryczów. Wanda z początku robiła starania, aby zjednać sobie szczerą sympatją Julji, gdy widziała, że to napróżno, zaniechała daremnych usiłowań, zwłaszcza, że i tak już dosyć zapanowała nad sercami w zamku Belmont....

Julja ze swéj strony pragnęła także usunąć tę niewidzialną przegrodę rozdzielającą ich od siebie. Czyniła sobie wyrzuty, że jest niedobrą dla kuzynki, która jako sierota na podwójną przyjaźń by zasługiwała; obwiniała się o brak serca, o nieczułość, siliła się, ażeby zmienić swe usposobienie — ale w końcu zwyciężał zawsze jakiś niezbadany wstręt i bojaźń. Uznawała wszystkie dobre przymioty Wandy, podziwiała jéj piękność i umysłowe zdolności, patrzała na nią jak na niezwyczajne zjawisko natury — ale kochać jéj nie mogła.

Być może, że ten właśnie podziw, jaki wzbudzała w niéj Wanda, był przy-

czyną, że pokochać jéj nie mogła. Julja czuła, że serce Wandy inaczéj jest utworzone niż jéj własne, inaczéj niż zwykle bywa u kobiet.... Jéj duszy pojąć nie mogła, wydawała jéj się może wyższą od innych, ale dlatego samego przerażała ją i budziła nieufność.

Po tém, cośmy tu powiedzieli, łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie na Julji uczyniły wiadomości od Henryka usłyszane. Wszystko, o czém marzyła i w co wierzyła, zostało nagłém, i jakby przez nielitościwą rękę dokonaném wstrząśnieniem zachwiane.

Julja nie mogła tego pojąć, nie wierzyła temu, ale cierpiała nad tém.

Pokój zamurowany.

Wanda z niecierpliwością oczekiwała, ażeby Zawiła i doktór, z którymi została w salonie, uwolnili ją od swego towarzystwa. Niepokoiło ją nierozważne zachowanie się Henryka i obawiała się rozmowy, jaką mógł mieć z Julją... A Julja tak długo tam bawiła! Nadto miała także zadać niektóre pytania Henrykowi.

Kiedy nareszcie Zawiła i doktór ją

pożegnali, postanowiła co prędzéj zobaczyć się z Henrykiem. W tym celu wyszła do ogrodu i przechadzała się w takiém miejscu, gdzie on mógł ją łatwo spostrzedz ze swoich okien.

Niedługo zobaczyła, iż zbliża się do niéj blady i ze spuszczonemi oczyma.

— To było bardzo niepotrzebne, co dziś zrobiłeś, — zagadnęła go serjo, — czy zawsze będziesz tak słabym?

— Daruj mi, — odrzekł Henryk cichym głosem.

— Tym sposobem daje się tylko ludziom do myślenia, zwraca się ich uwagę... Cóż Julcia u ciebie tak długo robiła?

Henryk nie odpowiadał. Wanda wpatrzyła mu się bystro w oczy.

— Powiedziałeś jéj wszystko?..

— Tak jest.

— Co za nierozsądek!... Przed całym światem się zdradzasz. Niedawno zwierzyłeś się Zawile, dziś siostrze...

— Nie mógłem się zapierać przed Zawiłą, bo wiedział o wszystkiém, lepiéj go było zjednać dla nas otwartością.... Zresztą jest twoim krewnym i dobrze ci życzy... Dzisiaj znów potrzebowałem przed kimś koniecznie się wynurzyć... nie uwie-

rzysz, jak mi było ciężko na sercu.... Julja przyrzekła, iż nikomu nic nie powie, a ja zaręczam ci za nią... Nie gniewaj się Wando...

Przez chwilę milczeli. Wanda przygryzła lekko dolną wargę, była bardzo niezadowolniona.

— Julja mnie nie lubi, nieprawda? — odezwała się wreszcie.

— Nie wierzy temu, żebyś mię kochała...

— Ah!.. — i Wanda uśmiechnęła się ironicznie. Potém nagle zwróciła rozmowę na inny przedmiot.

— Dlaczego ojciec dziś wieczór nie przyjdzie?

— Nie wiem.

— Czy to zawsze tak bywa?

— Każdego roku o tym czasie.

— Czy gdzie wyjeżdża?

— Nie.

— Siedzi przez cały wieczór u siebie?

— Nie wiem. Uważałem nieraz, że tego dnia w jego oknach było ciemno.

— Gdziez był wtenczas?

— Nie wiem.

— To jakaś tajemnica... zagadka, — rzekła Wanda i pokręciła głową. Przez chwilę zdawała się nad czémś rozmyślać.

— Kiedy będę mógł dzisiaj cię widzieć? — przerwał milczenie Henryk.

— Dzisiaj... nie będziemy się widzieć.

— Nie?... — zapytał Henryk nawpół z prośbą, nawpół z niedowierzaniem.

— Nie.

— Dlaczego?

— I tak za często się widujemy... zresztą głowa mię dziś boli... muszę się wczas położyć.

W istocie humor Wandy był tego dnia takim, że łatwo można było uwierzyć w jéj chorobę.

Po chwili dodała jakby dla wzmocnienia poprzedzających słów:

— Tak, pójdę dziś na spoczynek jak najwcześniéj... nie będę nic czytać, bo czuję, że to długie czuwanie źle oddziaływa na moje zdrowie.

Nocna lektura należała do przyzwyczajeń Wandy. Do późnéj godziny w jéj oknach widać było zawsze światło. Ta okoliczność ułatwiała jéj także, bez zwrócenia na to uwagi, przyjmowanie u siebie Henryka w téj porze, kiedy w zamku już wszyscy spali.

Rozstali się niedługo. Wanda unikała zwykle dłuższych rozmów z Henrykiem, kiedy ludzie widzieć ich mogli.

Ciekawość jéj co do nieobecności hrabiego nie została zaspokojoną. Przy pierwszém spotkaniu się z Julją, zadała jéj także podobne pytania. Julja jeszcze mniéj umiała powiedzieć niż Henryk. Nie zastanawiała się nigdy nad tém, co ojciec może porabiać tego wieczora, który corocznie w samotności przepędza.

Odpowiedzi Julji były lakoniczne, urywane i widoczną było rzeczą, że zadawała sobie przymus. Wanda bynajmniéj się tém nie obraziła, tak jak nie dziwiła się i temu, że Julja była blada, pomięszana i pod oczami miała sinośč powstałą po świeżym płaczu.

Wanda jednak miała wielki w tém interes dowiedzieć się, gdzie hrabia przebywać i co porabiać będzie tego wieczoru. W ciągu tych kilku godzin w jéj usposobieniu, a raczéj w jéj planach zaszła nagła zmiana na niekorzyść Henryka. Jego drażliwość, a przytém słabość, któréj dzisiaj dał nowe dowody, rozgniewała ją na serjo. Przyszła do tego przekonania, że przy podobném jego usposobieniu, a z drugiéj strony przy braku decyzji do stanowczego kroku, któryby jéj przyszłość zapewnił, może tylko zostać skompromitowaną i nie dojść do za-

dnego celu. Ich tajemne stosunki znane już były dwom osobom.... Jeżeliby tak daléj poszło, wkrótce mogą być wiadome każdemu. Wanda nie dowierzała przyrzeczeniu Julji; sądziła, że ta najpóźniéj za kilka dni powie o wszystkiém najprzód swojéj powiernicy Małgorzacie, a że następnie wiadomość ta dojdzie do hrabiego, o tém nie można było wątpić. Postanowiła więc jak najprędzéj skończyć z Henrykiem.

Ale z drugiéj strony dzisiejsze usposobienie hrabiego wydało jéj się niebezpieczném dla niéj. Poznała po raz pierwszy odkąd wiedziała o jego miłości, że mogą być chwile, w których jéj władza nad nim ustaje i w których hrabia innym jeszcze uczuciom może się oddawać. Dzisiaj wspomnienie żony stanęło tak niespodziewanie pomiędzy nim a nią.... wspomnienie kobiety, która już umarła przed laty kilkunastu, a jednak i dziś jeszcze mogła być rywalką... Gdyby to uczucie nagle rozbudzone rozwijało się coraz daléj i nie było tylko chwilowym wybuchem, gdyby do niego dołączyła się jeszcze miłość rodzicielska do dzieci, które hrabia kochał i tak więcéj, niżby sobie Wanda tego życzyła — kto wie,

czy te dwa uczucia, z któremi starzec zrósł się tak dawno, nie zabiłyby w nim świeżéj namiętności, która jeszcze na żadną próbę nie była wystawiona?

Wanda zrobiła więc drugie jeszcze postanowienie, ażeby hrabiego wyrwać z tych wspomnień przeszłości; zatrzeć je w nim swoją osobą, podniecić ogień jego miłości tak, ażeby dla niéj zapomniał i o zmarłéj żonie i o żyjących dzieciach.

Cały plan jak miała to zrobić, stanął wkrótce gotowy w jéj głowie. Do wykonania jego potrzebne jéj były jeszcze niektóre i to ważne objaśnienia.

Wieczorem o téj porze, kiedy zwykle mieszkańcy zamku schodzili się na kolację do dolnéj sali, Wanda sama jedna chodziła tam i napowrót po krótkiéj ścieżce między dwoma szeregami starych drzew. Nikogo więcéj z towarzystwa domowego nie było jeszcze na dole. Wanda dumała nad swoim planem i martwiła się, że nie wie jeszcze tak wiele potrzebnych jéj rzeczy.

Stary marszałek dworu ukazał się w téj chwili na terasie zamkowym. Ukończył przygotowania do kolacji i wyszedł na świeże powietrze. Usiadł na ławce kamiennéj i patrzył w niebo.

Wanda zobaczywszy go, przybiegał prędko do niego. Jeszcze starzec zapatrzony w górę nie spostrzegł jéj obecności, kiedy go zagadnęła:

— Piękny dziś mamy wieczór...

— Prawda, śliczny czas... ciepło jak w lipcu... tylko ta chmura mi się nie podoba... może być w nocy burza...

— Szkoda, że pan hrabia dziś nie wychodzi...

Marszałek zwiesił głowę i po chwili odrzekł:

— To już taki jego zwyczaj co rok...

— Mógłby przynajmniéj wyjść w tak piękny wieczór na platformę, gdzie często swoje obserwacje robi.

— Pan hrabia przeciwnie schodzi dziś o piętro niżéj...

— W baszcie?...

— W baszcie.

— Tam niema pierwszego piętra...

— Jest.

— Bez okien?

— Okna są, ale zamurowane.

— Więc ten pokój całkiem ciemny?

— Zapewne...

— Nie byliście tam nigdy?

— Od kilkunastu lat już tam nikt nie chodzi; drzwi od niego także zamurowane.

— A jakże pan hrabia tam się dostaje?...

— Ze swego pokoju na drugiém piętrze.

— Nie widziałam tam żadnych schodów. (Wandę w towarzystwie Henryka i Julji hrabia oprowadzał raz po swojém mieszkaniu).

— Muszą być — odpowiedział marszałek — ale ukryte.

— I długo pan hrabia tam siedzi?

— Nie wiem dobrze... zapewne całą noc....

— Proszę pani do stołu!

Marszałek powstał, bo we drzwiach sali ukazał się lokaj, co było znakiem, że całe towarzystwo na sali już się zebrało.

Wanda przy stole była ciągle roztargniona i mało mówiąca. Skarżyła się na ból głowy i jak zapowiedziała Henrykowi, wcześniéj niż zwykle udała się do siebie.

W godzinę potém Henryk szedł przez ogród pod jéj oknami. Spojrzał w górę, okna były ciemne.

W téj chwili po głuchéj ciszy, jaka panowała w powietrzu, zerwał się gwałtowny wicher. Echo dalekiego grzmotu się odezwało i nagle deszcz lunął jak z cebra.

Noc ma swoje prawa.

Wanda nie poszła jednakowoż spać.

Wkrótce po przybyciu do swego pokoju zgasiła świecę i owinięta w biały kaszmirowy szal usiadła na łóżku, nie myśląc bynajmniéj się rozbierać. W ręku trzymała klucz sporych rozmiarów.

Zastanawiała się jeszcze nad krokiem, który uczynić przedsięwzięła.

Jak bowiem łaskawy czytelnik już się zapewne domyślił, postanowiła ona nie co innego tylko udać się do zamurowanego pokoju.

Gnała ją do tego najprzód ciekawość dowiedzenia się, co hrabia może tam porabiać i jaka tajemnica może się wiązać z tą nocą corocznie przez niego w samotności i na czuwaniu przepędzaną. Drugim i ważniejszym powodem, jak już wspomnieliśmy, była chęć wyrwania go z tych wspomnień o przeszłości, które nieprzyjemnie dotykały jéj dumę i mogły stać się niebezpiecznemi. Kiedy hrabia oddany był cały myśli o umarłéj, chciała ona żywa stanąć przed nim i przypomnieć mu, że jego myśli i uczucia do niéj już teraz należeć powinny i że ten

podział serca zupełnie jéj się nie podoba. Wreszcie myślała Wanda, że w tym jéj kroku hrabia powinien był zobaczyć jeden jeszcze nowy dowód jéj miłości i przywiązania. Kiedy on odsuwał się dobrowolnie od ludzi, aby oddać się smutnym i bolesnym jakimś pamiątkom, i kiedy wszyscy prawie z obojętnością zostawiali go sobie samemu, nie pytając się o przyczynę jego cierpień i nie starając się im zaradzić, ona miała przyjść do niego, zapytać, co go boli, i przez współczucie swoje przynieść mu może ulgę....

Pomimo to Wanda obawiała się, czy hrabiego ten jéj krok nie rozgniewa. Znała bardzo dobrze jego gwałtowny i surowy charakter skłonny do uniesień i wiedziała, że nie lubił, aby go kto badał i wywiadywał się o rzeczach, o których on sam rad był zachować milczenie.

Inne względy przeważyły, i Wanda powstała z łóżka ze stałém postanowieniem iść do hrabiego.

Klucz, który trzymała w ręku, miał jéj utorować drogę. Do pokoju hrabiego w narożnéj baszcie przytykało jeszcze kilka innych. Najprzód ciemna nyża, nie zbyt obszerna, służąca mu za sypialnię, a z któréj małe ślepe drzwiczki prowa-

dziły do wielkiéj sali gotyckiéj obwieszonéj dokoła portretami antenatów, staremi zbrojami, bronią i różnemi przyborami myśliwskiemi. Za tą salą wreszcie były dwa pokoje, w których mieściła się bibljoteka hrabiego. Oprócz szaf do samego sufitu sięgających i kilku krzeseł w obu tych pokojach nic więcéj nie było.

Wanda dowiedziawszy się od marszałka, gdzie hrabia tę noc przepędzi, znalazła sposobność i czas dostać się na drugie piętro i przejść koło drzwi jego pokoju w baszcie. Przyłożyła rękę do klamki i przekonała się, że drzwi były zamknięte. To odebrało jéj nadzieję, ażeby mogła dostać się do środka. Na szczęście przypomniała sobie, że miała u siebie już od dość dawna klucz od bibljoteki, i spodziewała się, że drzwi wiodące z nyży do tego pokoju zastanie otwarte. Droga była dłuższa, ale wiodła ją do tegoż samego celu. Nie wątpiła także, iż stanąwszy w gabinecie hrabiego, potrafi odkryć tajne schody, które ją zaprowadzą na pierwsze piętro.

Było już blizko północy, kiedy Wanda wyszła ze swego pokoju. O téj porze wszyscy już w zamku spać musieli. Z największą ostrożnością przeszła przez kilka

sieni i korytarzy i dostała się na drugie piętro. Serce biło w niéj gwałtownie z obawy, aby jéj kto nie posłyszał, a więcéj jeszcze z niewytłómaczonego jakiegoś przestrachu, jaki budziła w niéj noc i jéj tajemne przedsięwzięcie. Wanda mówiła do siebie, że w tém przedsięwzięciu nie ma nic złego, że nie idzie w żadnéj złéj myśli, pomimo to przerażało ją ono, jak każdy krok, który musi się płaszczem tajemnicy okrywać.

Przestrach jéj powiększał się jeszcze tém bardziéj, że noc była bardzo ciemna, niebo bez gwiazd pokryte czarnemi chmurami, a co chwila dolatywał uszu Wandy przeraźliwy świst wiatru i głuchy plusk grubego deszczu uderzającego o ściany i dachy.

Myśląc przy świetle i w obecności ludzi o tém, co może zobaczyć w zamurowanym pokoju, Wanda nie uczuwała nic oprócz ciekawości i pragnienia, aby ją jak najprędzéj zaspokoić. Teraz sama i otoczona ciemnościami im więcéj zbliżała się do tego miejsca, tym krok jéj stawał się powolniejszy, bo coraz straszniejsze obrazy stawały przed jéj oczyma. Rozgorączkowana wyobraźnia tworzyła jéj najrozmaitsze sceny i widoki, choć była

pewna, że nic podobnego w rzeczywistości nie zobaczy.

Widziała hrabiego z groźnym, przerażającym wyrazem twarzy prowadzącego rozmowę z jakiemiś istotami nieziemskiemi bez ciał; to znów zdawało jéj się, że jest już w tajemniczym pokoju, a wszystkie te duchy biegną gromadą do niéj, otaczają ją i jak pierścieniem coraz ciaśniéj ściskają.

Słyszała także niby jakieś kroki osoby tuż za nią po korytarzach idącéj, i zdawało jéj się, że nieboszczka hrabina idzie ciągle za nią, wyciąga ku niéj bladą, chudą rękę, chcąc ją zatrzymać i szepce ciągle ostrym przenikliwym głosem:

— Poco tam idziesz?..

Wtedy Wanda zatrzymała się. Przytomność jéj powracała, i w duszy śmiała się ze swéj naiwnéj obawy i przywidzeń. Po niejakiéj chwili one znów powracały i Wanda wyrzucała sobie, że przedsięwzięła ten czyn tak nieroztropny i do niczego niepotrzebny. Byłaby chętnie się wróciła; ale zatrzymywał ją wstyd. Nie chciała rumienić się sama przed sobą, że cofnęła się od przedsięwzięcia może nie tyle z téj przyczyny, że się przekonała o tém, iż był nierozsądny, ile z jakiegoś dziecinnego przestrachu.

Szła więc coraz dalėj naprzód i stanęła przed drzwiami bibljoteki. Zamek rzadko otwierany zazgrzytał, a Wandę przeszedł dreszcz, gdy się znalazła w wielkich, pustych pokojach. Potknęła się o stołek, na środku stojący, i o mało nie krzyknęła, bo jėj się zdawało, że ją ktoś zatrzymał. Przeszła do zbrojowni i tu doznała jeszcze przykrzejszego wrażenia.... Portrety autenatów, których nie widziała w ciemności, ale o których istnieniu tam powiadała jėj pamięć i wyobraźnia, odstawały od ścian, nabierały kształtów wypukłych jakby były posągami, patrzyły na nią bystro świecącemi się oczyma i zaczynały się ruszać. Na zbrojach i broni porozwieszanėj migotały się tu i owdzie niewielkie wąskie smugi błyszczące od nocnego światła, które przez okna na nie padało. Był to blask przymglony, słaby, jakby grobowy, i w oczach przerażonėj Wandy wydawał się jakby ogniki z mogił się wydobywające.

Szybko, jak najprędzėj mogła, wydostała się ztamtąd. W nyży namacała niedługo ślepe drzwiczki do gabinetu. Przyłożyła do nich ucho i słuchała jakiś czas, aby się przekonać, czy hrabiego nie ma u siebie. Nie usłyszała nic i popchnąw-

szy silnie drzwiczki — weszła do gabinetu.

Tutaj odetchnęła swobodniéj. W atmosferze tego pokoju czuła, że go nie dawno opuściła żyjąca istota. Tutaj także było jaśniéj niż w innych pokojach, bo gabinet nie był obszerny i miał okna z dwóch stron. Wanda usiadła na krześle hrabiego, bo czuła potrzebę wypoczynku. Śmieléj zaczęła się rozglądać koło siebie i niedługo jéj oddech zrobił się równy i lekki.

Po chwili powstała i rozpoczęła poszukiwanie tajnych schodów, któremi miała się dostać o piętro niżéj. Macała po wszystkich ścianach miejsce za miejscem, aby natrafić na jaką próżnię lub ukrytą sprężynę, dziesięć razy powtarzała tęż samą robotę — ale napróżno. — Straciła więc nadzieję, aby mogła dostać się do hrabiego i przyszło jéj na myśl, że marszałek może sobie z niéj zażartował. Zaczęła się gniewać, że jéj przedsięwzięcie tak na niczem spełznie. Wtedy przyszła jéj myśl, że schody mogą być ukryte nie koniecznie w ścianie, ale w podłodze. Zaczęła więc na nowo swoje poszukiwanie po ziemi. Przesuwała rękami po dywanie, uderzała po nim lek-

ko, lecz tylko głuche echo zawsze jéj odpowiadało. Nareszcie z wielką uciechą spostrzegła, że w jednym kącie pokoju kawałek dywanu był odwinięty. Domyślała się, że hrabia musiał to uczynić. — Więc zapewno tędy dostał się na dół.

Ale i tu jéj ręka nie natrafiła na żadną sprężynę, na żadną wypukłość w posadzce. Wanda spróbowała więc innego jeszcze sposobu. Stanęła na odkrytéj tafli i tupnęła nogą.

W téj chwili uczuła, że tafla spuszcza się z nią na dół, powoli, lekko wydając tylko głuche warczenie jakby od tarcia się o sznur. Krótką chwilę zrobiło się przed jéj oczami całkiem ciemno jakby wpadała w jakąś norę, ale niezadługo ujrzała posępne, mdłe światło padające z jednego punktu pokoju, do którego się spuszczała.

Tafla uderzyła cicho o posadzkę. — Wanda zeskoczyła z niéj co prędzéj, a tafla poszła znów w górę.

W pokoju, w którym Wanda się znalazła, nie było nikogo.

W zamurowanym pokoju.

Pokój ten był przerażający.

Na wszystkich czterech ścianach, na suficie i podłodze wybity był czarnym suknem. Śladu drzwi albo okien nie było w nim nigdzie widać.

Tym sposobem pokój ten wyglądał na wnętrze wielkiéj skrzyni, albo też grobowca bez żadnego otworu i wejścia.

Światło, które uderzyło oczy Wandy, wychodziło z lampy nakrytéj wielkim i nisko zachodzącym daszkiem po wierzchu czarno jak cały pokój malowanym. Lampa ta wisiała na łańcuszku przymocowanym u sufitu, a światło jéj słabło coraz więcéj i ginęło wreszcie zupełnie w górnéj części pokoju tak, że wysokość jego i tak znaczna, jeszcze większą się wydawała.

Na ścianie, przy której lampa wisiała, widać było przy jéj mdłem oświetleniu portret pięknéj dwudziestoletniéj kobiety w białej jedwabnej sukni. Jéj jasne włosy za całą ozdobę miały na sobie kilka liści kameljowych.

Pokój był prawie pusty. W jednym rogu tylko stało łóżko osłonięte wysokim pawilonem z ciężkiéj materji ciemnego koloru. Nie daleko łóżka stał pod ścianą klęcznik wybijany aksamitem, na wielu miejscach mocno wytartym, przy przeciwległéj zaś ścianie, nie daleko miejsca, gdzie Wanda z taflą się spuściła, wielkie gotyckie krzesło.

Wanda jednym rzutem oka objęła cały pokój i stanęła jak martwa nie śmiejąc kroku ruszyć.

Nagle przyszła jéj do głowy straszna myśl. W pokoju nie widziała nikogo, tafla, na któréj się tu dostała, uniosła się w górę, a Wanda nie widziała w pokoju żadnego przyrządu do ściągania téj tafli na dół. Ściany dokoła były bardzo grube, drzwi i okna jak jéj powiedziano zamurowane, sufit prawdopodobnie także gruby. Ujrzała się więc jak gdyby żywcem zamurowaną. Nie miała sposobu wydostania się stąd, a głos jéj nie doszedłby na zewnątrz do uszu ludzkich.

Hrabia, jeśli tu był, musiał już stąd wyjść. Musiał zaś być, bo zapalił lampę i zostawił ją. Zapewne już nie wróci, bo dlaczegóżby miał wychodzić i znowu wracać? Może już spi w swoim pokoju na

górze, albo gdziekolwiek indziéj się znajduje. Wanda zaczęła sobie wyrzucać, że nie przekonała się na drugiem piętrze, czy hrabia jest u siebie czy nie.

Z mieszkańców zamku zaś nikt nie wiedział, gdzie ona poszła — i zapewne niktby się tego nie domyślił.

Wszystkie te myśli w jednéj chwili przeszły przez głowę Wandy. Uczuła, że jéj się zimno robi, a po czole spływał jéj kroplisty pot.

Przestrach, jaki ją opanował na myśl o tém największém i realném niebezpieczeństwie, dodał jéj odwagi na przezwyciężenie wszystkich strachów imaginacyjnych. Z determinacją rozpaczy postąpiła kilka kroków naprzód, aby się przekonać, czy jéj obawa jest słuszną i postanowiła przeszukać cały ten pokój, którego widok tak ją przerażał.

W téj chwili doszedł ją głos cichy ale mocny, jakby przez sen wydany i wyrażający wielkie zdziwienie pytającego:

— Kto tu jest?

Wanda odetchnęła lżéj i ucieszyła się, jakby ją kto wydobył zpod gruzów.

Był to głos hrabiego.

Dotychczas siedział on na łóżku zakryty przed wzrokiem Wandy kotarą —

z głową podpartą na obu dłoniach i z oczyma utkwionemi w ziemię. Zatopiony był tak głęboko w swoich nyślach, że nie słyszał szelestu jaki robiła machina, na któréj się Wanda spuszczała do pokoju. Dopiero na głośny stukot jéj kroków podniósł głowę i spostrzegł czyjąś obecność. Podniósł się prędko z łóżka, rozsunął szerzéj firanki pawilonu i nawpół z gniewem nawpół z zadziwieniem wyszedł na pokój.

— Kto tu? — powtórzył silnym głosem, w którym znać było rozdrażnienie.

Wanda zbliżyła się ku niemu i nie śmiąc podnieść oczu na niego wyrzekła cicho:

— To ja.

Hrabia schwycił ją za rękę.

— Wanda?... Skąd się tu wzięłaś?

Wanda wskazała w górę na sufit, którędy się dostała.

— Po coś tu przyszła?... szybko zapytał znowu hrabia.

— Przyszłam tu do pana... wiedziałam, że tu jesteś...

— Musisz ztąd odejść.... zaraz.... i hrabia zwrócił się ku ścianie przy któréj była ruchoma tafla, jakby chciał wiadomym mu sposobem spuścić ją na dół.

— Nie odejdę stąd — rzekła Wanda stanowczym głosem — chyba razem z panem....

— Ja tu zostanę całą noc....

— I ja także.

— Jesteś dziecinna.... nie możesz tu zostać?....

— Powinnam tutaj być, skoro pan tu jesteś — rzekła zwracając na niego błagalne i czułe spojrzenie.

— Ja, co innego.... to jest moim obowiązkiem.... ulgą dla mego sumienia....

— Moim obowiązkiem jest także być przy panu, kiedy cierpisz....

Hrabia uścisnął ją za rękę. Z głosu jego znikła surowość, z jaką dotąd się odzywał.

— Jesteś poczciwą i szlachetną Wando. Nie spodziewałem się od ciebie aż tyle dobroci.

Przysunął do łóżka krzesło z pod ściany i wskazał je Wandzie; sam zajął swoje dawne miejsce na łóżku naprzeciw niej.

— Cierpię — słusznie powiedziałaś Wando. Dziwne są zrządzenia boże. Pragnąłem zawsze przez całe życie iść drogą prawą i być czystym na sumieniu.... a jednak, jednak moje sumienie nie jest wolne od strasznych wspomnień.

I znowu twarz swoję zakrył dłońmi. Wanda nachyliła się ku niemu, wzięła go za rękę i chciała ją odsunąć od twarzy.

— Powiedz mi panie, co ci cięży na sercu.... po to tu przyszłam.... wiedziałam, że masz jakąś tajemnicę i miałam nadzieję, że stanę się twoim powiernikiem i ulżę twemu sercu....

— O tém, co mu dolega, co je dręczy, nikt z żyjących dziś ludzi nie wie.... I nikt nie powinien wiedzieć.... poco cudze myśli obciążać takiem strasznèm brzemieniem, niech je dźwiga, kto na nie zasłużył.... to może będzie pokutą i przyniesie przebaczenie.

Hrabia westchnął głęboko i dodał:

— Dziś rocznica strasznego dla mnie dnia.... pierwszy raz od lat kilkunastu o niéj zapomniałem.... Z twojéj winy Wando.... Ah, moje serce śniło tak błogo w tych czasach, żem zapomniał o złém i nieszczęściu na świecie.... Dziwne zrządzenie losu chciało, abyś ty także nie domyślając się nawet tego, przypomniała mi ten dzień.... A byłoby wielkim występkiem względem umarłych zapomnieć o nich.... Od lat kilkunastu co rok noc tę im poświęcam.... i mojemu sumieniu, ażeby je uspokoić.... Wiesz teraz, co mię

tu zatrzymuje, więc odejdź i zostaw mnie samego....

— Nie, to nie może być — odezwała się Wanda — pójdziemy razem....

Hrabia potrząsnął głową.

— Zaklinam pana na wszystko.... zaklinam na moję miłość.... Czyż nie dość już twoich cierpień przez lat kilkanaście?... zmarłym dałeś już zadosyćuczynienie..... życie twoje należy odtąd do żyjących.... należy do mnie....

Wanda mówiła to z zapałem i głosem drżącym od wzruszenia. Miejsce, w którém się znajdowała, ponure i przerażające, widok hrabiego przejętego do głębi cierpieniem z twarzą bladą i oczyma martwemi, wszystko to robiło na niéj wrażenie, że uczucia udawać nie potrzebowała.

— Umarłym dałem już zadosyćuczynienie? odezwał się hrabia grobowym głosem — to możesz tylko ty powiedzieć, bo nie wiesz, co uczyniłem.

Twarz jego stała się nagle okropną od boleści. Powstał i odsunął firankę zasłaniającą głowy łóżka.

Wanda ujrzała w tém miejscu stolik, na którym leżała trupia czaszka.

— Człowiek, z którego widzisz tę nagą czaszkę — rzekł hrabia wskazując palcem —, zginął przeze mnie.

Potém wskazał tak samo na portret, przed którym paliła się lampa i dodał:

— A tę kobietę ja zabiłem.

Wanda zsunęła się z krzesła i padła na kolana, niema od przerażenia i zgrozy. Hrabia w téj chwili wydawał jéj się strasznym, i nie śmiała podnieść na niego oczów.

On przystąpił do niéj, wziął ją za rękę i rzekł:

— Nie lękaj się — a potem dodał z grobową jakąś ironją:

— Widzisz, jak strasznym jestem człowiekiem.... takiego człowieka nie można kochać.... Bóg może kazał ci tu przyjść, abyś poznała dzieje mego życia, a poznawszy je, uciekała odemnie.

Wanda nie miała siły odpowiedzieć. Hrabia podniósł ją prawie na rękach i posadził na krześle:

— Dobrze więc — rzekł — dowiesz się o wszystkiem..... powinnaś o wszystkiem wiedzieć więcéj niż ktokolwiek inny.... Nie powinienem cię oszukiwać, i wydawać się lepszym w twoich oczach niż jestem..... Znałaś dotąd jednę stronę mego

życia — wszystko co w niem było dobrego.... powinnaś poznać i odwrotną stronę medalu.... poznać mnie całego. Popełniłbym nowy występek, gdybym zataił losy téj kobiety, która była moją żoną, przed tą kobietą, która ma być moją żoną....

Słuchaj więc.

Opowiadanie hrabiego.

Miałem lat trzydzieści sześć, gdym się ożenił. Moja żona była o połowę młodszą. Była to kobieta nadzwyczaj piękna i wychowana najstaranniéj. Wielki majątek miał spaść na nią po śmierci rodziców, bo była jedynaczką.

Wybrała mnie, choć o jéj rękę starało się wielu ludzi majętnych, pięknych i wielkiego rodu. Mogłem być pewny więc, że mnie kochała.

Późniéj z rozmów przy zdarzonéj sposobności dowiedziałem się, że zawdzięczałem jéj wybór temu, że byłem inny niż drudzy. Moja oryginalność i ekscentryczność w postępowaniu, a przynajmniéj to, co za ekscentryczność przez innych było

uważane, zjednały mi jéj rękę. Wiadomość ta bynajmniéj mnie nie zasmuciła, ani nie zmniejszyła w moich oczach szczęścia, które mnie spotkało. Mogłem się cieszyć i być dumnym z tego, że mojéj żonie spodobało się we mnie to, że czyniąc dobrze i starając się najlepiéj czynić, byłem inny niż drudzy i oryginalny. Uchodziłem też w ogóle za takiego, bo nie miałem przesądów jak drudzy, nie cierpiałem fałszu i hipokryzji, i postępowałem zawsze według najprostszych zasad, jakie mi dyktowało sumienie.

Mogłem zatem spodziewać się, że za to wszystko, co ja za swoje dobre przymioty uważałem, można być kochanym i posiąść miłość kobiety.

Życie nasze upływało najszczęśliwiéj. Żona moja była aniołem dobroci, była wcieloną łagodnością. Wszyscy kochali ją i wielbili, a ja najbardziéj.

Takiéj kobiety potrzeba mi było. Z natury byłem człowiekiem silnéj i nieugiętéj woli, nie lubiłem oporu, a gdym na niego natrafiał, stawałem się popędliwy. Łagodność mojéj żony zażegnywała wszystkie burze, nie dopuszczała do nich. Pokój więc panował w moim domu, co było dla mnie prawdziwym balsamem, bo to

łagodziło wrodzoną moję krewkość i gwałtowność.

Nie mogę się o to oskarżać, abym przy moim namiętnym charakterze był złym człowiekiem. Byłem dobrym o ile nim być mogłem, starałem się zawsze robić tylko to i tylko tak, jak mi kazało sumienie, którego rady i podszepty skrupulatnie rozbierałem. Ale było zawsze we mnie coś, co mi często mąciło wewnętrzną harmonję i zgodę ze sobą samym, a co szczególnie dla drugich mogło być nieraz przykrém albo wstrętném.

Obok wielkiéj skłonności do dobrego, jaka stanowi grunt mojéj duszy, czuję w sobie jakieś dzikie, niepohamowane instynkta, wybuchające chwilami. Istnienie ich we mnie sprawia mi wielką boleść, ale nigdy nie zdołałem zupełnie nad niemi zapanować, albo przynajmniéj nigdy nie mogłem przyjść do tego, aby im nakazać milczenie i wykorzenić je ze siebie. Bardzo często nie wychodzą one na jaw, ludzie ich nie spostrzegają i nie czują, ale ja czuję je w sobie i cierpię nad tém.

Najcięższa praca, jaką człowiek może mieć w życiu, to jest ta walka ze złem, to ta droga, jaką wytknęliśmy sobie, aby dojść do dobra i doskonałości.

Do saméj mety, nikt z nas nie doszedł, niestety! i nie dojdzie.

Kochałem moją żonę tkliwie i namiętnie. Szczęście posiadania jéj i jéj miłości doprowadzało mnie nieraz do szału. Z czasem jednakże im więcéj sam byłem upojony, tym boleśniéj dotykał mię pewien chłód z drugiéj strony. Nie był to brak miłości. Żona moja była dla mnie tak dobrą, tak zgadywała i uprzedzała moje myśli, a moja osoba i nasz dom wystarczały jéj za świat cały. Wiedziałem o tém i wierzyłem w to. A jednak cierpiałem mocno nad tém, że równego mojemu nie znajduję w niéj uczucia. Namiętne uniesienia mojego serca nie zdołały jéj nigdy doprowadzić do zapomnienia; gdym patrzył w nię upojonemi od rozkoszy oczyma, spotykałem w jéj wzroku jakąś melancholją, jakby cień smutku i niezadowolenia.

To usposobienie jéj, nie wiem, czy w niéj stopniami się zwiększało, ale to pewna, że odtąd je spostrzegłem, rosło w moich oczach z przerażającą szybkością. Może to było moje przywidzenie, a może też i skutek mojego postępowania i zachowania się, jakie pod wpływem tego spostrzeżenia wyrodzić się musiało. Przy-

puszczam, że gdyby spostrzeżenie moje było nawet zupełnie fałszywe, mogło stać się prawdziwém z mojéj własnéj winy. Tak trudno wykazać z wszelką sprawiedliwością ostateczną przyczynę nieporozumienia między dwojgiem ludzi, albo téż zmian w naszéj duszy powstających.

Dość, że przyszodł czas, kiedy na mnie wiało jakieś zimno od niéj... A kochałem ją wtenczas tak gorąco!.. Niedługo zapewne i ona mogła się na obojętność albo na niezasłużoną niczém szorstkość z mojéj strony uskarżać. Nie czyniła tego, ale ja czułem że byłem taki, przynajmniéj na pozór. Cierpiałem w duszy, gryzłem się, a gorycz, jaką sam siebie poiłem, musiała także i innym dać się uczuwać.

Wymówek, skarg, zażaleń, a témbardziéj scen gwałtownych nigdy między nami nie było. Byłbym może wolał coś podobnego, to może byłoby mi ulgę sprawiło, ale spokój mojéj żony, jéj niezachwiana niczém godność i pogoda czoła nie dopuszczały do tego. Zdawała się być wyższą nad te powszednie rzeczy — świętą albo boginią, spoglądającą z wysoka na sprawy ziemskie. Byłbym wolał, żeby była więcéj ziemianką i więcéj zwyczajną kobietą.

Raz przyszła mi myśl — przy jakiéj sposobności to było nie pamiętam, bo takie myśli choć w jednéj chwili powstają, ale długo się rodzą — przyszła mi myśl, że żona moja kocha zapewne kogoś innego, jeżli mnie tak kochać nie może jakbym pragnął.

Wyśmiałem się z téj myśli... była niedorzeczną... W domu naszym mało kto bywał, a nikt taki, ktoby mógł być rywalem. Ci co bywali, byli to wybrani z wielu innych, którzy dochowali mi szczeréj przyjaźni wtenczas, kiedy reszta świata odemnie się odwróciła. Nie mogłem nikogo posądzać. Żona zaś, od czasu jak się pobraliśmy, ani na chwilę nie rozłączyła się ze mną. Bardzo rzadko, i zawsze razem, oddawaliśmy wizyty w sąsiedztwo.

Myśl ta choć wyśmiana, powracała jednak coraz częściéj, i w końcu zaczęła mi wiercić w mózgu jak świdrem. Nie mogłem jéj się opędzić jak złemu duchowi, i męczyłem się, aby wynaleźć człowieka, do którego mógłbym ją przyczepić.

Znalazłem go nareszcie.

Pewnego razu wszedłem do pokoju żony niespodzianie. Siedziała przy stoliku i pisała. Na środku pokoju, może o ja-

kie dziesięć kroków od niéj, stał kozak Jewdokim, i patrzał w nię jak w tęczę. Zdawało się, że nawet mojego przybycia nie spostrzegł.

— Co tu robisz? — zapytałem go z mimowolnym gniewem.

— Czekam na list — odpowiedział.

Zwróciłem się do żony.

— Daj mu list — rzekłem.

— Jeszcze nie gotów — odpowiedziała — za chwilę...

Usiadłem, nic nie mówiąc, i czekałem może kwadrans na dokończenie listu. Tymczasem obserwowałem Jewdokima. Nie wiem dlaczego, jego bytność tam nie spodobała mi się. Widziałem dobrze, że ani raz nie podniósł na mnie oczu, i to czerwienił się to znowu bladł jak ściana, stojąc w miejscu jak wryty.

— Długo kazałaś mu na list czekać — odezwałem się gdy kozak już wyszedł.

— Nie myślałam, że tak długo będę pisać — odpowiedziała żona najspokojniejszym głosem.

Zaczęliśmy mówić o czém inném...

Jewdokim był młodym, dwudziestokilkuletnim chłopakiem. Śmigły jak sosna i barczysty był w całém tego słowa znaczeniu pięknym mołojcem. Uśmiech

miał słodki i skromny, a w niebieskich oczach dużo zadumy. Stronił od dziewcząt i nie kochał się w żadnéj, choć nie jedna strzelała za nim oczami.

Od kilkunastu lat przy dworze służył jako pokojowiec. Był także zawołanym teorbanistą, wygrywał i wyśpiewywał najpiękniejsze dumki kozackie. Kochał się w swoim teorbanie i w swoim śpiewie, i bywało nieraz całemi godzinami siedział sam jeden z teorbanem w ręku i śpiewał, nie dbając o to czy go kto słucha czy nie. Wtenczas całą duszę przelewał w swój instrument, i ze słowami pieśni przenosił się w dalekie czasy i strony.

Takie poetyczne natury zdarzają się nierzadko między tym ludem. U Jewdokima teorban i śpiew szły dziedzictwem już od wielu pokoleń. Była to rodzina teorbanistów.

Jak powiedziałem nie podobał mi się jego wzrok, jakim patrzył na moję żonę, gdy go w jéj pokoju zastałem. Patrzył na nię z jakiémś zachwyceniem.

Nie miałem jednakże dość śmiałości, ażeby jéj o tém choć jedném słowem wspomnieć. Zacząłem tylko nienawidzić Jewdokima i podejrzywać go, że moję żonę kocha. O niéj nie myślałem nic.

Odtąd miałem na niego baczniejsze oko, i podobne fenomena nieraz na nim spostrzegałem. W obecności méj żony bywał roztargniony, zapominał się, wpatrywał się w nię, rumienił gdy się do niego odezwała, i chciałby był odgadnąć każdą jéj myśl i każdy jéj rozkaz wypełnić nim go jeszcze wypowiedziała.

To wszystko gniewało mnie i oburzało okropnie, ale milczałem.

Nareszcie postanowiłem zrobić pewną próbę. Przeniosłem Jewdokima na dozorcę stadniny o kilka wiorst. Parę dni żona nie spostrzegała jego nieobecności we dworze, albo też nic o tém nie mówiła. Pewnego wieczoru jednak, gdyśmy siedzieli przy stole, zapytała mię:

— Czy Jewdokim chory?

To pytanie przeszyło mię jak sztylet.

— Nie — odpowiedziałem lakonicznie.

— A gdzież jest, że od kilku dni go nie widzę?

— Przy stadninie, w Pobujny.

— Czy nie będzie już przy dworze?

— Nie będzie.

— Za karę go tam posłałeś?

— Nie.

— To każ, niech wróci. Lubię tego człowieka.

Piekło zawrzało w mojéj duszy, i zarazem ucieszyłem się jakąś wściekłą radością.

— Dobrze — pomyślałem sobie — zdradziłaś się!... stanie się zadość twemu życzeniu... sama nie wiesz, że wpadniesz przez to w zastawione sieci.

Na drugi dzień sam doniosłem żonie, że Jewdokim już powrócił. Pocałowała mię w czoło i rzekła swoim słodkim, anielskim głosem:

— Dziękuję ci.

Ten pocałunek palił mię jak gorące żelazo.

Gdy pierwszy raz usługiwał znowu przy stole, nie spostrzegłem na żonie najmniejszéj zmiany. Nie spojrzała nawet na niego.

Ale ja wierzyłem odtąd, że go kocha. Wszystkie hydry zazdrości szarpały moje piersi, i jedyném mojém pragnieniem było dostać jakikolwiek dowód do rąk i zemścić się. Szpiegowałem żonę i Jewdokima, nastręczałem rozmaite sposobności, aby zostawali sam na sam, nagle ich nachodziłem, nie sypiałem po nocach dręcząc się myślami i robiąc rozmaite kombinacje. Ale wszystko bez żadnego skutku. Nie mogłem przyjść do przekonania się, ani pochwycić żadnego dowodu.

Nieraz w czasie moich bezsennych nocy słyszałem tylko głuche echo teorbanu Jewdokima, który gdzieś daleko, błądząc po polach, wygrywał swoje dumki.

Przeklinałem jego, jego teorban, żonę i siebie. Zazdrość jest okropną namiętnością, i więcéj niż inna odbiera człowiekowi rozum. Najłagodniejsze serce pod jéj wpływem zaczyna śnić i marzyć o piekielnych rzeczach, a cóż dopiero tak gwałtowne i namiętne, jakiém było wówczas moje.

Nie mam przesądów rodowych, nie miałem ich nigdy, ale wtenczas obudziła się w méj duszy jakaś rasowa nienawiść, i gdym stojąc w oknie mego pokoju przysłuchiwał się tym nienawistnym brzękom teorbanu, mimowoli wyrywały mi się z ust nawpół głośno słowa ostatniéj pogardy:

— Ty nędzny chłopie!

I cierpiałem nad tém jeszcze więcéj, że rywalem moim był „chłop“, a nie kto inny!

Pewnéj nocy te dźwięki usłyszałem daleko bliżéj. Nie chciałem zrazu wierzyć jego śmiałości, ale przekonałem się, że Jewdokim grał w ogrodzie, niedaleko zamku, tuż prawie przy téj narożnéj

baszcie, w któréj jesteśmy. Grał smętnie i cicho jakby chciał, żeby jego gry nie słyszano. Chciał zapewne grać dla niéj saméj, a ujść baczności mojego ucha.

Tego było mi już za wiele. Zbiegłem do pokoju żony. Musiałem być blady jak widmo, bo widziałem przestrach w jéj twarzy. Była już w łóżku, ale świeca jeszcze się paliła.

Okna były pozamykane. Przystąpiłem do jednego z nich i gwałtownie otwarłem. Brzęk teorbanu głuchy, posępny wleciał z nocną ciszą do pokoju.

— Czy słyszysz? — zapytałem, wskazując ręką na ogród.

— Co takiego?

— Jewdokim gra... słyszysz?...

— Słyszę.

— Gra dla ciebie... kozak wyprawia ci serenadę — i zaśmiałem się gorzko na całe gardło.

Żona nie straciła ani na chwilę spokoju.

— Zamknij to okno — rzekła łagodnie. W téj chwili na tle nieba zarysował mi się cień Jewdokima, który przestał grać i wyszedł zza drzew. Stanął i widziałem, a przynajmniéj przysiągłbym na

to że widziałem, jak oczy swoje wlepił w okno mojéj żony.

Pobiegłem do łóżka, schwyciłem ją za rękę i w koszuli doprowadziłem do okna.

— Pójdź... patrz!... — wołałem jak szalony.

Nie miała siły mi się opierać, ale kiedy stanęliśmy przy oknie, cień Jewdokima już zniknął.

— Co tobie jest?.. — zapytała z przestrachem — gdzie mam patrzeć?... nieszczęsny, co ty robisz!..

— Ty kochasz tego człowieka?...

— Kogo? — zawołała z głębokiém zdziwieniem.

— Tego! — i wskazałem za okno nie mogąc wymówić imienia.

— Tegom się nigdy nie spodziewała po tobie — odrzekła spokojnie ale z wyrazem obrażonéj godności kobiecéj — to szaleństwo.

— Więc to nie prawda?..

Potrząsła głową i po chwili rzekła:

— Nie prawda.

— Kogóż więc kochasz?

— Oprócz ciebie, nikogo.

— Kłamstwo! — zawołałem — kłamstwo!.. Przekonam cię, że go kochasz!

W jednéj chwili powstał w mojéj gło-

wie plan okropny — szatański... A jednak zdawało mi się, że nie uczynię nic złego, nic niegodziwego... Ja tę kobietę kochałem... była moją żoną... miałem więc prawo do jéj miłości... Jeżeli mnie ona nie kochała, grzeszyła, bo mi przysięgła miłość... jeżeli kochała kogo innego, była występną i powinna była zostać ukaraną... Ona i wspólnik jéj zbrodni!..

Jéj zaparcie się tak stanowcze, tak bezwzględne było w moich oczach najlepszym dowodem winy, i powiększało ją.... Tylko zatwardziało w złem serce może się z taką krwią zimną wypierać w żywe oczy i przeczyć wszystkiemu. A jednak jeśli nie do tego stopnia, jak ją posądzałem, nie była jednak zupełnie wolną od winy... Gdyby się więc była przyznała do chwilowéj lekkomyślności, do zapomnienia, do tego przynajmniéj chłodu, jaki w jéj uczuciach dla mnie panował — byłbym przebaczył, miałbym był wyrozumienie na słabości serca ludzkiego, byłbym ze łzami w oczach i na kolanach prosił jéj o miłość szczerą i gorętszą dla mnie — taką, jakiéj pragnąłem....

Ale tak zupełnie zaprzeć się i powie-

dzieć mi jeszcze ze spokojem i obojętnie: kocham ciebie tylko, kiedy ja w to nie wierzyłem i kiedy w duszy mojéj było piekło — o, to wydawało mi się strasznem szyderstwem, nadludzką złością!

Z boleścią i żalem wznosiłem ręce do Boga i wołałem: Panie, pociesz mię, daj uspokojenie mojéj duszy!... i w głębi serca słyszałem równocześnie jakiś głos tajemniczy, który mi mówił: ukarz tych ludzi, bo zasłużyli na to, gwałcąc najświętsze prawa i obowiązki, zostań mścicielem pokrzywdzonéj cnoty.

Na drugi dzień byłem zimny i spokojny jak kamień. Postanowienie było zrobione i wydawało mi się dobrem i sprawiedliwem. Byłem nieczuły i pewny siebie jak sądzia, który na zbrodniarza wydaje wyrok śmierci.

Zawołałem do siebie Profira, również jak Jewdokim służącego przy dworze, starszego od niego o lat kilkanaście. — Wiedziałem, że nie lubi Jewdokima, że go nienawidzi. Pomiędzy nimi dwoma była zawsze tajemna ale zacięta wojna. Profir zazdrościł Jewdokimowi tego, że go wszyscy ludzie lubili, że był w łaskach u państwa, bo aż do tego czasu i ja tego chłopca bardzo lubiłem, zazdro-

ścił mu zresztą wszystkiego, jego urody, jego dumek i teorbanu.

Są na świecie serca z wrodzoną nienawiścią do wszystkiego, co im imponuje, co nad nich góruje i ściąga innych oczy na siebie. Profir należał do takich ludzi i nie mógł znieść Jewdokima.

— Słuchaj — rzekłem do niego — dziś wieczorem poszlę Jewdokima do Perespy. W drodze będzie przechodzić przez lasek.... wiesz gdzie....

— Wiem panie — odpowiedział kłaniając się.

— Idź za nim i — możesz z nim zrobić, co ci się podoba...

Czarne oczy Profira błysnęły zpod krzaczystych brwi jak ślépie tygrysa.

— Co mi się podoba?..... wszystko?....

— Wszystko. Weź ze sobą kordelas. Jewdokim pójdzie sam i już o zmroku.

— Mogę go zabić....

— Zabij go — rzuciłem mu kieskę dukatów — a to dla ciebie.

Porwał moję rękę i pocałował ją:

— Dziękuję jasnemu panu.

— Tylko pamiętaj, nie dotykać jego twarzy.... nie oszpecić ją.

— Potem zakopać?

— Zakop ciało, ale głowę odetniesz i przyniesiesz do mnie, tu do tego pokoju. Weź ze sobą worek.

Co ta dzika dusza myślała sobie słysząc moje okropne polecenie, jak sobie je wytłumaczyła, tego nie wiem, tego trzebaby szukać w tajnikach przyrody, która zarówno wydaje gołębie jak i tygrysy.

Najprawdopodobniéj Profir nic nie myślał, tylko czuł radość, że jego chuć nienawistna zostanie zaspokojoną.

O zwykłéj porze widziałem się tego dnia z żoną. Widząc mine spokojnym — nie wspomniała o wczorajszém zajściu ani słowa, nie pytała o nic. Ja także milczałem w tym punkcie. — Mówiliśmy o rzeczach rozmaitych, jakby nic nie zaszło między nami.

Profir tymczasem spełnił co do joty moje polecenie. Wieczorem przyniósł do mnie worek obwinięty szmatą... Wzdrygnąłem się, gdy wydobył z niego głowę Jowdokima.

Czułem, że siły mię opuszczają, ale stanęła mi na oczach ta myśl, — że to dzieło sprawiedliwéj zemsty się dokonało...... Trzymał mię także na nogach wstyd przed najętym siepaczem. — Ten

człowiek miałby myśleć, że ja coś złego popełniłem, miałby zobaczyć we mnie zbrodniarza?..... Nie, słabość należało pokryć zimną krwią i powagą.

— Masz tu jeszcze drugie tyle — rzekłem obojętnym głosem, posuwając mu na stole leżące pieniądze — ale dziś jeszcze musisz się stąd wynosić. Weź sobie konia ze stajni i jedź w świat.

Chwycił mię za kolana i dziękował... Kiedy odszedł, uczułem, żem swobodniéj oddychał.

Teraz następuje najokropniejsza część mojéj historji...

O Boże! jeżeli niesprawiedliwie to wszystko uczyniłem, jeżeli mię zaślepiła namiętność, nie wchodź ze mną w sądy, bo byłbym na wieki potępiony... Boże! przy wyroku, jaki na mnie kiedyś wydasz, spojrzyj także na tę boleść wielką, jaką krwawiło się moje serce...

Na chwilę hrabia przerwał swe opowiadanie i oczy zasłonił rękami. Od niejakiego czasu zdawało się, jakoby zapomniał o tém, że ma przed sobą słuchacza i wszystko co mówił, mówił tak, jakby prowadził rozmowę z samym sobą.

Wanda tymczasem siedziała na krześle nieruchoma i prawie bez znaku ży-

cia. Czuła, że na całém ciele zrobiło jéj się zimno, że wszystka krew jakby młotem uderzała jéj do skroni, a nie miała odwagi odezwać się, ani głośniéj westchnąć. Była bliską omdlenia.

Hrabia niepodnosząc głowy, rozpoczął znowu osłabłym i złamanym głosem:

— Tego dnia także kazałem mojego syna wywieść z domu. Miałem do tego bardzo dobry pozór, bo na drugi dzień były imieniny małego synka mojego jedynego przyjaciela o kilkanaście wiorst od nas. Henryk, który liczył już wtenczas pięć lat, miał tam kilka dni zabawić. Byłbym chętnie wydalił natenczas z domu także i maleńką Julję, ale to trudno było zrobić bez obudzenia jakiegoś podejrzenia mojéj żony.

Nie chciałem, aby te niewinne istoty były pod tym dachem, kiedy pod nim gotowały się tak straszne rzeczy.

Wieczorem dłużéj niż zwykle rozmawiałem z żoną przy stole. Oprócz nas dwojga nikogo więcéj nie było. Rozmowa szła wprawdzie oporem; nie mogłem się opędzić okropnym myślom, jakie mię dręczyły, ale starałem się zwlekać jéj odejście do siebie. Ogarniała mię jakaś bojaźń i nieraz miałem już chęć cofnąć się od tego, co zamierzyłem.

Nareszcie zdobyłem się na odwagę. Powstałem pierwszy i powiedziałem jéj, że ją odprowadzę do siebie. Nie miała nic przeciwko temu.

Poszliśmy razem do jéj pokoju... do tego pokoju, w którym teraz jestem... Wszystko tu już naprzód przygotowałem. Paliła się tylko słabo jedna lampa naumyślnie przygaszona... Kotara u tego łóżka była zasłonięta...

Gdyśmy weszli, wziąłem żonę pod rękę i poprowadziłem ją przed łóżko... Rozsunąłem w jednéj chwili firankę i nieszczęśliwa zobaczyła w głowach swojego łóżka, na tym stoliku, głowę Jewdokima z ciekącą jeszcze krwią....

Krzyknęła, rzuciła się na martwą głowę, zaczęła ją całować i ściskać rękami... zaczęła płakać, a potém śmiać się na całe gardło...

Straciła zmysły.

W kilka dni umarła i swoję tajemnicę poniosła z sobą do grobu.

Odtąd ta czaszka leży tutaj jak owego dnia...

W téj chwili słaby krzyk uderzył ucho hrabiego. — Podniósł głowę i zobaczył Wandę stojącą przy krześle i opierającą się na poręczy ze wszystkich sił.

Kiedy hrabia kończył swoje opowiadanie i wskazywał na czaszkę Jewdokima, Wanda uczuła, że siły ją opuszczają. Nagle na miejscu téj nagiéj czaszki zdawało jéj się, że widzi głowę znaną jéj dobrze, piękną głowę młodego mężczyzny ze złotemi, kędzierzawemi włosami, z rozkosznym uśmiechem na ustach... Tę głowę uciętą kładł hrabia znowu na stoliku, jak przed laty głowę nieszczęśliwego kozaka...

Wanda chciała się wyrwać temu złudzeniu, które boleśnie ścisnęło jéj serce. Zebrała wszystkie siły, powstała, chciała iść naprzód, ale nie mogła ani krokiem ruszyć. Oparła się o poręcz, aby nie upaść, a przed oczami ciągle jéj stało przerażające widmo.

Nim hrabia mógł jéj pomódz, upadła bez przytomności na ziemię.

Zwidzenia w gorączce.

Nazajutrz Wanda leżała słaba w łóżku. Była blada, oczy miała zapadłe, a spieczone usta pokazywały, że ją trawi gorączka. Chwilami zasypiała i budziła się

potém niespokojnie, jakby ją jakieś nieprzyjemne sny dręczyły.

Może po raz dziesiąty w ciągu pół dnia otwierała w ten sposób oczy, gdy obok swego łóżka zobaczyła stojącego hrabiego.

Przed chwilą wszedł do jéj pokoju i zastawszy Wandę śpiącą, cicho stanął nad łóżkiem, założył ręce i wpatrywał się w jéj piękne oblicze, którego bladość podnosiły jeszcze krucze jéj włosy rozrzucone w nieładzie po poduszce.

Posągowe rysy Wandy przy téj bladości, wyglądały jakby wykute z alabastru.

Wanda wzdrygnęła się lekko, ujrzawszy hrabiego. Ale w tejże chwili uśmiechnęła się i spojrzała na niego jakby z przyjacielskiem podziękowaniem zpod powiek osłaniających do połowy jéj źrenice.

— Jakże się masz Wando? — rzekł hrabia półgłosem nachylając się do niéj.

— Już mi jest lepiéj.

— To skutek wczorajszego wzruszenia.....

— Nieinaczéj. Miałeś pan ze mną dużo kłopotu. Nieprzypominam sobie nawet, jakim sposobem dostałam się do mego pokoju.

— Przyszłaś tu sama przy mojéj pomocy. Już w moim gabinecie wróciłaś do przytomności.

— Prawda, trzeźwiłeś mię Pan.... wszystko to widzę jak przez mgłę.... W istocie sama nie wiem, co mi się stało..... dlaczego zemdlałam....

— Przeraziła cię moja historja.... smutna i okropna, nieprawdaż?

— Dziś już nie wydaje mi się tak straszną.... noc ma swoje prawa.

Hrabia usiadł przy niéj.

— Bałem się Wando — rzekł — aby to coś słyszała nie zraziło cię do mnie, abyś nie straciła do mnie serca. Ale tak się nie stało, nie?...

— Nie — odpowiedziała, i usta jéj wykrzywił jakiś przymuszony uśmiech.

— Opowiadałem ci dzieje mojego cierpienia i nieszczęścia. Ale nieszczęście ma to do siebie, że nam nie jedna przychylności ludzkiéj, raczéj odstręcza od nas ich serca. Nikt nie pragnie należeć do towarzystwa cierpiących, bo cierpienie jest zaraźliwe. Czyż nie lepiéj unikać téj atmosfery ponuréj i ciężkiéj, a biegnąć tam gdzie pogoda i słońce?... Trzeba wyższego umysłu, aby wziąć dobrowolnie na swe barki połowę tego ciężaru,

który dźwigają inni. Lękałem się więc tego, powtarzam, abyś nie odwróciła się odemnie ze wstrętem dowiedziawszy się jakie przekleństwo cięży nademną. Byłby to dla mnie cios bardzo dotkliwy. Przy tobie zaczęła mi znowu błyszczeć jutrzenka szczęścia, zobaczyłem znowu nadzieję, którą jak mi się zdawało pożegnałem już na wieki. W duszy méj jednak pozostało pragnienie szczęścia.... Nie uwierzysz, jak ono jest silném w człowieku, jak ono pali i wysusza jego wnętrzności — zawsze — bez końca. Kto nie był szczęśliwym w młodości, spodziewa się szczęścia w wieku dojrzałym, gdy wtedy go nie znajdzie, oczekuje go od starości. I tak ciągle i ciągle aż do grobu — nawet poza grób..... Pragnąłem miłości wtenczas, kiedy była na to stósowniejsza pora.... nie doznałem jéj.... Czy myślisz że źródło uczucia wyschło po doznanym zawodzie?... Nie, czułem ciągle krążenie jego w mych piersiach, czuję je dzisiaj, kiedy to może jest szaleństwem.... Ale moja dusza, moje serce żywi ciągle jakieś pretensje do świata, do życia, i woła: dajcie mi to, co mi się należało, co było mojem pragnieniem......

Spojrzał na Wandę okiem płomieni-

stem, rozczulonem i zawołał na w pół głośno:

— Ale ty kochasz mnie Wando?....

Wanda nic nie odpowiedziała, ale podała mu rękę jakby na znak potwierdzenia. Hrabia uczuł lekkie, krótkie, jakby spazmatyczne ściśnienie téj ręki. Wziął to za dowód czułości, bo jakże inaczéj możnaby sobie to było tłomaczyć?

— Oszczędzaj mnie pan — rzekła Wanda po chwili cichym głosem — czuję, że twoja rozmowa sprawia mi wzruszenie... jestem jeszcze słaba...

Hrabia pocałował jej rękę i wyszedł z rozjaśnioną twarzą, zwilżonemi od łez.

W istocie rozmowa hrabiego kosztowała Wandę bardzo dużo. Z widoczną radością patrzyła za nim kiedy odchodził, a gdy już drzwi zamknął za sobą, odetchnęła całemi piersiami, z których wydobył się mimowolny wykrzyk:

— Muszę się ratować!

Ciężar kłamstwa przygniatał tak mocno pierś Wandy. Od ostatniéj nocy czuła do hrabiego wstręt, odrazę, bała go się i nienawidziła zarazem. Był on w jéj oczach potworem, który rozszerzał swoję paszczę, ażeby połknąć jéj młodość, wdzięki i szczęście całego życia.

Kiedy mówił jéj o miłości i uczuciu, Wanda drżała przed nim w duszy i byłaby chciała być o sto mil od niego... Ta okropna historja, którą w nocy słyszała, stała ciągle przed jéj oczyma. Widziała hrabiego dziki gniew, jego zazdrość z tak błahych pobudek powstałą, jego pastwienie się nad żoną nieubłagane i bez litości, a wreszcie tę straszną, podwójną zbrodnię.

Na jego usprawiedliwienie nie znajdowała nic w swojéj duszy. W jego boleści widziała tylko zwierzęcą wściekłość, w jego zazdrości dziki humor tyrana, który chciałby nieograniczonéj władzy nietylko nad ciałem, ale i nad duszą.

Czaszka Jewdokima, w ciągu tych jéj myśli i przykrych marzeń, świeciła nad niemi bezustannie, jakby krwawa łuna oświecająca miejsce mordów i rzezi. Tak samo jak wczorajszéj nocy, i dzisiaj czaszka ta przybierała na siebie kształty głowy jakiegoś pięknego mężczyzny, którego oczy z téj uciętéj głowy patrzyły w Wandę z wyrazem niewypowiedzianéj miłości i roskoszy.

To widmo wyobraźni przerażało ją okropnie. Ze wszystkich sił pracowała nad sobą, ażeby je odpędzić z myśli,

lecz ile razy zamknęła osłabione oczy, tyle razy wracało coraz wyraźniejsze, coraz jaśniejsze.

Dziwna rzecz! przy całéj trwodze, jaką na ten widok uczuwała, ta piękna głowa bez kadłuba budziła w niéj słodkie, roskoszne uczucia, jak gdyby przypomnienie pierwszéj i wielkiéj miłości.

Czy Wanda znała kiedy człowieka, który patrzył na nią tak uroczemi oczami, i miał tak piękne, Apollinowe włosy?..

Zdawało jéj się znowu, że jest już żoną hrabiego i że on podobnie jak przed pierwszą żoną, stawia przed nią tę krwawą czaszkę na stoliku. Wtenczas ogarniała ją rozpacz i tuląc się do poduszki, mówiła do siebie:

— Nigdy, nigdy!.. taki los sobie zgotować... oh, to byłoby okropne... Bóg mię ostrzegł... Żoną tego człowieka?.. Nigdy!

To postanowienie coraz silniejszém stawało się w jéj duszy, i ono ją uspokoiło. Po niejakim czasie, kiedy gorączka się zmniejszyła, zaczęła z większym chłodem rozważać swoje położenie i układać plany na przyszłość.

— Nic złego jeszcze się nie stało, — mówiła wtenczas do siebie, — nie jestem

dotąd jego żoną i nie chcę nią być. Nikt mię do tego zmusić nie zdoła. Skorzystałam tylko tyle, że wiem, czego się mam trzymać. Wahałam się dotąd między nimi dwoma, stósownie do okoliczności. Dzisiaj wszystko przemawia za Henrykiem. On mię wyrwie z rąk ojca. Trzeba tylko nad tém pomyśleć, aby jak najprędzéj zakończyć.

I Wanda zaczęła nad tém myśleć. Zawsze i ciągle największą trudnością był brak decyzji w Henryku i jego obawy przed następstwami tego kroku, gdyby go bez wiedzy i woli ojca uczynił. Należało więc wpłynąć na niego i zrobić mu ile możności wszystkie ułatwienia.

Wtedy z radością przypomniała sobie Wanda Zawiłę. Ona sama nie mogła osobiście ani wpływać na Henryka, ani robić potrzebnych do stanowczego aktu przygotowań. Zawiła był jakby zesłany z nieba do téj roli pośrednika i pomocnika.

Od czasu, kiedy tak obcesowo wdarł się w jéj tajemnicę, Zawiła stawał się coraz poufalszym jéj przyjacielem i coraz bardziéj, jak spostrzegała, przywiązanym do jéj sprawy. I pod tym względem Wanda się nie myliła. Jéj kuzyn postanowiw-

szy raz odegrać w tych wydarzeniach jakąś rolę, pojmował bardzo dobrze, że z korzyścią i tryumfem dla siebie może ją tylko odegrać stając po stronie Henryka i Wandy. Cóż się od hrabiego mógł spodziewać? Nic albo bardzo mało. Gdyby hrabiemu odkrył był tajemnicę dwojga młodych ludzi, a od tego musiałby z nim rozpocząć, na tym pierwszym zaraz akcie cała jego czynność by się skończyła. Hrabia jako silniejszy nie potrzebowałby pomocnika, nie miałby go za co nagradzać, a dowiedziawszy się od niego, co mu było potrzeba, możeby jeszcze pogardził nim i odrzucił w kąt, jak wyciśniętą cytrynę. Na hrabiego Zawiła nie mógł sobie także obiecywać żadnego wpływu ani teraz, ani w przyszłości. Hrabia wydawał mu się nieprzystępny, uparty w swojém zdaniu, surowy w swoich przekonaniach, a co najważniejsza — rozumny. Kierować nim, nie można było nawet pomyśleć.

Henryk przeciwnie potrzebował w swojém zawikłaném położeniu pomocy, musiałby się zatém i poczuwać do wdzięczności; był słabym z natury, więc mógł się stać powolném narzędziem, i nadal nawet nie otrząsnąć się z pod wpływu

kuzyna. Z czasem jednakowoż, i to już niedługo, tak samo jak ojciec miał być panem swéj woli i ogromnego majątku. Przysługi więc wszelkie teraz mu oddane, a schlebiające jego namiętności, mogły stać się niewyczerpaném źródłem korzyści teraz i w przyszłosci.

Zawiła myślał na serjo, gdyby ta sprawa dobrze się zakończyła, nie rozłączać się nigdy z domem swoich kuzynów, i mieć stałe a obfite dochody z ich majątku. Już naprzód kasę hrabstwa ostrowieckiego zaczął uważać za wspólną, i obliczał mniéj więcéj, ile z niéj czerpać będzie można.

W jego interesie więc leżało, aby Wanda poszła za Henryka i ażeby oboje jemu w znacznéj części zawdzięczali swoje szczęście.

Zawiła znów czynny.

Otóż Zawiłę w godzinę może po odejściu hrabiego kazała Wanda do siebie zawołać.

Rozmowa ich nie trwała długo, ale była bardzo ożywiona. Zawiła wyszedł uradowany od Wandy i dumny z tego,

że jéj losy ma na swojéj głowie i w swoim ręku.

Bezpośrednio ztamtąd udał się do Henryka. Henryk chodził po pokoju smutny i zakłopotany.

— Biedna dziewczyna! — zawołał Zawiła rzucając się na stołek.

Henryk przybiegł do niego prędko z drugiego końca pokoju.

— I cóż takiego? słaba, ma się gorzéj... bardzo chora? — zapytał przejęty obawą.

— Bardzo chora, bardzo... ma gorączkę, malignę, djabli wiedzą co!.. Właśnie wracam od niéj.

— Doktór mówił mi, że nie ma nic niebezpiecznego...

— Daj mi pokój z waszym doktorem... na wszystkiém może się rozumieć, tylko nie na chorobie!.. Ale inaczéj być nie może, trudno... ona musi chorować...

— Nie wiesz, co było przyczyną?...

Zawiła rozparł się na stołku i wpatrywał się na niego wielkiemi oczami.

— Jak ty się możesz pytać o to!.. Musiałbyś chyba nie mieć piątéj klepki, żeby nie wiedzieć, że to z twojéj przyczyny, — mówił jakby zgorszony i oburzony. — Dziewczyna się martwi i gry-

zie, więc jakże nie miałaby chorować!.. Henryk westchnął i zmarszczył brwi.

— Tu wzdychanie nic nie pomoże, — mówił daléj Zawiła, — tu trzeba działać. Ojciec coraz mocniéj na nią nalega, ona ciebie kocha, a ty ani myślisz co zrobić. Oto prawdziwe położenie rzeczy, a dalibóg! wcale nie do pozazdroszczenia.

— Możesz jednakże zaręczyć jéj i upewnić...

— Na co się to przyda, — przerwał Zawiła, — poco zaręczać i upewniać, tu trzeba wziąć ślub i rzecz skończona.

— Byłby to dla mnie pierwszy dzień prawdziwego szczęścia...

— Więc kiedy?..

— Kiedy?..

— Tak jest, kiedy?.. odwlekać nie można. Im wcześniéj tém lepiéj...

— Oh, mój Boże, w jakiémże jestem położeniu! — zawołał Henryk załamując ręce. Nagle zabrakło mu znowu odwagi.

— O cóż ci takiego chodzi?.. ja nic znów tak strasznego nie widzę... Że stary się trochę podąsa, gdy mu dziewczynę sprzątniesz zprzed nosa... no, to jeszcze niewielka rzecz, przeprosi się potém i pogodzi. Sam sobie winien, poco mu na starość zachciało się romansów...

— Zawiło, — odezwał się Henryk mierząc go wzrokiem, — nie zapominaj, że mówisz o moim ojcu, którego kocham i szanuję.

Zawiła zerwał się ze stołka.

— Ha, jeźli tak, to nie mam tu co robić, umywam od wszystkiego ręce. Pójdę tylko i powiem Wandzie, że nie ma co liczyć na ciebie, że niech odda rękę hrabiemu, albo na śmierć się zachoruje. Żegnam.

Odwrócił się i chciał odchodzić. Henryk zatrzymał go silnie za rękę.

— Nie odchodź, — rzekł, zamilkł na chwilę, potém dodał:

— Zawiło, wiem, że mi dobrze życzysz. Radź mi więc i ratuj jak przyjaciel. Na miłość Boga, pomóżcie mi i wyszukajcie jakich środków. Ja głowę tracę i sam nie wiem, co robić.

— Dobrze, uczynię dla ciebie wszystko, na co mię stać, ale musisz być posłuszny.

— Zgoda.

— Mam to powiedzieć Wandzie?

— Idź, powiedz jéj... powtórz jéj to sto razy, jeźli jéj to może polepszyć... dla jéj spokoju, dla jéj szczęścia... i dla swojego... gotów jestem na wszystko.

— Dajesz mi pełnomocnictwo?..

— Na wszystko.

Zę łzami w oczach Henryk uścisnął za rękę Zawiłę, żegnając go na progu.

Zawiła nie zasypiał sprawy. Niedługo po widzeniu się z Henrykiem, dosiadł konia i udał się do dworku doktora, gdzie jak wiemy bywał już częstym gościem i gdzie o interesach mieszkańców zamku bardzo wiele już rozmawiano.

Tym razem bytność jego nie była długa. Spieszył się, aby przed wieczorem wrócić do zamku, bo nie chciał ażeby tam o wizycie jego u doktora się dowiedziano. Zaostrzył tylko ciekawość państwa konsyljarstwa, że jutro do nich w ważnym interesie przybędzie i prosił, ażeby doktor na tę a na tę godzinę zaprosił do siebie wikarego.

— Bo ten — dodał z uśmiechem znaczącym — równie do tego interesu będzie potrzebny jak ja albo pan, panie konsyljarzu, albo szanowna pani konsyljarzowa, której mam zaszczyt po miljon razy rączki ucałować.

To powiedziawszy już na ganku, wsiadł na konia i puścił się galopem ku zamkowi, zostawiając państwo konsyljarstwo ogromnie zaciekawionych na dzień jutrzejszy.

Narada wojenna.

W oznaczonéj godzinie na drugi dzień Zawiła przybył do dworku doktora. Zastał tam już wikarego, który z przybyciem się pospieszył, mocno zaintrygowany tém, po co Zawiła mógł go wzywać.

Całe towarzystwo usiadło w saloniku, którego drzwi otwarte wychodziły na ogród. Byłto ciepły jesienny dzień, i przyjemne powiewy wietrzyka zalatywały do pokoju. Pani konsyljarzowa i wikary usiedli na kanapie — należał im się ten zaszczyt — doktor i Zawiła na miękkich i wygodnych karłach z wysokiemi poręczami. Mężczyzni popijali czarną kawę i palili turecki tytoń w fajkach, z wyjątkiem wikarego, który publicznie, przy ludziach nigdy nie palił.

Gospodarz domu zagaił posiedzenie, odzywając się z uśmiechem:

— Musisz wiedzieć kapitanie (przez grzeczność awansował Zawiłę na ten stopień), że nas okropnie wczoraj zaciekawiłeś. Moja żona spać nie mogła, i kiedy ja ledwie przeniosłem się w objęcia Morfeusza, tak mocno mię trąciła łokciem....

— *Fi donc!* — przerwała konsyljarzowa spuszczając skromnie oczy w ziemię — któż mówi o takich rzeczach....

— No, no, moja duszko, nikt się tu nie zgorszy — mówił daléj śmiejąc się doktór. Otóż jak powiedziałem, tak mocno mię trąciła łokciem, że się przebudziłem, a ona mi powiada: Wiesz moje serce, co ja myślę o jutrzejszéj wizycie pana Zawiły?

— Cóż takiego? To będzie pewnie ślub, bo i pocóżby chciał się widzieć i z wikarym....

— Podziwiam przenikliwość pani dobrodziejki — rzekł Zawiła schylając pompatycznie przed nią głowę — w istocie o ślub tu chodzi....

— A widzisz serce, nie chciałeś wierzyć — przerwała pani konsyljarzowa ucieszona — ja zawsze dobrze mówię.

— Tylko teraz kwestja, czyj to ma być ślub. Ciekawym, czy państwo i to odgadli? zapytał Zawiła.

— Naturalnie kogoś ze zamku — odpowiedział doktór. A że ta rzecz jakąś tajemnicą ma być osłonięta, pewnie, jak się moja żona domyślała, ślub hrabiego z panną Wandą.

Zawiła uśmiechnął się i potrząsł zaprzeczająco głową.

— W tym punkcie domysły szanownych państwa nie są prawdziwe — rzekł i dodał z miną arcypoważną: Rzecz się ma całkiem przeciwnie. Chodzi tu o to, aby ślubowi hrabiego z Wandą przeszkodzić.

Na obecnych słowa te zrobiły wielkie wrażenie. Spojrzeli na Zawiłę z pewném niedowierzaniem a zarazem podziwem.

— Ale najprzód — mówił Zawiła daléj — chciałbym się dowiedziedzieć, jak się państwo w ogóle zapatrujecie na tę kwestją: czy ślubowi hrabiego z Wandą należy przeszkodzić, czy nie?

— Gdyby można... — przebąknął doktór.

— To małżeństwo *a priori* byłoby już potępienia godne — odezwał się wikary — bo przyśli małżonkowie jeszcze przed zawarciem ślubów mieszkają pod jednym dachem

— Bez wszelkiéj wątpliwości, należy mu przeszkodzić, należy — dorzuciła z zapałem pani konsyljarzowa — byłaby to para bardzo niedobrana... kto widział!..

— Jak mi się zdaje, opinje pod tym względem są więc jednomyślne — mówił znowu Zawiła, spoglądając kolejno po obecnych, jakby liczył głosy. — Za-

chodzi tylko pytanie, czy to będzie można zrobić, czy się to da zrobić. Na to ja państwu odpowiadam, że się da, i że bylebyśmy chcieli, to potrafimy.

Twarze obecnych powlekły się radością i wyrazem pewnego tryumfu. Wikary jednak zapytał po chwili z jakiémś powątpiowaniem:

— Ale niechże nas waćpan objaśni, jakim sposobem?

— Bardzo prostym: jeżeli Wandę wydamy za kogo innego.

Obecni, jak wiemy, nie byli wtajemniczeni we wszystkie sekreta zamkowe, nie zrozumieli więc tego, co Zawiła w téj chwili powiedział.

— Nie wiemy nic o tém, żeby panna Wanda miała jeszcze innego jakiego konkurenta — odezwał się doktór.

— Na szczęście zatém, mogę państwu powiedzieć, że go ma.

— Tego należało się spodziewać! — rzekła ze zgorszeniem gospodyni domu — I któż to taki, proszę pana?

— Ale państwo przyrzekacie mi solennie milczenie i tajemnicę. Poza to przyjacielskie kółko nasze nic z tego nie wyjdzie na świat?...

— Przyrzekamy, przyrzekamy — odpowiedziała skwapliwie gospodyni, dręczona ciekawością.

Zawiła powiedział im wtedy o tajemnym stosunku Wandy z Henrykiem, co w towarzystwie wielkie obudziło zadziwienie, szczególnie z tego względu, że o tém dotychczas nic nie wiedziano.

— Naturalnie, musieli się ukrywać — tłómaczył Zawiła — bo gdyby stary się dowiedział...

— Niegodziwy starzec! — zawołała konsyljarzowa z oburzeniem — jak można być nieprzyjacielem własnego syna i myśleć o związku z osobą tak młodą i powabną, jak panna Wanda!

W jednéj chwili i Wanda i Henryk zjednali sobie sympatję wszystkich obecnych, która bynajmniéj nie pochodziła z serca, ale z tego wyrachowania, że protegując młodą parę, będzie można dokuczyć hrabiemu.

— Zmierzam tedy do właściwego celu mojéj dzisiejszéj bytności w domu szanownych państwa. Krótko mówiąc, chodzi tutaj o to, abyście państwo, jakotéż i ksiądz dobrodziéj dopomogli do połączenia się młodéj parze...

— Nieinaczéj, nieinaczéj — mówiła konsyljarzowa — musimy to zrobić!

— Bardzo chętnie... o ile to będzie w naszéj możności — dodał jéj małżonek.

Ksiądz wikary przykiwnął kilka razy głową z widoczném zadowoleniem.

— Pomiędzy Henrykiem i Wandą już wszystko ułożone. Pragną się połączyć jak najprędzéj, ale rozumie się, ślub musi się odbyć tajemnie...

— Kochane dzieci! niech im pan Bóg błogosławi! — przerwała z zapałem konsyljarzowa, która była wielką amatorką niezwykłych romansowych przygód.

— Na miejsce ślubu wybraliśmy właśnie dom szanownych państwa...

— Nasz dom?... — zapytał z niejaką niechęcią doktór.

— Nasz dom!... — zawołała z uciechą konsyljarzowa — ah! to będzie cudowne!... tak piękna para łącząca się tajemnie w naszym domu.

— Ksiądz dobrodziej zaś nie odmówi zapewne swego błogosławieństwa?... — zapytał Zawiła, zwracając się do wikarego, tym tonem, jakby był pewny potwierdzającéj odpowiedzi.

— Istotę małżeństwa stanowi według katechizmu obopólna zgoda łączących

się. Mogę tedy bez naruszenia mego sumienia dopełnić tego aktu — odrzekł wikary.

Doktór nie był jeszcze zupełnie zdecydowany. Krótko mówiąc, obawiał się następstw i gniewu hrabiego.

— Za pozwoleniem — rzekł wstając — prosiłbym na chwilkę księdza dobrodzieja.

Obaj odeszli do framugi okna.

— Powiedz mi pan szczerze, co o tém myślisz? — zapytał doktór — jesteśmy w cztery oczy...

— Możemy się zgodzić bez wahania na propozycję...

— Tak?... No, a hrabia?...

— To już będzie ich rzeczą. W ostatku musi przystać na wszystko...

— Ale my wobec niego mocno się skompromitujemy...

— Jeżeli sumienie nasze będzie czyste, o cóż więcéj może nam chodzić... A to nie ulega wątpliwości, że cel nasz jest dobry.

— Starego to jednak djabelnie będzie martwić... bo to i sprawa sercowa i niewdzięczność synowska...

— Gniew to całkiem niesprawiedliwy i bezbożny smutek martwić się tém, że nam zła rzecz się nie udała. A przyznaj

pan, że hrabia od samego początku postępował źle i niemoralnie, trzymając w domu swoim młodą osobę. Następnie także niemoralnie postępował, jeżeli ją chciał przymusić do małżeństwa, bo jak się zdaje, ta młoda osoba komu innemu serce oddała. Ja całą duszą jestem za panem Henrykiem i widzę w tém widoczny palec opatrzności, że możemy przeszkodzić hrabiemu w tym nowym jeszcze złym czynie, jakiego dokonać zamierzał.

— A jak on zechce mścić się na nas za to?...

— Cóż nam może zrobić? Ani ja ani waćpan jego łaski nie potrzebujemy. Zresztą to są delikatne sprawy, a hrabia zbyt ma dużo rozumu i przenikliwości, ażeby nie wiedział, że podobnych rzeczy rozmazywać nie wypada. Ręczę waćpanu, że cała opinja powszechna będzie po stronie syna.

— Więc takie jest szczere przekonanie księdza dobrodzieja?...

— Powiedziałem od razu co myślę.

Powrócili do reszty towarzystwa, które bardzo dobrze tymczasem bawiło się rozmową, naturalnie o przedmiocie właśnie na stole będącym i budzącym tak żywy interes w pani konsyliarzowéj.

— Zgadzamy się zupełnie na propozycyą pańską — rzekł doktor do Zawiły.— My przyjmiemy na ten akt do siebie nowożeńców, a ksiądz wikary im pobłogosławi.

— Dziękuję z całego serca w imieniu swojém i państwa młodych. Bądźcie państwo przekonani, że oni o tém nigdy nie zapomną, co dla ich szczęścia uczynicie.

To ostatnie zapewnienie było echem myśli, jakie krążyły po głowach zebranego towarzystwa. Oprócz niechęci do hrabiego, skłoniła ich do zgodzenia się na propozycją Zawiły także i nadzieja korzyści, jakiéj sobie po wdzięczności młodéj pary obiecywać mogli. Stary hrabia był zachodzącém słońcem, którego chwile były policzone — młody hrabia miał dopiéro rozpocząć swoje rządy, można się było więc spodziewać po nim nowych łask i dobrodziejstw, należało zaskarbić sobie jego względy, ażeby z czasem wyzyskawszy je, odpłacić mu się znowu może niewdzięcznością i nienawiścią. Wszystko, co schodzi z pola, idzie w pogardę i poniewierkę. Ludzie lubią nowości i chętnie ich się chwytają.

Dnia ślubu Zawiła nie umiał jeszcze dokładnie oznaczyć.

— Pojmiecie państwo — mówił — że przy niezwykłych warunkach, w jakich szlub ma się odbyć, termin zależeć musi od okoliczności i od dobréj sposobności. Bądźcie jednak przygotowani na to każdéj chwili, a ja, skoro tylko będę wiedział coś pewnego, uwiadomię was niezwłocznie.

Aż do chwili pożegnania się nie mówiono zresztą o niczém, tylko o zamierzonym szlubie, o szczególném powikłaniu rodzinnych interesów w domu hrabiego, i o rozmaitych szczegółach tego podwójnego romansu, o jakich wiedziano, i z jakimi Zawiła miał ochotę przed drugimi się zwierzyć.

Przed zachodem słońca Zawiła i wikary pożegnali gospodarzy, i wszyscy jeszcze raz przyrzekli sobie dochowanie tajemnicy i gotowość do spełnienia wszystkiego, czego okaże się potrzeba.

Kawałek drogi szli razem — bo obaj byli pieszo — i przez ten czas Zawiła miał sposobność dać do zrozumienia wikaremu, że za błogosławieństwo młodéj parze dostanie pięćdziesiąt dukatów, a nazajutrz wpadł na chwilę do dworku doktora, i wręczył pani konsyljarzowéj bar-

dzo piękny i drogi naszyjnik, który Wanda na urodziny dostała od Julji.

Chmury na horyzoncie zamku Belmont.

Hrabia po chwilowém wstrząśnieniu, doznaném owéj nocy, w któréj Wandzie uczynił spowiedź z najboleśniejszych i najciemniejszych chwil swego życia, uspokoił się znowu niedługo, a pocieszony nowym dowodem niezachwianéj stałości Wandy, oddał się marzeniom o swojem szczęściu.

Marzenia te tym były rozkoszniejsze, że chwila szczęścia już się zbliżała. — Hrabia postanowił już nie odwlekać i w krótkim czasie poślubić Wandę. Tylko we wrześniu nie chciał uczynić tego, bo ten miesiąc budził w nim przykre wspomnienia i był dla niego fatalny. — Zbliżała się także rocznica przybycia Wandy na zamek Belmont. Hrabia miał zamiar tego dnia wziąć z nią ślub w największéj cichości a nawet bez zapowiedzi.

Nikt zresztą oprócz niego (z wyjąt-

kiem naturalnie Zawiły) nie czuł się na zamku Belmont szczęśliwym. Nad wszystkimi zaciążyła jakaś dusząca atmosfera i wszyscy uczuli, że stosunki ich wzajemne stały się naprężone, nieprzyjemne, po części bolesne.

Henryk pomimo przyrzeczenia i pełnomocnictwa danego Zawile, nie mógł się pogodzić z tą myślą, aby poślubić Wandę bez wiedzy i bez woli ojca. Po części wstrzymywała go od tego kroku stanowczego wielka miłość, jaką czuł dla ojca, po części zaś bojaźń przed jego gniewem. Był wychowany w grozie i w posłuszeństwie, a ojciec chociaż nie był dla niego jak dla Julji jakąś wyższą istotą, wzbudzał w nim zawsze cześć i uszanowanie. — Z drugiéj strony cierpiał znowu wiele z powodu Wandy. Aby wyjść z téj kolizji, chciał wyznać wszystko przed ojcem, prosić go o przebaczenie i wyjednać sobie jego błogosławieństwo.

Od tego zamiaru odwiodła go Wanda, która lepiéj niż ona to czuła, że hrabia nigdyby się nie dał przebłagać i na małżeństwo syna z nią nie dozwolił.

Wtedy Henryk utracił ostatnią nadzieję zakończenia téj sprawy bez bolesnego

przejścia i niewiadomych jeszcze — ale ciężkich zapewne następstw.

Mimowoli także przychodziło mu często na myśl to, co mu mówiła Julja o Wandzie, a jéj głębokie przekonanie — że Wanda go nie kocha, przyczyniało się nie mało do jego cierpień.

Kochał on całem sercem siostrę, wierzył w jéj szczere i mocne przywiązanie do siebie, i byłby pragnął przelać także jéj miłość na Wandę, która miała być jego żoną i którą ubóstwiał. Tymczasem Julja odsuwała się od nich i jeden jeszcze a drogi dla niego węzeł rodzinny, rozrywał się i pryskał.

— Wszystko więc sprzysięga się przeciw mojemu związkowi z Wandą — mówił do siebie — wszystko, co było mi dotychczas drogim, usuwa się ode mnie, jakbym musiał to wszystko utracić wprzód nim pozyskam moje największe szczęście!.... Do miłości mojego ojca nie mam już prawa.... gdyby przynajmniéj Julja, gdyby choć ona stała po mojéj stronie i powiedziała mi, że to co czynić zamyślam, jest dobrem!....

Cała przyszłość w skutek tych myśli zasępiała się w oczach Henryka. Widział w niéj tylko, w takich chwilach —

zgryzotę, cierpienie i bolesne osamotnienie..... Ale równocześnie na czarnym horyzoncie téj przyszłości jawiła się czarująca postać Wandy, jakby duch płomienisty.... I dla jéj pocałunków, uścisków i spojrzeń, których żar czuł w swojéj krwi młodzieńczéj, Henryk biegł ku téj przyszłości z wyciągniętemi rękami.

Walka ze sobą zapełniała teraz wszystkie chwile jego życia, a miotany różnorodnemi myślami, nie mogąc zrobić stanowczego wyboru między swemi uczuciami, między ojcem, siostrą i kochanką, unikał ich wszystkich, do wszystkich kolejno uczuwał urazę, a kiedy indziéj znów uznawał, że przeciw wszystkim grzeszył i zawinił.

Wandę oburzało jego postępowanie.— Czuła dla niego gniew i rodzaj lekceważącéj nienawiści. Nie mogła mu jednak tego wyranźnie okazywać, bo teraz nie miała już innego wyboru.

Przykrzejszym jeszcze był jéj stosunek do hrabiego. Ażeby oszukać i podejść jego baczność, musiała być fałszywą i udawać na każdym kroku. Drżała przed nim, a musiała się wydawać czułą i ufającą; obawiała się, ażeby jéj fałszu nie

dostrzegł, a musiała udawać coraz więcéj kochającą i coraz więcéj poufałą. — Była jakby owca, któraby w szponach wilka roztkliwiała się do niego, i unosiła nad jego dobrocią.

Wreszcie Julję po prostu nienawidziła, od czasu, kiedy ta dała Henrykowi tak niepochlebną o niéj opinję. Wanda czuła to bardzo dobrze, że Julja stała się dla niéj jedną jeszcze więcéj zawadą do osiągnięcia celu i tym większą pałała dla niéj nienawiścią, że Julja szkodziła jéj nie mając w tem żadnego interesu i jedynie tylko z jakiegoś instynktowego przeczucia i z powodu niekorzystnego wyobrażenia o jéj charakterze.

Jedna rzecz tylko pocieszała Wandę i w części przynajmniéj godziła ją z Julją. Od niejakiego czasu spostrzegła ona, że serdeczny, uczuciowy stosunek między Julją a ojcem, nagle oziębił się i ostygł. Hrabia był zawsze jednakim dla córki, ale Julja dla niego bardzo się odmieniła. Zdawało się, że chcąc być dla niego czułą, zadawać sobie musiała przymus. Nie była wobec niego tak poufałą i swobodna jak dawniéj, unikała jego spojrzenia, nie miała z nim co mówić, i nigdy jak dawniéj z nim się nie pieściła. Hra-

bia nie spostrzegał tego, ale kobiece oko Wandy dopatrzyło wkrótce téj zmiany. Nie chciała temu z początku wierzyć, ale oznaki stawały się coraz wyraźniejsze, tak że Wanda lubo ze zdziwieniem mogła sobie niedługo zadać pytanie:

— Czyby ona do niego straciła serce? Przeczucie odpowiadało jéj: tak jest. I to cieszyło ją niezmiernie. Im więcéj Julja oddalała się od ojca, tém więcéj musiała, a przynajmniéj mogła, zbliżyć się do niéj. Hrabia był bowiem od niejakiego czasu nieprzyjacielem jéj i jéj szczęścia, a każdy kto jemu był niechętny, mógł być uważanym za sprzymierzeńca Wandy.

Wanda postanowiła skorzystać z tego usposobienia Julji.

Niedługo zdarzyła jéj się do tego sposobność.

Julja pewnego dnia prosiła ojca, ażeby jéj pozwolił jechać konno, od niejakiego czasu bowiem polubiła przechadzki i przejażdżki dalsze, ona co dotąd była tak wielką domatorką. Zdawało jéj się, że potrzebuje teraz szerszego powietrza, że jéj to sprawiało ulgę, gdy się po za obrębem zamku zobaczyła.

Hrabia pozwolił chętnie, a obecna temu Wanda zaprosiła się nagle do jéj towarzystwa. Odmawiać było niepodobieństwem; Julja przystała na tę propozycję. Za małą chwilę powróciła Wanda od siebie w czarnéj amazonce i w małym aksamitnym toku z czarnemi piórami.

W towarzystwie koniuszego obie wyjechały za mur zamkowy.

Rozmowa dwóch dziewic na cmentarzu.

— Jak to dobrze, że ci przyszła dziś myśl jechać — odezwała się Wanda, kiedy już minęły bramę. Czuję potrzebę powietrza i ruchu.... głowę mam tak ciężką, i coś mi oddech zapiera.

— Gdzie pojedziemy? odrzekła Julja, jakby chciała nadać rozmowie ton obojętny.

— Gdzie chcesz — odpowiedziała Wanda, a po chwili dodała, wskazując spicrutą — może pojedziemy tam, ku cmentarzowi.... lubię to miejsce, jest trochę dzikie, ale przemawia do duszy.

Jechały we wskazanym kierunku nic do

siebie nie mówiąc. Droga szła coraz węższym parowem, po którego obu stronach rosły krzaki jałowcu i olbrzymie bodjaki. Po kilkunastu minutach jazdy zrównały się z wiejskim cmentarzem, który leżał na pagórku. Wanda zapatrzyła się w tamtę stronę, a potém zatrzymując konia rzekła:

— Czy nie masz ochoty pójść tam na górę?.... widok ztamtąd jest bardzo ładny.

Julja w milczeniu zsiadła w téj chwili z konia, tożsamo uczyniła Wanda. Koniuszy został przy koniach, a one obie poszły ścieżką pod górę.

Kiedy stanęły już na pagórku, Wanda zamiast przyglądać się widokowi, który je tutaj sprowadził, zmierzała prosto ku cmentarzowi. Julja szła za nią.

Cmentarz był prosty i skromny jak zwykle wiejskie cmentarze. Wał z ziemi otaczał go do koła, w pośrodku czerniało kilkanaście krzyżów drewnianych, bieliły się tu i owdzie kamienie wspanialszych niegdyś pomników, a dzisiaj już po części rozsypujących się w gruzy.

Wanda stanęła na wale i patrząc na mogiły leżące przed jéj oczami, odezwała się ze smutną jakąś rezygnacją:

— Jakże szczęśliwi ci, co tutaj leżą!...

— W niedobrém jesteś dziś usposobieniu — odrzekła Julja, spoglądając na nię z zadziwieniem.

W istocie Wanda była w téj chwili bladą i smutną, i nagle jakby puszczała wodze długo tłumionemu płaczowi, wybuchnęła głośném łkaniem i rzuciła się Julji na szyję:

— O prawda — zawołała — jestem nieszczęśliwą!....

— Cóż ci jest? zapytała Julja ze współczuciem i przelękniona, a dobre z natury jéj serce zapomniało w téj chwili o swoim wstręcie i niechęci do Wandy.

— Co mi jest? powtórzyła Wanda żałosnym głosem, podnosząc oczy do góry, powiedziałam ci, jestem nieszczęśliwa.

— Ależ z jakiego powodu?....

Wanda usiadła na wale, jakby potrzebowała spoczynku i patrząc pytająco w oczy Julji rzekła:

— Czy chcesz mię posłuchać?.... ale nie, cóż ciebie to obchodzi....

Julja zaprzeczyła jéj słowom, siadając w téj chwili obok niéj.

— Ja wiem — mówiła daléj Wanda — że ty mnie nie lubisz.... Dla czego?....

daremnie silę się domyślić.... ale to jest niesprawiedliwość z twojéj strony....

— Nie myśl tak źle o mnie, a jeśli czém wyrządziłam ci krzywdę, bądź pewna, że chciałabym ją naprawić.

— To prawda. Jesteś tak dobrą, masz anielskie serce. Więc zechcesz mię posłuchać?

— Mów wszystko, Wando. Postąpisz tém szlachetniéj, że dotąd niczém nie zasłużyłam na twoje zaufanie.

Wanda ścisnęła jéj rękę dziękując. Po chwili odezwała się:

— Kocham twojego brata, i to jest powodem mego cierpienia. Wiem, że ci Henryk mówił o naszéj miłości.

— Tak jest. Ale on ciebie równie kocha odpowiedziała Julja, a w duszy pomyślała sobie mimowoli: więcéj kocha niż ty jego.

— A więcéj już o niczém nie wiesz?....

Julja spuściła oczy i zamilkła. Wstydziła ją i bolała odpowiedź, którą miała dać Wandzie. Po chwili wreszcie dodała cichym, ledwie dosłyszanym głosem:

— Wiem.

— I cóż na to powiesz?.... Czy położenie moje nie jest fatalne, nie jest pożałowania godne?...

— Prawda.... jeżeli mego brata szczerze kochasz....

— O, kocham go bardzo — rzekła Wanda z namiętnym drżeniem w głosie, a potém schylając głowę dodała smutnie: ale kocham bez nadziei. Nieszczęściem stanął na naszéj drodze człowiek, któremu winnam wiele, któremu zawdzięczam moje podźwignięcie z ubóstwa i niedoli, którego szanuję i czczę.... ale kochać go nie mogę....

— Czy myślisz, że ojciec nie zezwoliłby na wasz związek?....

— Nigdy. Ty nie znasz Juljo, jaka jest potęga namiętności, a na nieszczęście wiem o tém dobrze, że wzbudziłam w twoim ojcu namiętność. Dziwna to rzecz, prawie nie do wiary, ażeby człowiek w jego wieku zapomniał się do tego stopnia!... A jednak to jest pewna, że dla zadowolnienia swoich pragnień gotów poświęcić nas oboje, nie zważać na nic.... Przeciw jego chęci zaś jakąż możemy znaleźć obronę? i Henryk i ja jesteśmy pod jego władzą, zależymy od jego woli. Ja będę musiała iść za niego, choćby to było dla mnie nieszczęściem na całe życie, a wierzę także i temu, że Henryk ze swego uczucia nigdyby się nie wyleczył, nigdyby nie za-

pomniał o mnie.... Nieprawdaż, że nas oboje czeka okropna przyszłość?

Wanda podniosła znowu badawcze swoje spojrzenie na Julję, jakby wymagała od niéj odpowiedzi i potwierdzenia swoich słów.

Ale Julja długo nie odpowiadała. Cóż miała odpowiedzieć? W duszy musiała przyznać słuszność Wandzie, i mogła tylko ojca potępić. Złamana i przygnieciona tém co słyszała, siedziała ze spuszczoną głową bez ruchu, jak martwa. Całe położenie rzeczy coraz jaśniéj występowało przed jéj oczami, a postać ojca, niegdyś tak czysta i czczona w jéj sercu, przybierała barwy coraz ciemniejsze, spadała z tego piedestału, na którym tak długo odbierała od niéj hołd uwielbienia.

Nieinaczéj, jéj ojciec wiele zawinił; dla swojéj namiętności poświęcał dwoje młodych ludzi, korzystał z przewagi i władzy, jakie mu nadawało jego stanowisko, i nadużywał ich względem sieroty, która pod jego dachem znalazła schronienie, i względem własnego syna, który dotąd ani jednym czynem nie skaził swojéj synowskiéj miłości.

Więc ten człowiek był ułomnym i słabym jak inni, więcéj nawet niż słaby, bo był nieszlachetny i okrutny....

Boleść Julji była ogromna... czuła, że przestaje kochać ojca, że go nie może szanować.

Wanda oczekiwała ciągle jéj odpowiedzi. Nareszcie Julja zebrawszy wszystkie siły, spojrzała na nię proszącym, błagalnym wzrokiem, położyła obie swoje ręce na jéj rękach i rzekła wzruszonym głosem:

— Przebacz mu Wando!... i z boleści własnego serca poznaj, ileby cierpień go kosztowało ciebie utracić...

Ta odpowiedź nie zadowolniła Wandy; przebaczenie równało się poddaniu, o którém ona nie myślała.

— Przebaczyć — odezwała się z powagą trochę patetyczną — to piękne jest słowo!... Ale tak ciężko dać przebaczenie, jeźli przytém trzeba złożyć ofiarę z samego siebie!... Gdy pomyślę, żebym miała zostać jego żoną, strach mię ogarnia, czuję przerażenie i rozpacz w duszy... Oh, to byłby los straszny, straszny! Wydała głębokie westchnienie, jakby chciała ulżyć sobie ciężaru, jakim ją ta myśl przytłaczała. Potém dodała spokojnym ale znaczącym tonem:

— Czy znasz ty Juljo historję swojéj matki?

— Nie — odpowiedziała Julja, i zadrżała w głębi duszy. Ten szczególny ton, z jakim odezwała się Wanda, przeraził ją. Przeczuwała, że może usłyszeć z jéj ust znowu coś takiego, co jeszcze więcéj może ojca potępić.

— Nie? — zapytała Wanda, a potém miarkując swoje zdziwienie dodała:

— Naturalnie, takich rzeczy nie można ci było powiedzieć.

— Więc to są tak straszne rzeczy? — zapytała Julja patrząc z przerażeniem w jéj oczy. Ciekawość dowiedzenia się o losie matki, którą tak uwielbiała, przemogła nad innemi uczuciami. Julja gotowa była w téj chwili słyszeć wszystko, nawet najgorsze o swym ojcu, byle dowiedzieć się o téj nieznanéj, mgłą tajemniczości osłoniętéj matce. Zdawało jéj się, że nigdy w życiu nie kochała nikogo tylko tę matkę, i dla niéj zapomniała w téj chwili o ojcu. Patrzyła więc w oczy Wandy tak, jak gdyby jéj chciała wykraść tajemnicę z duszy.

Wanda na jéj pytanie i wykrzyk odpowiedziała potwierdzającém poruszeniem głowy.

— I ty wiész o losach mojéj matki?.. — zapytała Julja z tą radością, z jaką

spostrzega się po raz pierwszy dawno opłakaną stratę, a której znalezienia nie było już nadziei.

— Wiem.

Julja schwyciła ją za ręce i mocno je ściskała.

— Opowiedz mi o nich... mów mi, mów wszystko co wiesz... O jakże jestem szczęśliwa, żem wreszcie znalazła kogoś, co mi o tém może powiedzieć...

Losy jéj matki były „straszne", jak powiedziała Wanda. Julja uważała za swój obowiązek poznać je, a litość, jaką uczuła dla nieszczęśliwéj matki, kazała jéj o wszystkiém zresztą zapomnieć.

— Będziesz płakać i cierpieć długo... może nigdy o tém nie zapomnisz, kiedy raz usłyszysz. Lepiéj będzie, kiedy to zostanie dla ciebie wieczną tajemnicą — mówiła do niéj Wanda. Wspomniałam ci o tém jedynie z tego powodu, że los jaki spotkał twą matkę, mógłby odstraszyć każdą kobietę nietylko mnie, nawet tę, któraby twego ojca kochała, od oddania mu swéj ręki. Dowiedziałam się o tém przypadkiem — w jaki sposób, tego nie mogę ci powiedzieć, ale było to własne wyznanie twego ojca. Słuchałam jego opowiadania ze drżeniem w ser-

cu, potém zemdlałam, straciłam przytomność z przerażenia, i odtąd boję go się i lękam... O, jestto człowiek nieszczęśliwy, cierpiał wiele, przeszedł wiele w swojém życiu, ale zdaje się ciąży nad nim i ta fatalność, że wszystkich co są blisko niego, popycha ze sobą w nieszczęście... Poprzestań na tém Juljo i więcéj mię nie badaj.

— Nie, nie — zawołała Julja — musisz mi powiedzieć... powinnaś mi powiedzieć o mojéj matce... ja chcę, ja muszę wiedzieć wszystko o mojéj matce!..

I z głośném łkaniem całowała Wandę po rękach, to znów szamotała niemi spazmatycznie, jakby chciała zmusić ją siłą do wyznania.

— Biedna Juljo, uspokój się, nie płacz — koiła ją Wanda, ale perswazje nic nie pomagały.

— Dobrze — rzekła nareszcie Julja zmęczona prośbami i szamotaniem się — nie chcesz mi ty powiedzieć, pójdę do ojca, i od niego dowiem się... zaklnę go na pamięć matki mojéj w grobie i musi mi wszystko wyznać, choćby najwięcéj zawinił... Dzieje mojéj matki należą do mnie, wszakże jestem jéj córką, jéj dziec-

kiem... to moja największa po niéj spuścizna!

Opór Wandy był tylko udany, w istocie pragnęła opowiedzieć Julji historję jéj matki i w tym celu napomknęła jéj o tém. Chciała tylko, aby Julja sama zmusiła ją do tego wyznania. Skoro to się stało, uczyniła zadość jéj żądaniu.

W krótkich słowach opowiedziała Julji, co przed kilku dniami słyszała od jéj ojca. Należy oddać jéj sprawiedliwość, że starała się przedstawić rzecz całą w najłagodniejszéj formie, że ile możności oszczędzała efektów i barw jaskrawych. Ale ta historja nawet sucho i nago opowiedziana była okropną i przerażającą dla biednéj Julji. Serce jéj pękało, oniemiała z cierpienia i nie znalazła dla okazania żalu ani jednéj łzy w swojém oku. Te namiętności niepohamowane, dzikie, jakie były sprężynami działania w tych wydarzeniach, otwierały przed oczyma jéj duszy jakiś świat dotąd nieznany, straszny, ohydny, i stanęły nagle przed nią jak piekło, o którém nie miała wyobrażenia.

Ta historja, gdyby jéj aktorami były osoby obce dla Julji, byłaby na długo zamąciła spokój jéj duszy, zrodziła w niéj wstręt i obrzydzenie dla słabości i

namiętności ludzkich. Ale aktorami byli jéj ojciec i matka!... Cały świat zdawał się zapadać pod nogami Julji, okropność tego wydarzenia przechodziła jéj pojęcie i czuła, że mózg jéj z naprężenia trzaska i pęka...

W końcu nad wszystkiemi uczuciami wzięła górę i zatarła je choć na chwilę boleść i litość nad matką.

— O, moja biedna matka!

To były jedyne słowa Julji, kiedy Wanda skończyła swe opowiadanie.

Wanda starała się ją pocieszać, tłómaczyć jéj wrodzoną słabością ludzką te krwawe katastrofy, ale Julja nie słyszała prawie jéj słów. Zajęta okropnemi obrazami i bolesnemi myślami, jakie ciągle tłoczyły się do jéj głowy, zdawała się nie wiedzieć nic o świecie. Z trudnością i przy pomocy Wandy zeszła na dół. Wsiadła na konia machinalnie i trzeba było ciągłéj baczności Wandy, ażeby się na nim utrzymała.

Ale ruch i chłodne wieczorne powietrze otrzeźwiły ją po niejakim czasie. Zaczęła przychodzić do siebie z tego stanu osłupienia i martwoty.

Kiedy już dojeżdżały do zamku, ode-

zwała się do Wandy cichym ale spokojnym głosem:

— Dzisiaj nie mogę już widzieć ojca. Powiedz mu, żem się zmęczyła i odpoczywam u siebie. Ale i ty nie przychodź do mnie... chcę być sama...

Przyszedłszy do swego pokoju, upadła na kolana przed krucyfiksem wiszącym na ścianie, i długo i gorąco się modliła.

Niespodziewany sprzymierzeniec panny Wandy.

Kiedy wieczorem towarzystwo zamkowe zebrało się, jak zwyczajnie, w dolnej sali, hrabia uwierzył z łatwością temu, co Wanda za powód nieobecności Julji podała. Nie miał żadnych podejrzeń, ażeby na spacerze, który odbyły, mogło zajść coś takiego, coby na usposobienie i zdrowie córki wpłynęło. Z okna swojego pokoju widział je razem powracające tak, jak wyjechały, a nadto przyszła także na salę stara Małgorzata i zapewniła go, że panienka jest zdrowa, tylko tak się zmęczyła jazdą, że leży już w łóżku. Wysłała ją z tém polece-

niem Julja, która na wszelki sposób chciała uniknąć widzenia się z ojcem i obawiała się, ażeby nieufając dość Wandzie, nie chciał sam naocznie przekonać się o jéj stanie.

Rozumie się, stara Małgorzata nie domyślała się nawet téj obawy Julji, chociaż spostrzegła, że panienka tego wieczora była smutna i zamyślona. To jednakowoż mogło być skutkiem osłabienia z forsownéj jazdy. Małgorzata nie omieszkała téż połajać z lekka Julję za jéj nierozsądek i lekkomyślność.

Ale Henryk nie uwierzył Wandzie tak łatwo jak ojciec i przeczuwał jakieś inne przyczyny nieobecności Julji. Był on świadkiem, kiedy Wanda tak niespodzianie wprosiła się do jéj towarzystwa i podejrzywał ją, że tego nie uczyniła bez powodu i bez celu. Wiedział oprócz tego o tém, o czém nie mógł wiedzieć hrabia, to jest, że Julja wciągnięta była w tajemnice sercowe jego i Wandy; że zatém pomiędzy niemi dwiema mogło było przyjść do rozmowy o tym przedmiocie. Przedmiot ten zaś, jak się osobiście przekonał, nie był dla Julji przyjemny i mógł wywołać w niéj przykre uczucia, zmartwić ją i zaniepokoić.

Już z pewną podejrzliwością obserwował Wandę, skoro tylko wieczór ją zobaczył i był prawie pewny, że na spacerze coś zajść musiało. Wanda była nadzwyczaj roztargniona, mówiła wiele i co chwila o innym przedmiocie, tylko o spacerze odbytym nie wspomniała ani słowem, chociaż w monotonném życiu zamkowém było to dość ważne i najświeższe wydarzenie. Była przytém bardzo blada, wydawała się wzruszoną, choć siliła się na wesołość, a oczy jéj błyszczały jakąś gorączkową radością, jakby z osiągnięcia zamierzonego celu.

To wszystko naprowadzało Henryka na domysły i robiło go niespokojnym. Począł także obawiać się o zdrowie Julji i uczuł żal głęboki i wyrzuty sumienia na myśl, że jeśli Julja była chorą i cierpiała, to tylko z jego powodu.

Wanda spostrzegła niespokojność Henryka i śledziła go oczami. Jednym razem zobaczyła, że zniknął.

Skorzystał on z chwili, kiedy rozmowa stała się ogólniejszą (tego wieczora byli na zamku i oboje państwo konsyljarstwo), i poszedł do mieszkania Julji. Czuł konieczną potrzebę widzieć się z nią i rozmówić.

Lekko i cicho otworzył drzwi jéj pokoju.

W pokoju było prawie ciemno, bo świeciła się tylko mała nocna lampka na kominie. Henryk zobaczył Małgorzatę obróconą do ściany i odmawiającą na klęczkach swoje wieczorne pacierze, podług zwyczaju ludzi głuchych nawpół głośno. Małgorzata nie spostrzegła jego przybycia.

Zbliżył się ostrożnie do łóżka Julji, myśląc że śpi. Odsłonił trochę firankę pawilonu, spuszczonego z jednéj strony i zobaczył Julję siedzącą na łóżku.

Była w koszuli, ręce trzymała złożone na kolanach. Rozebrała się, ażeby uspokoić troskliwość Małgorzaty, która inaczéj nie byłaby się sama zabrała do spoczynku. Ale o śnie bynajmniéj nie myślała.

Oczy Henryka szukające Julji spotkały się z jéj smutnym i rozrzewnionym wzrokiem. Zdawało się, że się ucieszyła, zobaczywszy u siebie brata. Na jéj usta wystąpił lekki uśmiech.

— Ty jesteś słaba Juljo? — zapytał Henryk cichym i drżącym głosem.

— Bynajmniéj, nie — odpowiedziała Julja powoli, wstrząsając głową i patrząc

w oczy Henryka, który badawczo na nią spoglądał. — Wanda powiedziała wam przecie, dlaczegom została u siebie.

— To nie prawda...

— Zaręczam ci...

Henryk wziął ją za rękę. Ręka ta drżała lekko.

— Co tobie się stało?... co zaszło na tym spacerze? — pytał niespokojny.

— Nic zupełnie... zmęczyłam się trochę... prześpię się i jutro będzie mi całkiem dobrze.

— Dlaczegoś taka smutna, zamyślona?

Julja znowu się uśmiechnęła.

— Zamyślona? to prawda... myślałem o tobie mój bracie...

— O mnie?..

— Tak jest.

Pochyliła głowę, a po chwili dodała, spoglądając na Henryka z uczuciem:

— Dobrze zrobiłeś, żeś tu przyszedł. Jutro ja sama byłabym cię szukała. Miałeś słuszność, że na tym spacerze coś zaszło. Tak jest, mówiłyśmy z Wandą długo o tobie. Ja się myliłam... ona ciebie prawdziwie kocha... jest bardzo nieszczęśliwa...

— Jakże się cieszę — zawołał Henryk — że ją poznałaś lepiéj. Byłem zawsze pe-

wny, że to nastąpi — i z radością przyciskał rękę Julji do swéj piersi.

Po chwili ona się odezwała:

— Wiesz Henryku, coś ty powinien uczynić?...

Henryk czekał, co będzie daléj mówić.

— Powinieneś z nią się ożenić... koniecznie... jak najprędzéj... Inaczéj postępowałbyś bardzo nieszlachetnie...

Słowa te przechodziły oczekiwanie Henryka. Z zadziwieniem patrzał na nią, jakby nie wierząc, czy dobrze słyszy.

— Wszelkie przeszkody nic nie znaczą — mówiła daléj Julja z mocą i zapałem — nawet mimo **j e g o** wiedzy... wbrew **j e g o** woli powinieneś to uczynić. Serce ludzkie ma prawa, które dla innych są okrutne, bez litości... ale darmo, inaczéj być nie może...

— Oh, Juljo, jakże ci dziękuję za tę chwilę!... Dodałaś mi siły i odwagi... a pomimo mojéj wielkiéj miłości dla Wandy, dotąd jéj nie mówiłem. Byłem tak pozbawiony rady i pomocy obcéj... nie czułem nikogo życzliwego przy sobie, coby mi powiedział: dopełnij, co przedsięwziąłeś, boś powinien i możesz to uczynić. Dziękuję ci Juljo!

— I ja ci dziękuję Henryku, że chciałeś posłuchać moich słów...

— Jak będzie można najprędzéj, w czyn je przemienię. Oddawna już myśleliśmy nad tém z Wandą. Ja się wahałem, bo zdawało mi się, że wcześniéj czy późniéj okoliczności mogą się zmienić, że nastąpi coś niespodzianego... coś korzystnego dla nas...

— To może nastąpić, ale późniéj. Teraz musisz być na wszystko przygotowany.

Nagle wychodząc z dotychczasowéj powagi, Julja dodała nawpół wesołym, pieszczotliwym jakimś tonem:

— O jabym była bardzo rada, żebyście się pobrali. Utworzyłoby się nowe kółko familijne... wybyście się kochali tak bardzo... byłoby tak słodko i spokojnie w pobliżu was... Jabym zawsze była przy was... tybyś zgodził się na to, nieprawda?... teraz jestem nieraz jakaś smutna i pochmurna, przy was zrobiłabym się weselsza i swobodniejsza...

— O nieinaczéj, bylibyśmy wszyscy bardzo szczęśliwi, gdyby tylko przebyć tę katastrofę...

— Miéj w Bogu nadzieję. Wanda zdaje mi się, jeszcze nie wróciła do siebie?

— Nie. Zostawiłem wszystkich na sali.

— Czy ojciec wie, że poszedłeś do mnie?

-- Nikomu o tém nie mówiłem, wyszedłem nieznacznie.

— To dobrze. Wróć teraz do nich... Mogliby cię szukać... I pamiętaj, co ci mówiłam.

Henryk uścisnął Julję serdecznie za rękę i wrócił na salę.

Z wyjątkiem Wandy nikt tam jego nieobecności nie uważał. Na pierwszy rzut oka spostrzegła ona w nim wielką zmianę po powrocie. W istocie Henryk czuł się tak szczęśliwym i swobodnym, jak już dawno nim nie był. Zdawało mu się, jakby mu spadł kamień ze serca, jakby wszystko, co go dotychczas bolało i gryzło, usunęło się już na wieki.

Wanda domyśliła się, gdzie był i co na niego tak korzystnie wpłynęło. W duchu dziękowała Julji, że tak silnie jéj sprawę poparła, dziękowała i swemu szczęśliwemu natchnieniu, które ją dzisiaj na przejażdżkę z nią powiodło.

Na chwilę oddaliła się od towarzystwa i udała się w głąb pokoju. Henryk powiódł za nią oczyma i dostrzegł znak, jaki mu dawała.

Był to znak umówiony i znaczył, że dziś Wanda czeka go u siebie.

W ostatniéj chwili.

Był to ciemny i brzydki wieczór w drugiéj połowie września. Deszcz drobny i gęsty padał już od kilku godzin i pokrył ziemię grubą warstwą błota; wiatr chłodny dął bezustannie i przy wilgoci, jaka była w powietrzu, przenikał nieprzyjemnie aż do kości. Na dworze było tak ciemno, że o kilka kroków zaledwie można było coś dojrzeć.

A było to na trzeci dzień po ostatnich wydrzeniach, któreśmy opowiedzieli.

Wanda wróciła właśnie do swego mieszkania z téj sali, w któréj już nieraz widzieliśmy zebranych mieszkańców zamku. Równocześnie z nią wszyscy inni także udali się do siebie.

Tym razem, skoro tylko zamknęła drzwi za sobą, zaczęła krzątać się po pokoju z niezwykłym jakimś pospiechem i niecierpliwością. Wyjęła ze szafy i z komody wszystkie przybory do ubrania potrzebne i zrzucała ze siebie suknie, które miała na sobie.

Pomimo spóźnionéj pory Wanda kładła na siebie inną toaletę i to całkiem ani porze roku ani dzisiejszéj pogodzie

nieodpowiednią. Po niejakiéj chwili bowiem można ją było zobaczyć w białéj jedwabnéj sukni, jakby wybierała się na bal.

Całéj toalety dokonała nadzwyczaj szybko i bez obcéj pomocy, i owszem, kiedy znajoma nasza, panna Klotylda zajrzała zaraz za przybyciem Wandy do jéj pokoju z zapytaniem, czy jéj nie potrzebuje, albo nie ma dać na jutro jakiego rozporządzenia, Wanda odprawiła ją jak najprędzéj, oświadczając, że jéj nic a nic nie potrzeba.

Już była całkiem ubraną i patrzyła bez myśli w zwierciadło, które tak pochlebnie odbijało jéj twarz jak alabaster białą od wzruszenia, gdy nagle ktoś zapukał.

Wanda drgnęła na krześle i nawpół obróciła się ku drzwiom patrząc z obawą.

Do pokoju wszedł Zawiła. Ukłonił jéj się w milczeniu, położył przed nią jakiś papier i usiadł.

— Cóż to jest? — zapytała Wanda zdziwiona.

— Skrypt na trzy tysiące dukatów, wystawiony na imię Henryka. Bądź kuzynka łaskawą podpisać.

Wanda zawahała się.

— Niewiele czasu ci zabierze podpisanie — rzekł Zawiła spoglądając na zegar — dopiero trzy kwadranse na jedenastą — dodał ze znaczącym naciskiem, który Wanda bardzo dobrze zrozumiała. Zawiła jeszcze przez kwadrans był panem tajemnicy i mógł ją także komu innemu przez ten czas sprzedać.

— Ależ zawiele żądasz... — odezwała się Wanda.

— Jakto zawiele?... Zdaje mi się, że moje trudy i starania są tego warte!... Przypomnij sobie kuzynko, że za te trzy tysiące zostajesz hrabiną i dziedziczką klucza ostrowieckiego i innych jeszcze majątków. To nie jest wcale drogo nabyte. Gdybym ja miał sposobność zrobić podobne kupno, nie wahałbym się ani na chwilę. A temu także nie zaprzeczysz, że ja ci niemało pomogłem. Obiecaliśmy sobie pomagać nawzajem... więc teraz przyszła kolej na ciebie.

Mówiąc to Zawiła, podał jéj zmaczane pióro i patrzył ciągle na zegar.

— No, podpisz, podpisz... Zrobię wam jeszcze to ustępstwo, że pieniędzy nie będę zaraz żądał. Jak ich będziecie mieli w bród, to wam te trzy tysiące nie zrobią różnicy.

Wanda poznała, że trudno się opierać i szybko podpisała rewers.

— Dziękuję ci — rzekł Zawiła, składając go uroczyście. Potém przyjrzał się Wandzie z wielką uwagą i zawołał:

— Cudownie mi wyglądasz kuzynko!... Wartaś być nie raz, ale dziesięć razy hrabiną.

Wanda uśmiechnęła się zimno, jakby z pogardą. Zawiła powstał i kłaniając się, dodał:

— A teraz *a dieu*. Ja także muszę iść na swój posterunek. Nie zapomnij: od szklannych drzwi ścieżka na lewo, tam pod trzeciém drzewem czeka na ciebie!

Wanda została znowu samą. Włożyła na siebie długie ciemne okrycie i zawiązała jedwabną chusteczkę na głowę. Była gotową, a jeszcze pozostawało pięć minut do jedenastéj.

Usiadła i zamyśliła się. Czuła w sobie wielką radość i zadowolnienie. Stanęła wreszcie u kresu swych życzeń. Zostanie żoną Henryka za chwilę — i cały świat, ten wielki świat, do którego wzdychała, stanie przed nią otworem. Będzie miała stanowisko, imię, majątek... będzie coś znaczyć, będzie mogła swą piękność pokazać zdumionemu światu...

Przez dziwną sprzeczność myśli jéj od przyszłości, do któréj dziś kładła fundamenta, zwróciły się w przeszłość. Z tych minionych czasów nie wynurzyła się jednak w jéj pamięci sieroca jéj niedola i ubóstwo, ale postać młodego, pięknego męzczyzny. Uczuła w sercu swojém jakąś niewysłowioną roskosz, kiedy ujrzała przed sobą tę postać... Zdawało jéj się, że biegnie do niéj z wyciągniętemi rękami i rzuca jéj się na szyję.....

Była to taż sama postać, taż sama twarz, któréj kształty przybierała na siebie w jéj gorączkowych zwidzeniach czaszka Jewdokima.

W téj chwili zegar uderzył jedenastą. Wanda zerwała się i w jednéj chwili oprzytomniała.

Wyszła.

Niedługo stanęła w ogrodzie. Na oznaczoném miejscu, pod trzeciém drzewem na lewo, czekał już na nią Henryk.

— Moja droga! — zawołał półgłosem przyciskając jéj rękę do ust.

— Idziemy już? — zapytała.

— Jeszcze chwilkę. Czekam znaku od Zawiły i Julji... Jeszcze ich niema.

Słuchali oboje.

Za małą chwilę odezwało się lekkie klaśnięcie.

— Dobrze — rzekł Henryk — nie spotkamy nikogo.

Zawiła wśród ciemności nocnych zbliżył się w téj chwili do nich i odezwał się pocichu:

— Śmiało, ruszajcie w drogę. — Przeszedłem cały ogród, niema nikogo. Droga będzie fatalna, ale cóż robić? Błoto ślubowi nie powinno przeszkodzić... Bodaj djabli wzięli ten deszcz dzisiaj!... A Julja?

— Jeszcze jéj niema — odrzekł Henryk.

— Na nią nie możecie czekać — mówił Zawiła.

— Zaczekajmy chwilę — odparł Henryk, a w jego głosie znać było, że pragnął gorąco, aby nie szli bez Julji.

— Szkoda czasu. Ja i tak miałem być jéj kawalerem, więc tu na nią trochę zaczekam, wy zaś idźcie naprzód. Mógłby kto nadejść.

— Pójdźmy — odezwała się Wanda — niech on tu zaczeka.

Zostawili Zawiłę na stanowisku, a sami poszli daléj w ogród. Przebyli całą jego przestrzeń i dostali się na przyległe pola. Wązka ścieżka prowadziła ztąd

przez mały lasek do celu ich drogi, do dworku doktora.

Układając plany na dzisiaj, musiano obrać tę drogę, bo niebezpiecznie było wychodzić z zamku przez bramę. Ogród zaś, jak wiemy, nie miał żadnego muru ani parkanu i można było wyjść z niego na każdym punkcie. Ze względów ostrożności, aby nie obudzić podejrzenia, nie starano się także o konie.

Młoda para, choć grzęzła w błocie, choć deszcz zacinał ją w twarz i w oczy, nie zważała na te przeszkody. Tyle uczuć, tyle myśli było w ich sercach i głowach!...

Henryk oglądał się często za siebie, ale nie widział mających nadejść za nimi Julji i Zawiły.

Weszli nareszcie bocznemi drzwiami od ogrodu, od których Henryk miał klucz przy sobie, do dworku doktora.

Skrupuły sumienia.

Julja miała być świadkiem ślubu i wraz z innymi udać się potajemnie na miejsce, gdzie się akt miał odbyć.

Henryk życzył sobie tego gorąco z téj saméj przyczyny, dla któréj pragnął zawsze tak usilnie najściślejszego zbliżenia i przyjaźni między jego siostrą, a tą, którą kochał i miał wziąć za żonę. Pragnął on, ile możności, utrzymać węzły rodzinne w całości i jeżeli nie mógł otrzymać zezwolenia i błogosławieństwa ojca, niejaką pociechą mogło być to dla niego, że siostra jego a córka tegoż samego ojca będzie przytomną téj chwili tak ważnéj w jego życiu.

Podobnież uczucie rodzinne i szczere przywiązanie do brata nakłaniało Julję do tego kroku. Czuła nadto, że miała pewnego rodzaju moralny obowiązek to uczynić, skoro sama doradzała mu poślubienie Wandy, i jak było w rzeczy saméj, stanowczo nawet na jego postanowienie wpłynęła. Kiedy więc Henryk wyraźnie jéj pod tym względem swoje życzenie objawił, nie pozostawało jéj nic, tylko zadosyć mu uczynić.

Wreszcie i Wanda życzyła sobie mocno jéj obecności na ślubie. Poznawała ona, że ta obecność mogła dodać pewnéj legalności temu aktowi.

Stosownie do umowy, Julja w oznaczonym czasie miała się udać na miejsce

schadzki w ogrodzie sama ze swego mieszkania. Do przedsięwziętych bowiem środków ostrożności należało także, aby przez wzajemne porozumiewanie się nie zwracać zbytecznie uwagi.

Wróciwszy więc do siebie tego wieczora, dla lepszego zamaskowania swego zamiaru, rozebrała się wcześnie, jakby chcąc udać się na spoczynek i zgasiła świecę. Tym sposobem uchodziła baczności Małgorzaty, któréj do kontrolowania jéj czynności pozostawał tylko zmysł zwroku niedługo zapewne również nieprzydatny, bo Małgorzata także się położyła.

Po niejakim czasie, kiedy Julja mogła myśleć, że Małgorzata już zasnęła, ubrała się pociemku na nowo, zarzuciła na siebie płaszczyk, naumyślnie w tym celu pod ręką przygotowany i wzięła kapelusz na głowę.

Ukończywszy ubranie, usiadła na stołku przy łużku, gdzie Małgorzata widzieć jéj nie mogła.

W pokoju słychać było wahadło zegaru, który cichym, stłumionym brzękiem wybijał kwadranse.

Jeszcze czas dość znaczny pozostawał Julji do wyjścia.

Od wczoraj, od owéj rozmowy na cmentarzu, stan Julji był bardzo niebezpieczny. Cierpienie, którego doznała, skupiło się we wnętrzu jéj duszy i naprężenie jego było jeszcze zbyt silne, ażeby jakimkolwiek objawem na zewnątrz, czy to płaczu i żalu, czy téż choroby wydobyć się mogło. Od wczoraj Julja popadła w jakąś osłupiałość umysłową i martwotę uczucia. Zdawało jéj się, że nic nie cierpi, że jéj myślom nic nie dolega, że jest zupełnie spokojną, a wydarzenie, które jéj ten cios zadało, ginęło dla niéj gdzieś w dalekiéj przeszłości, jakby nie wczoraj, ale przed kilku miesiącami, albo przed kilku laty ją spotkało.

W saméj tylko głębi duszy, na dnie serca tkwił ten robak, który ją gryzł i trawił.

Dlatego téż tego dnia Julja wyglądała dla innych ludzi tak jak zwyczajnie, była tylko cokolwiek bledszą, wydawała się jeszcze spokojniejszą niż zwykle, ale bynajmniéj nie smutną. Ten stan, w jakim się znajdowała, tak dobrze zgadzał się z jéj wrodzoném melancholijném usposobieniem.

Przez cały ten dzień Julja słyszała tylko w swojém sercu głuche jakieś echo

boleści.... skąd ta boleść, z jakiego powodu, o tém Julja zupełnie nie myślała. Było to jakby tajemnicze warczenie we wnętrzu wulkanu, który jeszcze nie wyrzucił ze siebie lawy i o którego wybuchu, jego czasie, kierunku i sile ludzie jeszcze nic nie wiedzą.

Usiadłszy teraz przy łóżku, w ciemności, w samotności, Julja zaczęła myśleć.

Myślała o tém, że ma iść tajemnie na ślub brata z Wandą, przypominała sobie, że ona także nagliła go do tego kroku, i to przywiodło jéj na myśl powody, dla których tak nagle zmieniła swoje wyobrażenia i uczucia.

Wtedy stanęła jéj przed oczami cała wczorajsza rozmowa z Wandą i historja jéj matki. Najboleśniejszym rezultatem tego wydarzenia było to, że straciła dla ojca szacunek i miłość, że uczuwała do niego coś graniczącego ze wstrętem i obawą....

Równocześnie wypadki popchnęły ją na stronę Henryka i Wandy. Należała teraz do ich sprzysiężenia przeciwko ojcu, brała w niem czynny udział i musiała je za słuszne i sprawiedliwe uważać...

I znowu w myślach swoich powróciła

Julja do ich początku, to jest do tajemniczego ślubu, na który iść miała.

Wtenczas uczuła pewne skrupuły. — Henryka los miał się stanowczo dziś rozstrzygnąć, ale czy pomyślnie dla niego? czy Henryk będzie szczęśliwy z Wandą? Dawne podejrzenia o braku serca i uczucia w Wandzie powracały znowu. — Julja jednak sama namawiała Henryka do tego kroku, i do pośpiechu. Gdyby się myliła tym razem, odpowiedzialność spadłaby i na nią... Zrobiło jéj się żal Henryka, zaczęła się trwożyć o jego przyszłość....

Nie dużo czasu upłynęło a Julja uczuła w sobie żal i obawę jeszcze z powodu innéj osoby.... z powodu swojego ojca. Miłość jéj jakby przywalona na chwilę najświeższemi wrażeniami, ocknęła i zaczęła się z pod tych gruzów wydobywać do życia.

Ten starzec, jakkolwiek miłość jego mogła być wielkim błędem, miał otrzymać cios tak bolesny, i stracić to, co za swoje najwyższe szczęście uważał. Julja, jakby w jasnowidzeniu, zrozumiała w téj chwili potęgę namiętności i jéj cierpienia....

Nie dosyć na tym jednym ciosie. Cze-

ka go drugi może jeszcze gorszy, jeszcze straszliwszy — niewdzięczność synowska. Prawda, że ten syn także kocha, ale dla czego czyniac źle ojcu, oszukuje go przytem? dla czego nie odsłonił mu swego serca, nie wypowiedział zamiarów, tylko skrycie i potajemnie wykrada mu jego skarb i nadzieję, a przytem odbiera może sposobność upamiętania się i zrobienia ze siebie ofiary.

Kto wie, gdyby Henryk ojcu wszystko powiedział, czyby mu nie przebaczył, i własnemi rękami nie oddał mu żony. — Tak zaś, jak rzeczy stoją, nie będzie mógł się ugiąć przed samowolą synowską. Jego siwe włosy, charakter i godność ojcowska, jego obrażone uczucie nie pozwolą na to.

W tem wszystkiem zaś, co się działo, co miało z tego nastąpić, Julja brała udział i odpowiedzialność na siebie.

Strach ją przejmował. Powstała i nagle przyszła jéj myśl iść i wszystko powiedzieć ojcu, błagać go na kolanach i uzyskać przebaczenie.

Zegar wybił oznaczoną godzinę.

Julja nawpół bez przytomności zrobiła kilka kroków naprzód. Zatrzymała się, zachwiała i znów szła daléj.

Małgorzata, o któréj Julja myślała, że spi, nie zasnęła jeszcze. W téj chwili, kiedy Julja wyszła z za firanek swego łóżka, miała otwarte oczy i spostrzegła ją od razu. Zdziwiona tem nagłem zjawieniem się Julji na pokoju, i to, jak przy świetle z okien padającém poznać mogła, w zupełném ubraniu nie mogła tego pojąć i nie będąc pewna, czy to nie jest tylko złudzenie, patrzała z ciekawością i czekała, co będzie daléj.

Julja chwiejnym krokiem, powoli zbliżała się ku drzwiom. Nie wiedziała sama, gdzie idzie za prawdę, czy do ojca, aby mu wszystko powiedzieć, czy do ogrodu, gdzie na nią Henryk i Wanda oczekują. Myśli plątały jéj się w głowie, w oczach jéj się ćmiło. Schwyciła za klamkę, nacisnęła lekko.... W téj chwili zabrakło jéj sił, i ze słabym krzykiem upadła na ziemię.

Małgorzata widziała to wszystko, zerwała się z łóżka i przybiegła do niéj. — Wzięła ją na ręce, wstrząsnęła nią, ale Julia była ciągle bezwładną.

Małgorzata zapaliła świecę i położywszy Julję na łózku oblała ją wodą.

Oczy Julji otworzyły się, poznały starą piastunkę i znów się zamknęły.

— Lepiéj mi już — szepnęła Julja ledwie dosłyszanym głosem.

Małgorzata przywołała pannę Klotyldę a sama co tchu pobiegła po hrabiego.

Niewinna dusza nie dochowa tajemnicy.

Za chwilę hrabia był w pokoju córki.

Julja przyszła tymczasem do przytomności.

Ujrzawszy ojca u siebie, zadrzała na całem ciele i wzniosła na niego oczy błagające, jakby z prośbą o litość.

— Co ci jest, moje dziecko — rzekł hrabia, biorąc ją delikatnie za rękę.

— Nic, nic mi nie jest.... zasłabłam trochę.... ale teraz już mi jest dobrze, odpowiedziała Julja siląc się na uśmiech.

— Dokąd ty chciałaś iść? — zapytał znowu hrabia, któremu Małgorzata całe wydarzenie opowiedziała.

Julja spojrzała po sobie. Była porozpinaną, zdjęto jéj już kapelusz, ale miała jeszcze na sobie płaszczyk. Z niechęcią spostrzegła to, jakby myślała, że ją zdradziło ubranie.

— Dokąd chciałaś iść? — powtórzył hrabia, który mocno się zatrwożył, domyślając się czegoś złego.

Dotychczas Julja nie miała żadnéj tajemnicy, i ojciec nie spodziewał się, ażeby ją kiedykolwiek miała.

— Przebacz mi ojcze!.... odpowiedziała wreszcie Julja, składając ręce.

— Co się tu stało?... wy nic nie wicie?... zapytał hrabia patrząc surowo po obecnych kobietach.

Małgorzata potrząsła przecząco głową.

Julja dała znak, że chce sama z ojcem pozostać, i kobiety wyszły z pokoju.

— Powiedz mi wszystko, moje dziecko — rzekł hrabia siadając przy niéj na krawędzi łóżka, i wpatrując się w nią z czułością — widzę, że masz coś na sercu.... powiedz, choćby było coś najgorszego..... Ty chciałaś gdzieś iść... jesteś ubrana.... upadłaś przy drzwiach na taki czas wychodzić, musiała być ważna przyczyna.

Wtedy Julja powiedziała mu wszystko.

Nie umiała kłamać, a przytem w téj chwili zdawało jéj się, że powinna powiedzieć całą prawdę. Ojciec mógł jeszcze przebaczyć i dać swoje błogosławieństwo Henrykowi w ostatniéj chwili.

Tak się zdawało Julji.

Hrabiego ta wiadomość uderzyła jak piorun. Słuchał, a nie wiedział, czy ma jéj dać wiarę, czy go słuch nie myli, czy Julja nie majaczy w gorączce. — Wszystko było dla niego w téj wiadomości niespodzianem, i miłość Henryka dla Wandy i jéj fałszywe postępowanie, którem tak długo i do ostatniéj chwili go łudziła.

Już Julja skończyła, a on siedział jeszcze przy niéj ze spuszczoną głową, jakby miał jeszcze coś więcéj usłyszeć, albo jakby myśl jego pracowała nad zrozumieniem tego co usłyszał.

Milczenie trwało czas jakiś. Nareszcie Julja znowu się odezwała błagalnym głosem:

— Przebacz Henrykowi, ojcze!...

Spodziewała się innego wrażenia ze swoich słów i widząc, jakie one wpływ na ojcu zrobiły, zatrwożyła się o brata.

Hrabia nic nie odpowiadał, jakby jéj nie słyszał. Nagle podniósł głowę, a Julja ujrzała płomienie gniewu w jego oczach i siną bladość na twarzy.

— U doktora, mówiłaś?.... zapytał hrabia ponurym głosem, budząc się ze swego osłupienia.

Julja dała głową znak przytakujący, a hrabia zerwał się z łóżka i wybiegł z pokoju.

Jak szalony przebiegł przez kurytarz, przez przedpokój i sień, i stanąwszy na terasie, zawołał grzmiącym głosem, tak że na drugiéj stronie dziedzińca słychać go było:

— Konia, konia!

Stary kamerdyner zbudzony ruchem, jaki od chwili na zamku się zrobił, przystąpił do hrabiego i z podziwieniem na niego patrzył. Hrabia był w zwyczajnem swojem ubraniu, do konia bardzo niestósowném, w czarnéj sukiennéj todze, na głowie nie miał żadnego nakrycia.

— Jasny pan wyjeżdża?.... zapytał kamerdyner nieśmiało i z niedowierzaniem, które wyraźnie pokazywało, że ten nagły wyjazd nie mógł mu się pomieścić w głowie.

Hrabia nic nie odpowiedział, nie słyszał zapewne, że kamerdyner mówił do niego. Cała jego uwaga zwrócona była na dziedziniec, w kierunku stajni. Patrzył i słuchał, rychło dojdzie jego uszu tentent konia.

Po dwu lub trzech minutach odezwały się kopyta końskie uderzające o kamie-

nie. Hrabia zbiegł z terasu i wsiadł na konia, którego mu przyprowadzono, nie mówiąc ani słowa.

Przez aleję lipową, a potém boczną drogą pędził, co koń mógł wyskoczyć wśród grubych ciemności nocnych i gęstego deszczu, który bezustannie padał. Wiatr unosił szerokie poły jego togi i rozwiewał jego długą brodę i włosy. Gdyby jaki obcy człowiek był go wtenczas spotkał, byłby myślał, że to jaki duch nieczysty lub czarownik pędzący na Sabbat, na zebranie czarownic i biesów, i krzyżem świętym byłby odganiał od siebie to straszliwe zjawisko.

Po pięciu może minutach hrabia stanął przed dworkiem doktora. Wszędzie było cicho i ciemno. Uderzył z całéj siły we wrota. Nikt nie otwierał. Podwoił uderzenia z głośnym krzykiem:

— Otwierać! — i po niejakiéj chwili wrota wreszcie się otwarły.

Hrabia nie odzywając się ani słowa biegł przez dziedziniec prosto do domu. Człowiek, który mu drzwi otwierał, poznał go, zdziwił się bardzo, zobaczywszy go, ale o nic także nie pytał.

Gdy hrabia stanął już w sieni domu uderzyło go światło z jednych drzwi, o-

tworzył je i stanął na progu saloniku, w którym przed kilku dniami widzieliśmy domowych mieszkańców z Zawiłą i z wikarym, knujących na niego spiski. W saloniku były i dzisiaj wszystkie te osoby (bo i Zawiła, nie mogąc się doczekać Julji, przybył tu przed chwilą) i oprócz tego Henryk i Wanda. Wikary miał na sobie albę i stułę, w ręku trzymał książkę. Doktór i jego żona byli świątecznie ubrani. W jednym kącie pokoju stał stół nakryty aż do ziemi czerwoną materją, a na nim dwie wielkie świece woskowe i krucyfiks.

Gdy hrabia zjawił się na progu wszyscy pobledli, i na wszystkich znać było przerażenie. Tylko wikary i Wanda nie spuścili wzroku. Wikary spojrzał na hrabiego z rodzajem pewnego tryumfu, Wanda patrzyła dumnie, zmarszczyła brwi, a choć blada była jak chusta, znać było, że gotowa wszystkiemu, coby mogło nastąpić, groźne postawić czoło.

Henryk za wejściem ojca puścił rękę Wandy, którą trzymał w dłoniach, i w jednéj chwili stanął jak skamieniały.

W saloniku zrobiła się grobowa cisza.

Hrabia nie ruszał się z progu, i powiodłszy gniewnym, ponurym wzrokiem po obecnych, zapytał głuchym głosem:

— Czy już po szlubie?

Nikt nie odpowiedział ani słowem ani najmniejszym gestem.

Hrabia utkwił przenikliwy wzrok w nowożeńców.

— Państwo młodzi — rzekł — zostaną tutaj... u mnie nie ma dla nich gotowéj łożnicy. Jutro zaś w południe proszę wszystkich obecnych do siebie. Czekać będę w zbrojowni.

To powiedziawszy, odwrócił się i zamknął drzwi za sobą.

Trybunał domowy.

Słowa hrabiego zdawały się zawierać w sobie jakąś groźbę. Dlatego między zaproszoném na jutro towarzystwem rozmaite były zdania. Oboje konsyljarstwo oświadczyli się wyraźnie za tém, azeby na zamek nie chodzić, bo oprócz jakiéj nieprzyjemnéj niespodzianki nic tam więcéj zaproszonych spotkać nie mogło. Ale wikary, Zawiła i Wanda przegłosowali ich, podając za najważniejszy powód to, że gdyby nie poszli, byłoby to przyznaniem się wyraźném do jakiéjś winy, i dowodem, że obawiają się gniewu hra-

biego, do którego on jednak nie miał żadnéj racji. Henryk milczał podczas tych dyskusji, ale widoczném było, że gotów był zrobić wszystko, co Wanda uzna za dobre.

Nazajutrz więc o godzinie oznaczonéj poszli wszyscy na zamek. Na terasie, przy samém wejściu, czekał już na nich marszałek dworu, w milczeniu poprowadził ich przez wschody na drugie piętro, i otworzył im drzwi zbrojowni, wskazując, aby tam weszli.

Sala ta jest nam już znajoma. Przed kilkunastu dniami szła tędy Wanda do zamurowanego pokoju, i przestraszały ją tutaj w ciemnościach nocy portrety przodków wiszące na ścianach, i dawne zbroje wydające ze siebie ponure, słabe błyski przy nocném oświetleniu.

Na téj sali, kiedy zaproszeni do niéj weszli, byli już inni ludzie. Dwunastu starców, gospodarzy wiejskich z dóbr hrabiego, siwych jak gołębie, z długiemi brodami, siedziało w jednym rzędzie na krzesłach wzdłuż sali ustawionych. Wszyscy ubrani byli świątecznie, w nowych szatach, w czystéj bieliźnie, a w ręku trzymali czapki z czarnego baranka.

Po jednéj stronie starców stało krze-

sło większe i wyższe od innych, i dotychczas przez nikogo nie zajęte, naprzeciw zaś nich długa ława przykryta kobiercem. Wszystkie portrety na ścianach były zasłonięte czarném suknem.

Marszałek wskazał zaproszonym na ławę, jako na miejsce dla nich przeznaczone. Oprócz Wandy i Zawiły wszyscy na niéj usiedli. Wanda z pewném lekceważeniem przyglądała się starcom, na których twarzach obok nieudanéj powagi widać także było wielkie zafrasowanie. Zawiła na ich widok nie mógł się powstrzymać od śmiechu, i pomyślał sobie, jak hrabia przy każdéj sposobności nie może się obejść bez popełnienia jakiegoś dziwactwa i niedorzeczności. Wikary i państwo konsyljarstwo zaczęli po cichu szeptać między sobą, a Henryk zwiesił głowę i oddał się swoim myślom, jakby dokoła siebie nic i nikogo nie widział.

Po małéj chwili otwarły się drzwi od bibljoteki i wszedł hrabia w téj saméj aksamitnéj todze z rękawami podbitemi czerwonym atłasem, w jakiéj widzieliśmy go podczas „święta żniw". Jego ciemna zwyczajnie cera zrobiła się zielonkowatą, przez przeciąg tych kilkunastu godzin

od wczoraj, zdawało się, że schudł i postarzał się o lat kilka. Szedł powoli, ale krokiem pewnym, nie patrząc na nikogo, i usiadł na krześle, które dotychczas było próżne.

Na sali zrobiła się uroczysta cisza. Wszyscy obecni utkwili oczy z ciekawością i niepokojem w hrabiego. Nawet z ust Wandy zniknęło lekceważenie, a z ust Zawiły szyderczy uśmiech. Tylko Henryk jak przedtém siedział ze zwieszoną głową, i nie spojrzał nawet na ojca.

Hrabia obrócił się twarzą do starców i odezwał się:

— Dziękuję wam, bracia moi i współziemianie, żeście przybyli tu na moją prośbę. To, dlaczego was tutaj dziś powołałem, jest smutne i bolesne, i byłbym wolał dnia tego nigdy nie doczekać. Ale słuchajcie teraz bacznie co powiem, i rozważcie dobrze w swojém sercu i sumieniu, czy będzie sprawiedliwe.

Starcy skłonili głowy jakby na znak, że życzeniu hrabiego zadość uczynią.

Hrabia zwrócił się ku drugiéj stronie.

— I wam także dziękuję — rzekł patrząc na spiskowych z wyjątkiem Henryka i Wandy, którzy byli na samym

końcu ławy. — Wezwałem was, abyście byli świadkami tego, co się tutaj stanie, tak jak wczoraj byliście świadkami innego aktu.

Zatrzymał się chwilę, a potém zaczął mówić z wielkim spokojem i umiarkowaniem. Głos jednakże jego chwilami drżący i wzruszony pokazywał, że spokojność, z jaką starał się mówić, była wymuszoną i pozorną, i że we wnętrzu swojém nie czuł jéj bynajmniéj.

— Miałem syna, któregom kochał, wypielęgnował i wypiastował na swoich rękach, kształcił sam jego rozum i serce, zaszczepiając w nie te zasady, jakie Bóg podał w swych przykazaniach, albo jakie mądrzy, większém światłem umysłu obdarzeni ludzie dla dobra świata wymyślili. I długi czas byłem przekonany, że ten syn mię kocha także, i za moje troski i przywiązanie wzajemną miłością odpłaca. Oszukiwałem sam siebie. Chowałem w zanadrzu węża, który miał mnie ukąsić. Przywiązanie jego było fałszem i obłudą. Gdy ja myślałem o jego szczęściu, on myślał o tém, jakby mnie boleść sprawić. Wiedział co mnie może najmocniéj dotknąć, i cios ten samochcąc w moje piersi wymierzył.

Przeciwko mojéj woli i bez méj wiedzy pojął on żonę. A przecież jako ojciec miałem prawo wybierać mu towarzyszkę życia i wiedzieć o jego wyborze! By przeprowadzić swe zamiary używał podstępu i zdrady — przeciwko mnie swojemu ojcu czynił jak nieprzyjaciel. Pod moim dachem zawiązał i utrzymywał tajemne stosunki z niewiastą, i niesławił tém mój dom, bo ja jako pan domu i gospodarz powinienem był wiedzieć, co się u mnie dzieje i na co się zanosi. W ostatniéj chwili, nocną porą i tajemnie wykradł się z mego domu i wyprowadził z niego swą oblubienicę. Cóż to za dom, z którego w ten sposób się wychodzi, cóż to za ojciec, którego się tak opuszcza, cóż to za syn, który przy najważniejszym akcie życia obchodzi się bez błogosławieństwa i obecności ojca!

Hańba temu domowi, hańba temu ojcu, hańba temu synowi!

Ale jakby mu nie dość było na tém, że sam popełniał występki, wciągnął on do swego spisku także młodziutką swoję siostrę. Niedoświadczone dziecko dało się usidlić jego podszeptom, nie wiedząc samo co czyni. Lecz biada temu kto daje zgorszenie, biada memu synowi, który

zaszczepił w niewinnéj duszy swéj siostry nieprzyjaźń dla ojca, nauczył ją fałszu i dał jéj zły przykład niepohamowanéj namiętności, która łamie wszelkie prawa i obowiązki.

Oskarżam więc mojego syna o nieposłuszeństwo, o nienawistne przeciw mnie uczucia, o lekceważenie mojéj ojcowskiéj władzy.

W dawnych czasach na te występki surowe były kary. W księdze starego Zakonu Deuteronomium w rozdziale XXI napisał prawodawca:

„Jeźliby kto miał syna swawolnego i krnąbrnego, któryby nie słuchał głosu ojca swego i głosu matki swojéj, a będąc strofowany nie usłuchałby ich:

„Tedy go wezmą ojciec jego i matka jego i przywiodą go do starszych miasta swego i do bramy sądowéj miejsca onego...

„I rzeką do starszych miasta onego: Ten nasz syn jest swawolny i krnąbrny, nieposłuszny głosu naszemu...

„Tedy ukamionują go wszyscy ludzie miasta onego i umrze; a tak odejmiesz złe z pośrodka siebie, co gdy wszystek Izrael usłyszy, bać się będą.“

A na inném miejscu powiada mędrzec:

„Przeklęty kto lekceważy ojca swego i matkę swoję; i rzecze wszystek lud Amen."

Dzisiejsze prawa łagodniejsze są na podobne występki. Ale całe zepsucie, w jakie świat dzisiejszy popadł, nie zdołało zedrzeć z ojca jego świętego i nienaruszonego charakteru. W imię więc téj władzy, jaką mam, jako ojciec i pan domu, potępiam czyny mojego syna, a jego samego wyrzekam się na zawsze i znać go nie chcę!

Hrabia przestał mówić a na sali odezwało się głuche łkanie. Kilku starców słysząc jego słowa wybuchnęło głośnym płaczem, i poklękało na ziemi podnosząc ręce jakby z prośbą do hrabiego o łagodniejszy wyrok, inni znowu powstali, i spoglądali raz na syna, drugi raz na ojca z wielkim smutkiem i wzruszeniem na twarzy.

Henryk słuchał całéj téj przemowy jak martwy i bez czucia. Bezwładnie pochylił się na ławie i podparł ręką, ażeby na ławę całém ciałem nie upaść. Kiedy hrabia kończył mówić, spazmatyczne drżenie przebiegło go całego, zerwał się w jednéj chwili i opierając się jedną ręka o ławę podniósł drugą do góry. Chciał

coś mówić, usta mu drżały, ale głosu nie mógł z piersi wydobyć. Nareszcie z wielkiém wysileniem zawołał słabym głosem:

— Ojcze!... i postąpił krok naprzód, jakby chciał biegnąć do hrabiego.

W téj chwili chwyciła go silnie za rękę Wanda, która stała obok i zatrzymała go:

— Zatrzymaj się, co robisz! — rzekła cicho głosem drżącym od gniewu.

Henryk na jéj rozkaz cofnął się w tył i upadł bez sił na ławkę.

Oczy Wandy zabłyszczały w téj chwili, jakby kto rzucił garść iskier. Przygryzła usta, zmarszczyła czoło, ale nie powiedziała więcéj ani słowa i wzrok utopiła w posadzce.

Hrabia całéj téj sceny nie widział. — Skończywszy mówić, zdawał się być sam mocno wzruszony. Czuł w sercu boleść i wielką gorycz, i doznawał równocześnie wszystkich tych uczuć, jakich doznać może obrażony ojciec i pokrzywdzony na rzecz swojego rywala kochanek. Jakiś czas potrzebował wypoczynku, aby przyjść do spokoju i zapanować nad sobą. — Przed nikim z obecnych bowiem

nie chciał i nie mógł zdradzić prawdziwego stanu swéj duszy.

Z głową zwieszoną, z rękami skrzyżowanemi na piersiach siedział więc chwilę zbierając myśli i nakazując milczenie wzburzonym swoim uczuciem. Wreszcie odetchnął głęboko, powstał szybko jakby ze świeżemi siłami i patrząc na starców, którzy nieme prośby do niego zanosili, odezwał się głosem pewnym i stanowczym:

— Nie, przebaczyć nie można. Przebaczenie byłoby nowym występkiem. — Jestem obrażonym ojcem, moja godność i moje siwe włosy zostały znieważone i na pośmiewisko wystawione. Zrobiono sobie ze mnie igraszkę, nie zważano na moje prawa ani na moję zgryzotę.... Stało się.... nie mam już syna!.... A wy nie sądźcie według waszych serc, ale według sumienia. Jeżeli to powiada wam, że czyn mego syna był niegodny, że mój syn nie postąpił tak jak mu obowiązki względem ojca nakazywały, powiedźcie sobie w myśli, że mój wyrok był sprawiedliwy, i powtórzcie za mną, jak Pan nakazał swemu ludowi: Amen!

Ciche i głuche: Amen rozległo się po

sali, a szlochania i łkania starców dołączyły się do niego.

Hrabia spojrzał w górę na portrety zasłonięte i podniósł ku nim jednę rękę:

— Teraz duchy ojców naszego rodu pocieszcie się! Grzech popełniony przez jednego z waszych potomków został już ukarany, i jak wy nie zostawiliście po sobie podobnego zgorszenia, tak przykład zły, który on miał dać następcom, został choć w części przez wymierzenie sprawiedliwości zmazany.

— Panie hrabio, czy mogę mówić? — odezwał się w téj chwili wikary, podnosząc się z ławy.

Hrabia obrócił się ku niemu, nie spodziewając się podobnéj interpelacji, zmierzył go wzrokiem, ale rzekł spokojnie:

— Mów pan.

Wikary przybrał uroczystą minę, spojrzał do koła po wszystkich obecnych, jak gdyby był na ambonie i zaczął:

— Jako kapłan czuję się w obowiązku i mam prawo zabrać głos w téj sprawie. Zakon Chrystusa, drodzy bracia i słuchacze jest zakonem miłości. Zbawiciel świata w téj modlitwie, któréj nas sam nauczył, umieścił także te wielkie i święte słowa: „Odpuść nam nasze winy,

jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". Bóg sam przeto nakazuje przebaczenie....

— Mości księże, Bóg nakazuje także czcić ojca i matkę; nie powinieneś był waćpan o tem zapominać — przerwał mu hrabia, który z niecierpliwością i wzrastającym gniewem słuchał jego przemowy.

— Więc mi nie wolno mówić.... — Niech i tak będzie. — Zrobiłem co do mnie należało—mówił wikary marszcząc czoło, i rzucając ukosem wściekłe spojrzenie na hrabiego.

W téj chwili gdyby mógł, byłby go w kawałki rozszarpał.

Hrabia nie zważał zupełnie na jego słowa i gniew i zrobiwszy gest ręką odezwał się do spiskowych:

— Możecie wyjść, spełniłem już swój obowiązek.

Wanda słuchała dotąd wszystkiego z największą uwagą, jakby nie chciała utracić najmniejszego słowa. Patrzyła ciągle w ziemię, niekiedy marszczyła brwi gniewnie, niekiedy znowu lekki uśmiech złośliwy przebiegł po jéj ustach. Kiedy hrabia wydał rozkaz odejścia, podniosła

na niego oczy, i zapytała głosem nawpół zdziwionym nawpół szyderczym:

— Czy to już koniec?...

— Powiedziałem, możecie już wyjść— odrzekł brabia.

— Dotąd nie słyszałam ani słowa o sobie.... o mnie, nic pan nie mówiłeś....

Zuchwałość jéj odezwania się zmięszała na chwilę hrabiego, ale wnet spojrzał na nię surowo i odparł:

— Ty nie jesteś mojem dzieckiem — o tobie nic nie miałem mówić.

— Moja osoba jednak — odpowiedziała Wanda nie tracąc śmiałości — mogłaby najlepiéj wytłómaczyć powody pańskiego gniewu na syna....

— Jedynym powodem mojego gniewu było to, że nie był mi posłuszny — odrzekł hrabia podniesionym głosem.

— Ten powód nie dla wszystkich sądów wystarczy — odpowiedziała Wanda z pewną pogróżką — a inne i prawdziwe powody przydadzą się nam przed innemi sądami.

To powiedziawszy, obróciła się do Henryka, wzięła go za rękę i rzekła

— Pójdźmy!

Henryk i reszta spiskowych wyszli za Wandą ze sali.

Hrabia patrzył na odchodzących martwemi oczyma. Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, jak stał na miejscu, zachwiał się nagle i upadł na krzesło.

Koniec tomu pierwszego.